

■ ■ ARTUR ŚLIWIŃSKI ■ ■

POWSTANIE LISTOPADOWE



Chłopięcy



Pochany mój Maryle, mój
dzień nasz, na pamięć
i spójność, naszego powstania Ty
wzmóc chęć naszą

1914.

Kidus



POWSTANIE LISTOPADOWE

TEGOŻ AUTORA:

MICKIEWICZ JAKO POLITYK. Kraków 1908.

MAURYCY MOCHNACKI. (Żywot i dzieła). Lwów, 1910 r.

W opracowaniu i z przedmową tegoż autora:

MAURYCEGO MOCHNACKIEGO: Pisma po raz pierwszy
edycją książkową objęte. Lwów, 1910.

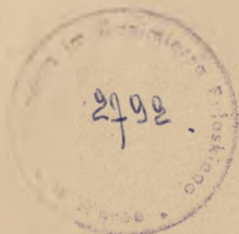
ARTUR ŚLIWIŃSKI

POWSTANIE LISTOPADOWE

Z 11 PORTRETAMI.



SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA“, KRAKÓW.
SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA: G. CENTNER-
SZWER I SKA; LWÓW: H. ALTENBERG; NEW
YORK: THE POLISH BOOK IMPORTING Co.



DRUKARNIA NARODOWA, KRAKÓW-11-11.





Leconte de Lisle

W S T Ę P.

Po wywiezieniu cesarza Francuzów, Napoleona, na wyspę Elbę, monarchowie europejscy odetchnęli swobodniej i na nowy ład postanowili urządzić Europę. Kiedy ten mocarz, którego miecz przez kilkanaście lat zwisał groźnie nad wszystkimi tronami, został nareszcie ubezwładniony, wrogowie jego, to jest monarchowie i przedstawiciele główniejszych państw europejskich, zjechali się w Wiedniu, by według własnej woli stanowiąc o losach świata.

Ta wielka rada mocarstw, znana w historii pod nazwą Kongresu Wiedeńskiego, miała zadecydować i o przyszłości naszego narodu. Cesarz rosyjski, Aleksander I, nosił się z myślą odbudowania Polski, a ponieważ jego wojska zajmowały niemal wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej, projekt ten był pozornie łatwy do urzeczywistnienia. Stało się inaczej.

Przeciwko zamiarowi władcy rosyjskiego gwałtownie powstawali przedstawiciele Austrii, Francji i Anglii. Obawiali się oni wzrostu potęgi rosyjskiej, a nie zdając sobie sprawy, że wskrzeszona Polska, bez względu na zwierzchnictwo Aleksandra, nie pozwoli potędze tej wzrastać, czynili wszystko, aby Polakom odebrać nawet pozory samodzielności.

Ale za plecami Aleksandra stał jego doradca, książę Adam Czartoryski, i ze swej strony nie szczędził starań, aby natchnąć cesarza szlachetną ambicją i nie dopuścić, by ten odstąpił od powziętego planu. Podczas obrad doszło do starć ostrych. Sprawa polska do tego stopnia roznamiętniła obradujących, iż groźba nowych wojen zaczęła przyświecać kongresowi. Jednakże nieustanne pogłoski o wylądowaniu Napoleona uśmierzająco działały na wzburzone umysły. Wszyscy czuli, że miecz tego wojownika, znowu wydobyty z pochwy, jednym cięciem może przekreślić traktaty i nową budowlę Europy zmieść z widowni świata, jak domek, wzniesiony z kart. Na myśl o Napoleonie zimny strach zazierał w oczy członkom kongresu i skłaniał ich do szybkiej a zgodnej decyzji. Jakoż z pośpiechem kończono obrady i raz jeszcze dzielono się Polską.

Księstwo Warszawskie, utworzone w r. 1807 przez Napoleona, podarte zostało na strzępy i rozdzielone pomiędzy Prusy, Austrię i Rosję.

Prusy otrzymały Wielkie Księstwo Poznańskie,

Austrji przyznano Królestwo Galicji i Lodomerji, a Rosji, która pozostała przy nabytkach z poprzednich rozbiorów Polski, dostał się jeszcze szmat ziemi, noszący do dziś nazwę Królestwa Polskiego, a liczący podówczas 3.200.000 mieszkańców.

Jedynie z Krakowa wraz z niewielkim okręgiem ziemi uczyniono niepodległą rzeczpospolitą, ale i tę niepodległość skrupowano opieką Rosji, Austrji i Prus.

W ten sposób patryjoci, marzący o przywróceniu ojczyźnie niezależności, raz jeszcze ponieśli klęskę. Ale usiłowania, podjęte przez legjony, nie zginęły marnie. Bo aczkolwiek na Kongresie Wiedeńskim nie wskrzeszono Polski, nie odważono się przecież na brutalne podeptanie wszystkich praw narodu. Kongres obiecywał Polakom we wszystkich trzech dzielnicach odrębną organizację polityczną, a cesarz Aleksander zastrzegł sobie prawo powiększenia terytorjum Królestwa Polskiego ziemiami, wcześniej do Rosji przyłączonemi.

Cesarz austriacki i król pruski również nie szczędzili obietnic. I nic dziwnego. Chciano spokoju, a nie zapomniano jeszcze o bohaterskich czynach Polaków na polach bitew, pamiętano jeszcze zapał, z jakim młodzież polska zaciągała się pod sztandary Napoleona, w nadziei, iż pod sztandarami temi wywalczy niepodległość, liczono się z możliwym wybuchem patryjotyzmu i rozpaczy, że pożądanego spokoju, więc obietnicami starano się złagodzić ów okropny wyrok,

który raz jeszcze rozdrabniał naród i zmuszał go do życia pod trzema rządami.

Dalsza przyszłość Polski zależała teraz od umiejętności rozszerzania praw pozostawionych, od mnożenia wszystkiego, co stanowi własną siłę, tę jedyną gwarancję, na której zawsze śmiało można polegać.

Od czasów Kongresu Wiedeńskiego, t. j. od roku 1815, los narodu zawisł przedewszystkim od przyszłości zaboru rosyjskiego, Rosja bowiem zagarnęła największą część dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Cesarz Aleksander wyraźnie obiecywał rozszerzyć terytorjum nowoutworzonego Królestwa, a tę obietnicę społeczeństwo polskie rozumiało, jako zapowiedź przyłączenia do Królestwa krajów, które niedawno jeszcze należały do Polski, a które podczas rozbiorów weszły w skład państwa rosyjskiego.

W ten sposób przed oczyma narodu rozbłysła nadzieja lepszej i jaśniejszej przyszłości.

Królestwo Polskie, połączone z Litwą i Rusią, stać się mogło gwarancją powetowania krzywd doznanych, pozwalało się bowiem spodziewać, że Polska, wymazana z mapy Europy, wzmoże się niebawem na siłach i o losie swoim sama decydować będzie.

Wszystko, coby kazało wyrzec się tej nadziei, musiało odtąd wzniecać niezadowolenie i coraz głębszy

wywoływać niepokój, a wraz z niepokojem i dalsze następstwa.

Ostatnim z tych następstw było powstanie, znane w historii pod nazwą Powstania Listopadowego.

I.

KRÓLESTWO KONGRESOWE.

Piękny kraj polski ze swą urodzajną ziemią, ze wspaniałą Wisłą, niosącą bystre wody do Bałtyku, z lasami i puszczami, o których tyle pięknych napisano pieśni, słynął niegdyś dostatkami i bogactwem. Krainą, płynącą miodem i mlekiem, nazywano Polskę. Nie zrujnowały tej pięknej krainy ani napady hord dzikich, ani liczne wojny, prowadzone z sąsiadami, ani coraz większy zbytek, wkradający się do siedzib magnatów i zbogaconej szlachty. Polska, jak wydawać się mogło, posiadała zasoby niewyczerpane.

Ale odkąd rządy ościenne zaczęły kierować wewnętrzniemi sprawami państwa, kraj cały chylić się począł do upadku.

Później nastąpiły rozbiory i na ziemi polskiej gospodarowali sąsiedzi. Utworzenie Księstwa Warszawskiego powstrzymało na chwilę tę gospodarkę, ale kraj inne ponosił ciężary. Przeciągnęły nad nim burze napoleońskie, przewaliły się krocie tysięcy żołnierzy, a nowa gospodarka, przystosowana do potrzeb wielkich wojen, i nieustanne przemarsze wojsk ostatecznie kraj wyniszczyły.

Nieuprawne pola stały odłogiem, na miejscu wielu siół i wsi dymiły się zgliszcza, a ludność, niepewna jutra, nękana nędzą i głodem, nie miała dość siły, aby się dźwignąć i nowe rozpocząć życie...

Zabrakło Napoleona, którego imię miało moc magiczną budzenia nadziei, a wraz z nadzieją wskrzeszania sił. Wprawdzie cesarz Francuzów porzucił swe więzienie na wyspie Elbie, wylądował we Francji, zuchwałym pochodem na Paryż odzyskał państwo — i zdumionej Europie ukazał znowu krwawą żagiew wojny, ale klęska pod Waterloo rozstrzygnęła wszystko na rzecz nowego porządku.

Opadły resztki dymów wojennych i świat zapadał w martwą odrętwiałość, a wówczas obywatel polski ujrzał wkoło siebie ruiny. Jak sen minęły piękne marzenia o odbudowaniu wolnej ojczyzny: pod znakiem obcej woli rozpoczynał naród nową erę życia.

Na wieść o wynikach Kongresu Wiedeńskiego smutek owionął serca, przygnębienie ogarnęło obywateli, zdających sobie sprawę, do czego zmierza nowy podział kraju i co warte są czcze obietnice. Ale znaleźli się ludzie, przekonani głęboko, że cesarz Aleksander istotnie wskrzesi Polskę i nowoutworzone Królestwo połączy z Litwą, a kto wie, może nawet z Rusią. Przekonania te były bezpodstawne. Jaskrawo przeczyła im historia, świadcząca, że Rosja od wieków dąży do rozszerzenia swych granic kosztem sąsiadów, ale serca pragnęły pokrzepienia i uderzały żywiej na myśl o dobrodziejstwach, które miały spłynąć z wysokości tronu rosyjskiego.

Cesarz Aleksander skutkiem swego postępowania w Wiedniu zyskał ogromną popularność i, gdy w li-

stopadzie 1815 r. zawitał do Warszawy, stara stolica Polski przyjęła go uroczyście. Podczas pobytu Aleksandra w Warszawie wzmocniły się rozbudzone nadzieje. Sympatyczne wrażenie, jakie nowy władca osobiście wywierał, uprzejmość i umiejętność podobania się, doprowadzona do wielkiego kunsztu, wreszcie obietnice, których podówczas nie szczędził, zjednały dlań niemal ogół obywateli.

Konstytucja, którą jako król polski Aleksander ogłosił, zapowiadała z góry, że Królestwo Polskie na wieki zostaje połączone z Cesarstwem, ale obok tego gwarantowała Polakom ustrój odrębny i całkowitą samodzielność wewnętrzną. Obywatele Królestwa mieli zapewnioną wolność osobistą, wolność prasy, wychowanie publiczne narodowe i bezpłatne, samorząd miast. Sądy miały być niepodległe, wspólne i jednokowe dla wszystkich, bez różnicy stanu i religii. Jedynie do sądzenia wyższych urzędników lub przestępstw politycznych powołany był Sąd Sejmowy, składający się z członków izby senatorskiej. Nikt nie mógł być aresztowany bez wskazania powodu, nikt karany — bez wyroku sądowego. Urzędy publiczne mogły być sprawowane tylko przez Polaków, a język polski miał panować niepodzielnie we wszystkich urzędach, zarówno sądowych, jak administracyjnych. Wojsku pozostawiono wszelkie oznaki, świadczące o jego odrębności narodowej, liczbę zaś wojska uzależniono od zasobów materialnych kraju.

Władza prawodawcza oddana została Sejmowi, który miał być zwoływany co dwa lata na przeciąg dni trzydziestu, a składał się z króla i dwu izb: senatorskiej i poselskiej.

W izbie senatorskiej zasiadali dożywotnio mianowani przez króla członkowie, do izby poselskiej szlachta wybierała 77 posłów, a zgromadzenia gminne 51 deputowanych. Prawa obu izb były równe i tylko projekty przez obie izby przyjęte mogły być przedstawiane do sankcji królewskiej i dopiero po otrzymaniu tej sankcji stawały się prawem.

Dziedzicznym królem polskim, jak opiewała konstytucja, jest cesarz rosyjski. Koronuje się on na króla w Warszawie i składa przysięgę na konstytucję. W razie jego nieobecności władza naczelna przechodzi na namiestnika, który zasiada w Radzie Stanu, złożonej z ministrów i wyższych dygnitarzy. Rada Stanu dzieli się na zgromadzenie ogólne i Radę Administracyjną, do której należy władza wykonawcza.

Ogniwem, łączącym Radę Administracyjną z królem, jest minister sekretarz stanu, stale mieszkający przy cesarzu, a komunikujący mu wszelkie przedstawienia Rady i nawzajem uwiadamiający Radę o rządaniach cesarza.

Tak się przedstawiały prawa, które odtąd miały obowiązywać Królestwo.

Dodać jeszcze należy, że Aleksander i włościanom obiecywał „ojcowską troskliwość“ i „gruntowny dobrobyt“, ale była to tylko zapowiedź, która na razie nie obowiązywała do niczego. Tymczasem sprawa włościańska, jako sprawa najliczniejszej w kraju klasy mieszkańców, należała do spraw najważniejszych i od jej uregulowania zależało wiele, jeżeli nie wszystko w przyszłości. Wybitniejsi patryjoci polscy oddawna zajmowali się włościanami, dobrze rozumiejąc, że potęgą kraju spoczywa w masach ludowych.

Kościuszkę, Staszyc, Kołłątaj, a więc ludzie, którzy głową i sercem znacznie przerastali swoje pokolenie, zdawali sobie sprawę, że losy kraju, złożone w ręce mas ludowych, będą zabezpieczone; wiedzieli także, że, chcąc dzieła tego dokonać, trzeba te masy podnieść moralnie i materialnie, trzeba z włościanina uczynić obywatela, korzystającego z pełni praw swoich. To też już w r. 1814 Kościuszkę domagał się od cesarza Aleksandra zniesienia niewoli włościan, utworzenia dla nich na koszt rządu szkół w całej Polsce i nadania im praw, pozwalających rozporządzać swym mieniem jak zupełną własnością.

Zasady konstytucji nie sięgały tak daleko, ale mimo swych wad i ograniczeń, były, jak na owe czasy, liberalne i stać się mogły podwaliną jeżeli nie szczęścia, to znośnego bytu nowoutworzonego Królestwa.

Po wyjeździe Aleksandra radość zapanowała w Warszawie. Jego obietnice przechodziły z ust do ust i długo po całym rozbrzmiewały kraju. Ci, co byli dopuszczeni do nowego władcy, wychwalali jego uprzejmość i dobroć, mówili dużo o jego najlepszych chęciach i zamiarach na przyszłość.

Poeci, niedawni chwalcy Napoleona, zaczęli wnet w pieśniach swych rzucać gromy potępienia na upadłego imperatora i wielbić a sławić nowego apostoła wolności.

Ale już pierwsze nominacje nowego króla przyniosły rozczarowanie.

Na namiestnika Królestwa, a więc najwyższy w kraju urząd, opinia publiczna przeznaczała księcia Adama Czartoryskiego, a na czele wojsk chciała widzieć Kościuszkę. Tymczasem ku powszechnemu zdumieniu

namiestnikiem mianowany został gien. Zajączek, a naczelnym dowódcą wojsk polskich — brat cesarski, Wielki Książę Konstanty.

Gien. Zajączek, niegdyś legionista, później żołnierz napoleoński, oficer pełen zalet, odznaczał się dzielnością na polu bitwy, ale nie miał danych, aby sprawować władzę naczelną. Był to człek słabego charakteru, z duszą karjerowicza, o umyśle płytkim i ciasnym. Za lat młodych zagorzały rewolucjonista, potem wielbiciel Napoleona, — w chwili swej nominacji był wielbicielem Aleksandra i wyznawcą przekonania konserwatywnych. Niespodziewaną godność zawdzięczał głównie protekcji W. Ks. Konstantego, a już to jedno czyniło go zależnym od swego protektora.

Tymczasem i W. Ks. Konstanty nie budził w nim zaufania.

Każdego, kto się doń zbliżył, odstręczał już samą powierzchownością. Wysoki i barczysty, zbudowany krzepko, miał twarz, którą dość było ujrzeć raz jeden, aby zapamiętać nazawsze. Z pod wysokiego czoła, osłonięte jasną brwią szczeciniastą, patrzyły bladoniebieskie oczy, bystre i badawcze, podejrzliwe i niespokojne. Nos wklęsły z nozdrzami, wzniesionemi do góry, i wypukłe kości policzkowe nadawały głowie wyraz drapieżny. W ruchliwej twarzy było coś dziwnie śmiesznego i okrutnego zarazem. Patrząc na tę twarz, każdy odczuwał, że W. Książę łatwo zapala się gniewem i, że gniew jego musi być straszny.

Największą namiętnością W. Księcia było wojsko. Spędziwszy wiele lat w szeregach wojskowych, poznał dobrze służbę frontową i w szczególności

tej służby kładł całą swą duszę. Kochał się w rewjach, musztrach, marszach, oddychał chętnie atmosferą koszar, lubował się widokiem wszelkiego rodzaju ćwiczeń i parad. Ale natura despotyczna nie pozwalała mu zamknąć się w obrębie spraw wojskowych. Nie znosząc obok siebie cudzej woli, chciał wiedzieć o wszystkim i wszystkim rządzić, a jako brat cesarski przyzwyczajony był do ślepej uległości otoczenia.

Pozbawiony charakteru Zajączek nie dawał rękojmi, że w razie potrzeby potrafi W. Księciu przeciwstawić swą wolę, odrazu więc było widocznym, że naczelny wódz wojsk polskich stanie się władzą naczelną. W ten sposób cesarz Aleksander, dając Polakom konstytucję, jednocześnie obdarzył ich W. Ks. Konstantym, który na konstytucję patrzył, jak wilk patrzy na owcę.

Obok W. Ks. Konstantego wielką rolę odegrać miał niebawem Mikołaj Nowosilcow, tajny radca i senator rosyjski, przebywający w Warszawie w charakterze pełnomocnika cesarskiego. Nowosilcow miał zabawić w stolicy polskiej kilka miesięcy, a gdy ukształtują się stosunki w Królestwie, powrócić do Petersburga. Ale rozgościł się w Warszawie na dobre, założył własną kancelarię, zaczął się wszystkim zajmować i badać wszystko, a wkrótce wszedł nawet do Rady Administracyjnej jako stały jej członek.

Nowosilcow był to starzec pełen temperamentu, zaprawiony w ogniu matactw, intryg i spisków, uparty, namiętny i mściwy. Życie tego dygnitarza składało się wyłącznie z czynów występnych a rozpustnych. Jako krętacz polityczny nie miał sobie równych. W swoim czasie brał żywy udział w knowaniach

przeciw cesarzowi Pawłowi, czas jakiś udawał wielkiego liberała i wolnomysliciela, później zasłynął szeroko jako zagorzały wróg wolności i reakcjonista. W karierze swojej sprawował najróżnorodniejsze urzędy, zajmował się wszystkimi aktualnymi sprawami, stale uganiając się za groszem, którego brak wiecznie odczuwał, a który zdobywał, nie przebiegając w środkach. Kradzieże i przekupstwa były dlań fraszką, gdy chodziło o zdobycie pieniędzy. Pan senator lubił pić i hulać, lubił tarzać się w rozpuście, a dla dogodzenia tym namiętnościom nie gardził niczym. Wkradłszy się w łaski Aleksandra, lekceważył opinię i pozwalał sobie na wszelkiego rodzaju gorszące wybryki.

Ten namiętny starzec, obsypany orderami i godnościami, przyjechał do Warszawy jako układowy dworak, pełen najlepszych chęci i zamiarów. Upewniał on Polaków o przyjaznym usposobieniu cesarza Aleksandra, zapewniał i o swojej własnej przychylności, ale już przy roztrząsaniu zasad konstytucji zdradził się jako wróg Polaków. Niebawem jaskrawo przejawiał swoje wrogie względem całego społeczeństwa intencje i przestał grać rolę dworaka. Nawet namiętności swoich nie uważał za stosowne ukrywać. Wkrótce też mieszkańcy Warszawy ujrzeni pana senatora, włóczącego się po ulicach w stanie wysoce nietrzeźwym. Nieraz nawet widziano go nad ranem, jak tarzał się po rynsztokach, w ubraniu zabłoconym i obdartym, z głową, udekorowaną doraźnymi śladami awanturek nocnych.

W. Ks. Konstanty patrzył na to wszystko przez palce. Zasady konstytucyjne ciążyły mu jak kajdany.

Więc zaczął je rozluźniać i szarpać, a w tym dziele niszczenia konstytucji Nowosilcow okazał się najlepszym pomocnikiem.

Tak się przedstawiali ci dwaj ludzie, w których ręce cesarz Aleksander złożył władzę nad Królestwem Polskim.

Sejm, który miał obradować co dwa lata, po raz pierwszy zwołany został w r. 1818. Na otwarcie Sejmu przybył Aleksander i osobiście zagaił obrady. Posłowie wierzyli jeszcze w jego przychylne usposobienie, szersza publiczność dzieliła tę wiarę — i stolica polska znowu uroczyście witała władcę rosyjskiego. Podczas obrad sejmowych posłowie zatwierdzili różne projekty rządu, prócz zmiany prawa cywilnego w sprawie małżeństw i rozwodów. Rząd chciał utrudnić rozwody, liberalni posłowie byli temu przeciwni i projekt rządowy odrzucili znaczną większością głosów. To pierwsze starcie pomiędzy władzą najwyższą a Sejmem nie doprowadziło do poważniejszych następstw. Cesarz, zamykając obrady, oświadczył, że odrzucenie projektu przypisuje dobrej wierze posłów, nie zaś chęci walczenia z rządem — i wyjechał z Warszawy, pozornie zadowolony z obrad Sejmu i pełen najlepszych chęci.

Pobył Aleksandra w Warszawie podtrzymał nadzieje, rozbudzone pierwszą jego bytnością, ale nie na długo.

Wyższe sfery rosyjskie krzywo patrzyły na to, co się dzieje w Polsce, i niedwuznacznie wyrażały swe oburzenie z powodu zamiaru przyłączenia do Królestwa Litwy. Zadał silny wiatr reakcji. Głośny histo-

ryk rosyjski Karamzin złożył Aleksandrowi memorjał, w którym między innym pisał:

„Zdobyliśmy Polskę mieczem; oto nasze prawo, któremu wszystkie państwa swój byt zawdzięczają, bo wszystkie są owocem zaborów... Dotąd naszym prawidłem państwowym było: ani piędzi ziemi, czy to wrogowi, czy przyjacielowi. Czy możesz nam, Najjaśniejszy Panie, odjąć własność Rosji?... Czy odbudowanie Polski zgadza się z dobrem państwa rosyjskiego, ze świętami Twojemi obowiązками?...“

Pod wpływem takich głosów usposobienie Aleksandra, który był wielce wrażliwy na głosy opinii, szybko ulegało zmianie — i konstytucyjny król polski coraz niechętniej spoglądał na Królestwo i coraz wyraźniej przechylał się na stronę biorącej górę reakcji.

Taki nastrój w Petersburgu rozwiązywał ręce W. Ks. Konstantemu.

Zaczął on rządzić jak pan samowładny i despotyzmem swoim wzbudzać ogólne szemranie, a później gniew, który do czasu miał wrzeć głucho w duszy obrażonego narodu.

Rozpoczęły się w Królestwie rządy samowoli.

Zajączek, nie chcąc się niczym narazić swemu protektorowi, komunikował mu wszelkie projekty administracyjne, radził się we wszystkich poważniejszych sprawach i zawsze stosował się do usłyszanych życzeń i wskazówek. A podejrzliwy i despotyczny Konstanty, nie ufając nikomu z Polaków, radził się ze swej strony Nowosilcowa i w gruncie rzeczy w jego ręce przeniósł władzę namiestniczą, sam zaś oddał się ulubionemu zajęciu, t. j. przeglądowi i musztrowaniu wojska.

I teraz dopiero dał poznać swoją gwałtowną, tygrysią naturę.

Słynne przeglądy na placu Saskim stały się torturowaniem żołnierzy i oficerów. Najmniejsze uchybienie przepisom wojskowym wprawiało W. Księcia w stan niesłychanego rozdrażnienia. Na widok źle przyszytego guzika lub jakiejkolwiek innej drobnostki wpadał w wściekłość. Delikwenta, na którego zwrócił swój straszny gniew, najczęściej uderzeniem pięści obalał na ziemię, a później tratował nogami bez miłosierdzia i upamiętania. Oficerów lżył, a nieraz szturchał przed frontem, znieważał nawet starszych a zasłużonych wojskowych.

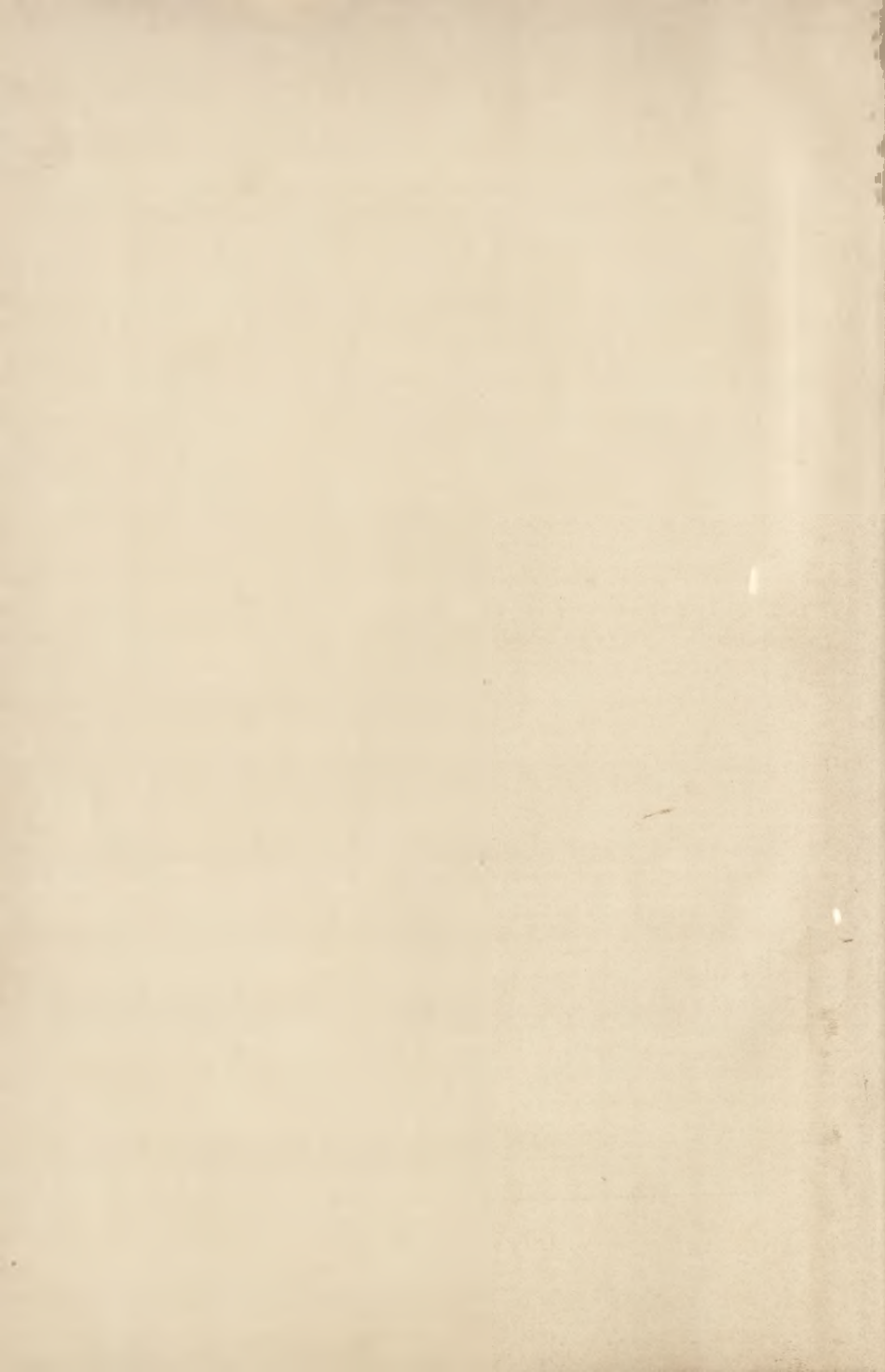
Tymczasem w armji polskiej przechowywały się tradycje Napoleona i wysokie pojęcie honoru ożywiało szeregi. Starzy żołnierze z zaciśniętymi zębami znosili tyranję naczelnego wodza, a oficerowie, nie mogąc znieść wyrządzanych im obelg, podawali się do dymisji. Kilku szlachetnych młodzieńców, nie chcąc żyć po doznanych zniewagach, odebrało sobie życie. Ale ani samobójstwa, ani szemrania całego kraju nie miały wpływu na W. Księcia. Nie zważając na nic, w dalszym ciągu znęcał się nad pozostawionym jego pieczy wojskiem, dręczył na musztrach bataljony, pułki, brygady, torturował całą armję, doprowadził ją rzeczywiście do ogromnej sprawności w ćwiczeniach, ale zarazem pozbawił ją najdzielniejszych elementów.

A za plecami W. Księcia knował swe intrygi Nowosilcow i powoli, lecz systematycznie doprowadzał kraj do rozpacz...

Intrygant ten poprzysiągł sobie zniszczyć odrębność Królestwa i połączyć je w jedną całość z Cesarstwem.



WIELKI KSIĄŻĘ KONSTANTY



Dla dopięcia tego celu pisał tajne raporty do Petersburga i w raportach owych żółcią a sadzami malował społeczeństwo polskie, wyzyskując najmniejszą drobnostkę, któraby mogła zmienić usposobienie Aleksandra. Swoją krecią robotę rozpoczął od zorganizowania policji tajnej i wprowadzenia do wszystkich sfer życia systemu szpiegowskiego. Kreatury Nowosilcowa należały do mętów społecznych. Byli to oszuści, złodzieje, wypuszczeni z więzienia, znikczemniali urzędnicy, pragnący się z bogacić, słowem, wyrzutki, wyprane z czci, wyzute z sumienia. Szpiegowie Nowosilcowa wkradali się różnemi sposobami do zaufania podejrzanych jednostek, wciskali się do domów prywatnych, podsłuchiwali w restauracjach, kawiarniach, na ulicach i o wszystkim, co usłyszeli, a co wydało im się podejrzanym, donosili natychmiast swojemu panu, który hojnie donosy te opłacał. Na czele owej bandy szpiegowskiej stanęli dymisjonowani oficerowie: Van-der-Noot i Kampen, a potem główną rolę odegrali w niej fryzjer Makrot i porucznik Szlej.

Otóż na zasadzie wiadomości, otrzymywanych od takich ludzi, Nowosilcow składał raporty W. Księciu i posyłał swe relacje Aleksandrowi. Na słabym i chwiejnym Zajączku wbrew wyraźnym zapowiedziom konstytucji wymógł powołanie do życia komitetu cenzury. Na czoło tego komitetu wysunął Polaka Szaniawskiego, który niegdyś głosił teorie rewolucyjne, a później przedzierzgnął się w zapamiętałego wroga wolności i swobód. Wybór był doskonały. Szaniawski okazał się wytrawnym prześladowcą słowa drukowanego. Na prasę polską posypały się kary, pisma zaczęto zamykać, redaktorów — więzić.

I oto obywatele polscy przekonywali się codziennie, że w kraju wolnym i konstytucyjnym nie tylko działać, ale nawet mówić szczerze niewolno.

W takim stanie rzeczy zebrał się po raz drugi Sejm (r. 1820).

I tym razem przyjechał na otwarcie Sejmu cesarz Aleksander. Ale źle usposobiony przez Nowosilcowa przyjechał cierpki i gniewny. W mowie, zagajającej obrady, przestrzegał posłów przed złym duchem, co się nad Europą unosi, a zarazem dał do zrozumienia, że nadaną Królestwu konstytucję może odwołać.

Złowrogo zabrzmiały te słowa w uszach zgromadzonych, ale izba poselska nie myślała rezygnować z praw swoich.

Na posiedzeniu Sejmu rząd wniósł dwa projekty, z których jeden ograniczał jawność rozpraw sądowych, a drugi ograniczał prawo posłów do kontrolowania ministrów. Oba projekty wyraźnie zmierzały do utorowania dróg samowoli, oba niezgodne były z konstytucją. W obradach Sejmu na czoło opozycji wysunęli się posłowie kaliscy, Wincenty i Bonawentura Niemojowscy. Zwłaszcza Wincenty Niemojowski ostro krytykował rząd, a gdy projekty rządowe zostały odrzucone, posunął się jeszcze dalej i zażądał od izby poselskiej, aby zakwestjonowała prawność rozporządzeń, powołujących do życia komitet cenzury.

Wniosek ten nie został przyjęty, ale odrzucenie projektów rządowych i śmiałe mowy Niemojowskiego rozgniewały Aleksandra.

Gniew ten rozdmuchali pochlebcy. Zamykając obrady Sejmu, Aleksander wyraźnie dał poznać

swoje usposobienie. W mowie jego zabrzmiała nuta groźby.

— Opóźniliście — powiedział posłom — dzieło przywrócenia ojczyzny. Ta ciężka odpowiedzialność na was spadać będzie...

A nazajutrz, opuszczając Warszawę, powiedział W. Ks. Konstantemu, że pozostawia mu zupełną swobodę działania, a konstytucję bierze na siebie. Nie-mojowskim, którzy opozycją zwrócili na siebie uwagę, zabronił cesarz przyjeżdżać do Warszawy.

I oto reakcja poczęła z każdym dniem wzrastać.

Nowosilcow, mając rozwiązane ręce, zapoczątkował prześladowania na wielką skalę. Doszło do tego, że trzeba było się pilnować nie tylko na ulicy, ale na zebraniach poufnych, a nawet we własnym mieszkaniu, bo nie można było wiedzieć, czy za drzwiami nie stoi szpieg i nie spisuje tego, co przyjaciel przyjacielowi w zaufaniu mówi. W. Ks. Konstanty coraz częściej teroryzował już nie tylko wojskowych, ale każdego, kto z zachowania, czy choćby tylko z miny nie budził w nim zaufania. Nawet na ulicy zaczepiał przechodniów i znęcał się nad nimi. A Szaniawski stał na straży cenzury, węszył wszędzie nieprawomysłność i w żelaznych kleszczach reakcji wciągnął prasę polską.

Niepokój ogarnął kraj cały, życie stawało się duszne, ciężkie; nastrój pogodny, wywołany w początkach panowania Aleksandra, rozplątywał się w mgłach przygnębienia i niepewności.

Tymczasem Nowosilcow czuwał i nowe niespodzianki szykował społeczeństwu. Nie poprzestając na prześladowaniu dorosłych, senator przeniósł swój

wzrok na kształcącą się młodzież i niebawem wzniosł nad nią topór swej nienawiści.

Rozpoczęła się nowa era prześladowań, uwieczniona w Dziadach Mickiewicza.

Na czele ministerjum oświaty stał Stanisław Kostka Potocki, człowiek szczerze postępowy, o głowie otwartej i wybitnych zdolnościach. Dzięki jego energii szkolnictwo w Królestwie Polskim stanęło wkrótce na wysokim poziomie. Już w r. 1816 założono w Warszawie uniwersytet, w rok później powstał instytut agronomiczny w Marymoncie, jednocześnie zaś powołano do życia kilka wyższych zakładów naukowych, a ilość szkół elementarnych wiejskich i miejskich tak szybko wzrastała, że w ośm lat po utworzeniu Królestwa doszła do pokażnej jak na owe czasy cyfry 900. System wychowawczy, póki na czele oświaty stał Stanisław Potocki, polegał na rozwijaniu w młodzieży poczucia honoru i obowiązku. Pomiędzy uczącymi się a nauczającymi panowała harmonja, zaufanie wzajemne i przychylność.

Ale stan taki nie trwał długo.

Stanisław Potocki nie mógł się podobać W. Księciu, ani Nowosilcowowi. Więc rozkazano mu podać się do dymisji, a na jego miejsce powołano Stanisława Grabowskiego, należącego do tejsamej kategorii ludzi, co słynny cenzor Szaniawski.

Nowosilcow wiedział, że Grabowski, we wszystkim powolny, odpowie swemu zadaniu. I nie zawiodł się. Liczba uczniów szybko we wszystkich szkołach zaczęła się zmniejszać, w murach szkolnych niknęło zaufanie, rozpoczęły się natomiast szpiegowania, donosy, a wraz z nimi areszty i kary dyscyplinarne.

A były to czasy, kiedy młodzież w całej Europie przeniknął prąd spiskowy. Mnożyły się tajne organizacje pod hasłem walki z despotyzmem, a reakcja, idąca z góry, sprzyjała spiskowaniu. Kto czuł żywiej i goręcej, a do czyjego serca przemawiały hasła równości, wolności i braterstwa, ten zstępował w podziemia, sprzymierzał się z wyznawcami tych samych ideałów i ślubował życie swe tym ideałom poświęcić. Tak działo się na olbrzymiej przestrzeni Europy od gór Uralskich aż po wody Atlantyku, tak działo się w Królestwie, w którym wobec jawnego gwałcenia swobód odruchy konspiracyjne były całkiem naturalne.

W r. 1819 powstała głośna później organizacja pod nazwą Wolnomularstwa Narodowego. Twórcą tej organizacji był major czwartego pułku linjowego, Walerjan Łukasiński, człowiek o duszy czystej i pięknej, obdarzony niezłomną wolą i hartem, a cały przeniknięty myślą o odbudowaniu ojczyzny. Wolnomularstwo Narodowe miało pozory legalności, ale dążyło do tego, aby cały naród ożywić jednym buntowniczym duchem i wrócić Polsce niepodległość. Organizacja ta została wkrótce zamknięta, ale Łukasiński nie składał broni i, nie myśląc wyrzekać się konspiracji, utworzył w r. 1821 nowy spisek, ściślejszy i złożony z ludzi zaufania, a znany pod nazwą Towarzystwa Patryjotycznego.

Stowarzyszeni dzielili się na gminy, liczące od 4—10 osób, a połączone w okręgi, do których należało 3—9 gmin. Okręgi łączyły się w prowincje*), a na-

*) Prowincji było siedem, a mianowicie: Królestwo Polskie,

czelną władzą był Komitet Centralny, którym rządził Łukasiński.

Policja tajna często wpadała na tropy sprzysiężenia, ale dopiero zdrada jednego ze spiskowców, niejakiego Karskiego, naraziła Towarzystwo Patryjotyczne na prześladowania. W r. 1822 aresztowany został Łukasiński i, oskarżony o zbrodnię stanu, wtrącony do lochu. Dwa lata nękanego go i dręczono, ale twórca Towarzystwa milczał, jak grób, nic nie powiedział i nikogo nie wydał. Wbrew istniejącym prawom oddano Łukasińskiego i jego towarzyszy pod sąd wojenny, ślepo posłuszny W. Księciu.

W czerwcu r. 1824 zapadł wyrok, skazujący Łukasińskiego na dziesięć lat ciężkiego więzienia, a dwóch jego towarzyszy, Ignacego Dobrogojskiego i Mikołaja Dobrzyckiego — na lat sześć.

A jakby nie dość było tej okropnej kary, W. Ks. Konstanty nakazał egzekucję publiczną.

Dobrze ona maluje owe czasy i dla tego zasługuje na uwagę.

W dzień egzekucji skazańców ubrano w mundury galowe, udekorowano otrzymanemi poprzednio orderami, a potem wsadzono do furgonu wojskowego i pod eskortą żandarmerji odstawiono do obozu za rogatkami powązkowskiemi. Czekwały tam z rozkazu W. Księcia liczne oddziały wojsk polskich i rosyjskich. A dokoła stały tłumy ludu warszawskiego, stały w ponurym milczeniu, bezbronne, bezsilne, nieruchome, przygwożdżone do miejsca współczuciem dla skazańców i dławiącą gardła rozpaczą.

Litwa, Wołyń i Podole, Galicja, Kraków, W. Księstwo Poznańskie oraz armja polska.

Zaturkotały koła furgonu — i oczy tłumów spo-
czyły na delikwentach. Na miejscu egzekucji więźniom
rozkazano wysiąść. Wojska, sformowane w czworo-
bok, sprezentowały broń, a skazańców otoczyli żan-
darmi z obnażonymi pałaszami i wprowadzili w śro-
dek czworoboku. Odczytano wyrok, poczym zaraz
odezwały się bębny. Wówczas do skazanych zbliżył
się człowiek olbrzymiego wzrostu, cały ubrany czarno.
Był to kat. Przystąpił najpierw do Łukasińskiego,
zdarł mu szlify i ordery, odebrał szpadę i złamał nad
głową. Tosamo powtórzyło się z Dobrogojskim i Do-
brzyckim. A gdy kat zrobił swoje, rzucili się na ska-
zańców katowscy pomocnicy, zerwali z więźniów mun-
dury, nałożyli siermięgi więzienne, zgolili głowy, po-
czym powalili delikwentów na ziemię i rozpoczęli
zakładać kajdany. Zabrzęczały łańcuchy, odezwały się
przeraźliwe dźwięki zakuwanego na żywe ciało żelaza.

W głuchym przerażeniu słuchały tłumy tej strasz-
nej muzyki, ale nie był to koniec okropnego wido-
wiska.

Gdy kajdany zostały nałożone, skazańców usta-
wiono na ziemi, dano im do rąk taczki, napełnione
gruzem, i kazano przejść przed frontem zgromadzo-
nego wojska.

I znowu głucho zawarczały bębny.

Skazańcy spełnili rozkaz. Pierwszy szedł Łukasiń-
ski. Szedł ogolony, w odzieży zbrodniarza, kajdany
do krwi wrzynały się w ciało, trupia bladość po-
krywała policzki. Ale szedł z hardo podniesioną
głową, pchał przed sobą taczkę i jasnym, niewinnym
wzrokiem wodził zwolna po frontowej linii żołnierzy,
patrzył wprost w oczy szeregowcom i oficerom. A tuż

za nim, dzwoniąc kajdanami, postępował Dobrogojski i Dobrzycki.

Na widok takiego upokorzenia i takiej niedoli zimny dreszcz wstrząsnął widzami; wojskowi, zarówno Polacy jak Rosjanie, nie mogli się powstrzymać od łez, a piersią tłumu wstrząsnęło rozgłośnie szlochanie, głuszone łoskotem bębnow.

W taki to sposób W. Księżę Konstanty chciał dać przykład, któryby odstraszył innych od wstąpienia w ślady Łukasińskiego.

Przykład, jak to łatwo przewidzieć, odniósł rezultat wręcz przeciwny. Łukasiński stał się bohaterem narodowym, a jego działalność licznych znalazła naśladowców. I Towarzystwo Patryjotyczne nietylko nie przestało istnieć, ale spotęgowało swą czynność. Znaleźli się nowi działacze — i organizację poprowadzili dalej, próbując dróg nowych, a między inn. i porozumienia się z rewolucjonistami rosyjskimi, którzy w owym czasie marzyli o zamachu i przekształceniu rządów absolutnych w Rosji.

Spiski, pociągając w swój wir ludzi starszych, szerzyły się jednocześnie i wśród kształcącej się młodzieży. Upokorzenia, jakich doznawał naród, odczuwała ona głęboko, a nie mogąc jawnie uczuć swych wyrażać, zaczęła naradzać się szeptem i skrycie marzyć o odbudowaniu utraconej ojczyzny. Na grunt tych marzeń padały ziarna, przynoszone wichrem rewolucyjnym z Zachodu — i hasła równości, wolności, braterstwa krzewiły się w sercach i bujnemi wschodziły kło-



Adam Mickiewicz

sami. I oto zapanował wśród młodzieży nastrój serdeczny, rosła chęć zdobywania wiedzy, a zarazem potęgował się duch patryjotyczny.

Jedną z pierwszych organizacji tajnych wśród młodzieży w Królestwie był związek, powołany do życia w r. 1820 pod nazwą Wolnych Braci Polaków.

Związek ten dzielił się na trzy loże, albo chorągwie, noszące imiona sławnych Polaków: Kościuszki, Rejtana i Kołłątaja. Każda z chorągwi miała swego delegata w kapitule, na której czele stał wielki mistrz. Przyjmowanie do związku odbywało się z wielkimi ostrożnościami, z zachowaniem form, które podówczas szeroko wśród spiskowców były rozpowszechnione.

Kandydata wprowadzano do obszernej komnaty, osłoniętej gęstym kirem, i tam w obecności zamaskowanego mistrza i żałobnie przystrojonych towarzyszy odbierano uroczystą przysięgę. Na stole, przy którym zasiadał mistrz, widniała trupia czaszka na znak grobowej tajemnicy i ostrzegawczo błyszczał sztylet, przeznaczony dla tych, co by zdradzić zamierzili sprawę. Po odebraniu przysięgi zgromadzeni intonowali półgłosem pieśń chóralną — i kandydat stawał się członkiem związku.

Trzy lampki spirytusowe, rzucające niebieski blask na zebranych, miały przypominać trzy dzielnice Polski, których połączenie powinno było stać się celem życia dla każdego, kto przekroczył próg tajemniczej komnaty.

Już sama ceremonia przyjęcia do związku czyniła na młodych umysłach głębokie wrażenie i nieraz budziła uczucia, które przetrwały zmienne koleje życia i do grobu nie opuszczały sprzysiężonych. Znakomity

poeta, Seweryn Goszczyński, w takich słowach wspominał później chwilę swego wstąpienia do związku:

Nie wiem, jak długo w tym zachwycie stałem,
 Bo w niesklóconej, tajemniczej ciszy
 Wciąż pieśń ta brzmiała — a ja słuchałem,
 A choć ucichła, dotąd ją słyszy
 Dusza w swej głębi... Odtąd całe życie
 Śpiewam ją sercem, przez nią, bracia mili,
 Zawsze mię takim ujrzycie,
 Jaki byłem w onej chwili.

I rzeczywiście niektórzy związkowcy szeroko zasłynęli z czasem, jako ludzie wielkiego serca i poświęcenia dla poślubionej w młodości sprawy.

O wiele wcześniej, bo już w r. 1817 powstało w Wilnie Towarzystwo Filomatyczne, w którym rejdowali Tomasz Zan i Adam Mickiewicz. Oni to również powołali do życia związki Promienistych, wreszcie Towarzystwo Filaretów, które ogółowi związkowych było nieznane, a które, stanowiąc władzę naczelną, czuwało nad działalnością Filomatów i Promienistych.

We wszystkich tych związkach kształcono się żarliwie, czytano cenniejsze utwory literatury polskiej, zaznajamiano się ze stanem spraw krajowych, a nie brak było i czynów, mających następstwa doraźne. Oto np. Promieniści skupowali książki, rozsyłali je ubogim kolegom po szkołach i szkołkach litewskich, by przenieść i tam zasady, które tak bujnie krzewiły się w Wilnie. Podczas wakacji zbierali wszelkie wiadomości o stronach rodzinnych, zbliżali się do ludu, nieśli pod strzechy słowa pociechy i nadziei, a widocznie musieli zyskać miłość, bo w chatach włościańskich widziano ich mile i podejmowano serdecznie.

Z biegiem czasu mnożyła się liczba tajnych stowarzyszeń i coraz szersze obejmowała koła.

A jednocześnie z budzeniem się nowych uczuć i nowych pożądań powiał świeży wiatr i w literaturze ojczystej.

To młodość rozwinęła skrzydła i ukazała się w dymach upojenia, w obłokach marzeń, ukazała się krzepka, dzielna, bezwzględna, budząc gniew i przerażenie wśród obywateli, którzy nie oczekiwali niczego, i porywając wszystkich, co ku nowemu życiu z tęsknotą wyciągali ramiona i przyzywali je całą potęgą i całą wiarą młodzieńczego serca. Adam Mickiewicz rzucił był właśnie w świat swą słynną Ode do młodości i tym grzmiącym utworem, nawołującym do śmiałego czynu i do odpowiadania gwałtem na gwałt, ujarzmił wyobraźnię swego pokolenia. Większe jeszcze wrażenie uczynił poematem: Konrad Wallenrod. Ten tajemniczy rycerz, wypowiadający bój śmiertelny Krzyżakom, ukazał się oczom ówczesnych, jako zwiastun walki nieubłaganej — i nowa pieśń Mickiewicza jak daleki grzmot, poprzedzający burzę, rozległa się po całej ziemi polskiej.

Znaczenie tego poematu rozumiał nawet Nowosilcow i w tajnym raporcie, przedstawionym W. Księciu, pisał, iż Mickiewicz chce przygotować przyszłe wypadki i nauczyć swoje pokolenie być lisem, aby je z czasem przemienić w lwa.

I tym razem nie mylił się Nowosilcow. Istotnie Mickiewicz lwa chciał obudzić w pokoleniu, a jeśli nawet celu tego nie dopiął, to uczynił wiele, gdyż młodzież, czytając Konrada Wallenroda, prze-

nikało uniesienie i żądza walki coraz silniej wżerała się w serca.

Wielkie wrażenie wywołały również poematy takich poetów, jak Malczewski, Zaleski i Goszczyński, a także artykuły młodego, pełnego entuzjazmu krytyka Mochnackiego, który w swych pracach, pełnych ognia i zapału, tłumaczył publiczności znaczenie owych utworów lub w polemikach z przeciwnikami nowego prądu w literaturze odpierał wszelkie zarzuty i słowami, ostreimi jak miecze, miazdżył zwolenników rutyny, ładu i spokoju.

Powoli dojrzewały pragnienia młodzieży i myśl o powstaniu coraz wyraźniejsze przybierała kształty.

A Nowosilcow czuwał i na swój sposób czynił wszystko, aby ta myśl na chwilę nie przestała nurtować umysły.

Przeniósłszy swój lisi wzrok na kształcącą się młodzież, puścił pomiędzy nią swych szpiegów i odkrył Związek Wolnych braci Polaków.

Klasztor Karmelitów na Lesznie, przerobiony na więzienie, zapełnił się niebawem nowymi ofiarami. Rozpoczęły się śledztwa, a później posypały się kary. Spiskowców zaczęto wcielać do wojska rosyjskiego, wysyłać w głąb Rosji, pozbawiać praw i traktować jak zbrodniarzy.

Prześladowania Nowosilcowa sięgnęły i do Wilna.

A stało się to tak.

Jeden z uczniów gimnazjum wileńskiego, kilkonastoletni Michał Plater, w rocznicę konstytucji 3 Maja napisał w klasie na tablicy: „Niech żyje konstytucja 3 Maja!“ I ten drobny fakt pociągnął za sobą nieobliczalne i nieprawdopodobne następstwa. Platera pod-

patrzył nauczyciel języka rosyjskiego Ostrowskij i tak się przeraził owym napisem, iż zawiadomił o nim gubernatora. Gubernator, rzecz nie do uwierzenia! przeraził się również i ze swej strony wysłał raport do W. Ks. Konstantego. A W. Księżę rozgniewał się srodze i polecił Nowosilcowowi zbadać przyczynę „buntu“.

Dla Nowosilcowa była to gratka nielada!

Oczywiście z zapalem zabrał się do dzieła i począł uśmierzać buntowników.

O tym uśmierzaniu całe dzieło możnaby napisać, ale dość powiedzieć, że młodziutkiego Platera zakuto w kajdany i pod silnym konwojem odesłano na dalsze śledztwa do Warszawy, w samym zaś Wilnie uwięziono rektora uniwersytetu i kilku profesorów i nauczycieli, wreszcie zaczęto nękać mieszkańców nieustannym badaniem i rewizjami.

Wkrótce policja wpadła na trop istniejących towarzystw — i od tej pory rozpoczęła się nowa era śledztw, aresztów, gromadnych wywożeń w głąb Rosji i na Sybir, słowem, era udręczeń, którą tak niezrównanie nieśmiertelnym swym piórem opisał w *Dziadach* Mickiewicz.

Jedyną jaśniejszą stroną życia w tym smutnym okresie był gospodarczy stan kraju. Dzięki pokojowi podniosło się zaniedbane rolnictwo, ożył handel, rozwijać się zaczął przemysł górniczy i fabryczny; w miasteczkach, które w owych czasach składały się z chat, krytych słomą, przybywało coraz więcej domów murowanych, zwiększyła się ilość dróg bitych i traktów. Skarb Królestwa Polskiego znalazł się wkrótce w stanie kwitnącym i najzupełniej wystarczał na opędzenie niezbędnych potrzeb kraju. Przyczynił

się do tego minister skarbu, książę Ksawery Lubecki, człowiek wielce pomysłowy i rzutki, obdarzony silną wolą i energją. Umiał on zyskać zaufanie Aleksandra, a później Mikołaja, zdobył ogromny wpływ w Petersburgu, był jedynym człowiekiem w kraju, który przeciwstawiał swą wolę W. Księciu i walczył nie-raz bardzo skutecznie z Nowosilcowem. Dzięki Lubeckiemu przyszło do skutku założenie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, które oddało wielkie usługi rolnikom, jego też dziełem był Bank Polski, instytucja urządzona i działająca wzorowo. Bank Polski popierał przemysł, handel i rolnictwo, a działalnością swoją budził podziw nawet nieprzychylnych Polsce cudzoziemców.

Niestety, potężny książę Lubecki lekceważył konstytucję; gdy stała mu na drodze, to ją deptał bezceremonjalnie, twierdząc, że prawa konstytucyjne są przywilejem nie obywateli, lecz panującego. Szczęście Polski widział minister w ścisłym przymierzu z Rosją, względem Petersburga był całkiem lojalny, spiski potępiał, myśl o powstaniu uważał za przedsięwzięcie szalone i niebezpieczne. Zbogacając skarb Królestwa, gnębił obywateli podatkami, egzekwował zaległości skarbowe, cofając się kilkadziesiąt lat wstecz, i w ten sposób przyczyniał się do wzrostu niezadowolenia, które pogłębiali nieustannie W. Ks. Konstanty i Nowosilcow.

W r. 1825 zebrał się po raz trzeci Sejm, na który przyjechał Aleksander, poprzedzając swój przyjazd tak zw. Artykułem dodatkowym do Konstytucji, znoszącym jawność obrad, a więc odbierającym Sejmowi charakter instytucji publicznej.

Otwarcie Sejmu inny jeszcze poprzedził wypadek, również w państwie konstytucyjnym nieznany. Oto W. Ks. Konstanty, nie chcąc dopuścić do głosu opozycji, kazał aresztować posła Niemojowskiego, który zjechał do Warszawy — i pod eskortą żandarmów polecił odesłać go na wieś.

Jednakże wbrew temu, czego można było oczekiwać, obrady Sejmu przeszły spokojnie, posłowie zachowywali się z wielkim umiarkowaniem — i Aleksander wyjechał z Warszawy zadowolony.

Wkrótce potym umarł.

Na opróżniony tron rosyjski wstąpił w grudniu roku 1825 młodszy brat W. Ks. Konstantego, cesarz Mikołaj.

Intencje nowego monarchy względem Polski ujawniły się szybko i niebawem spotęgowały ogarniający społeczeństwo niepokój. Wprawdzie Mikołaj w manifestach, zwróconym do Polaków, przysięgał uroczystości, że utrzyma akt konstytucyjny, ale czyniły co innego. W r. 1826 umarł Zajączek. Cesarz nie mianował nowego namiestnika, lecz władzę namiestniczą przelał na Radę Administracyjną, którą trząsał W. Książę. Wogóle Mikołaj nie tał swego despotyzmu i wyraźnie dawał do poznania, że opozycji nie ścierpi. Chcąc przeciąć wszelkie marzenia o powiększeniu terytorjum Królestwa Polskiego, zaczął rusyfikować Litwę, a niebawem przekonał wszystkich, że nawet marzenia o odbudowaniu Polski, marzenia, podtrzymywane przez swego poprzednika, uważa za rzecz występłą.

Rzecz się miała tak.

Wstąpieniu Mikołaja na tron towarzyszyły zabu-

zenia rewolucyjne, wywołane przez spiskowców rosyjskich, tak zw. dekabrystów. Zaburzenia te krwawo rząd rosyjski stłumił, a śledztwa, mające zbadać przyczynę rozruchów, naprowadziły policję na ślady tajnych towarzystw, działających i w Królestwie Polskim.

Rozpoczęły się nowe aresztowania.

W ciągu stycznia i lutego 1826 r. niemal codziennie zwożono więźniów do klasztoru karmelitów, a gdy klasztor został przepełniony, obrócono na więzienie pałac brühlowski i lochy ratusza. Srożył się W. Książę Konstanty, szalał Nowosilcow — i obaj przysięgli sobie dać społeczeństwu nauczkę, któraby raz nazawsze odebrała chęć do spiskowania. Można było oczekiwać czegoś strasznego. Cały kraj pamiętał proces Walerjana Łukasińskiego i drżał na myśl o tym, co stanie się z uwięzionymi.

Powody tego niepokoju były bardzo poważne, bo W. Ks. Konstanty i tym razem chciał oddać oskarżonych pod sąd wojenny. Nowosilcow czynił wszystko, aby tę myśl doprowadzić do skutku, na szczęście ks. Lubecki, zawsze lojalny i uległy, a pomiatający konstytucją, tym razem oparł się na konstytucji i wbrew Nowosilcowowi, którego szczerze nienawidził, domagał się zwołania Sądu Sejmowego.

Sprawa oparła się o cesarza i Lubecki, mający w Petersburgu wielkie wpływy, zwyciężył.

Zjechali się więc na sąd senatorowie i rozpoczęli obrady. Wszyscy rozumieli, że tu chodzi o rzecz bardzo ważną, gdyż wyrok miał kategorycznie potępić ludzi, którzy myśleli o odbudowaniu ojczyzny, lub też uczynić senatorów współuczestnikami zarzuconej spiskowcom zbrodni.

Przewodniczący Sądu Piotr Bieliński i ks. Adam Czartoryski wypowiadali się za uniewinnieniem oskarżonych i w tym duchu starali się oddziaływać na innych senatorów, ale zdania były podzielone i nikt nie wiedział, jaki wyrok Sąd Sejmowy wyda.

Opinia mocno była zaniepokojona, wszyscy bowiem rozumieli, że tu nie tylko o los oskarżonych chodzi, lecz o dowód, że za oskarżonemi stoi kraj cały.

Więc gdy rozpoczął się proces, oczy całej Polski przeniosły się na ławę oskarżonych.

Kto zwycięży?

W. Księżę Konstanty i Nowosilcow, czy spiskowcy?

Pytania te przywarły do wszystkich ust i gorące zniecierpliwienie ogarnęło umysły. Ustały wszelkie zabawy, zebrania, zbiegowiska, na ulicach mnóstwo osób ukazało się w żałobie, kościoły przepełniły się ludem. Z naprężeniem śledzono proces, z ust do ust podawano sobie niepublikowane szczegóły rozpraw, każda wieść z sądu lotem strzały przebiegała miasto i elektryzowała oczekującą wyroku publiczność.

Dnia 10 czerwca 1828 r. sędziowie ogłosili wyrok, orzekający, że oskarżeni nie popełnili zbrodni stanu, że cała ich wina polega na zakładaniu zabronionych towarzystw. Zgodnie z takim orzeczeniem skazano podsądnych na dwa do trzech miesięcy aresztu, jedynie Seweryn Krzyżanowski sroższą poniósł karę.

Odetchnęła Warszawa, a z nią cała Polska. W oczach ogółu honor narodu był uratowany.

Lecz teraz jaskrawo wyszły na jaw intencje Mikołaja. Wbrew wszelkim orzeczeniom konstytucji cesarz wydał reskrypt, rozkazujący Sądowi Sejmowemu

wstrzymać opublikowanie wyroku. Senatorom polecono zatrzymać się w Warszawie, a podsądnych wsadzono do kibitki i wywieziono do Petersburga, pod pretekstem skonfrontowania ich ze spiskowcami rosyjskimi. Sędziom wyraził Mikołaj swoje niezadowolenie.

II.

NOC 29 LISTOPADA.

Na widownię wystąpić mieli niebawem podchorążowie.

Byli to młodzi żołnierze, którzy, służąc w szeregach, dosłużyli się stopnia podoficerskiego, a pilnym wypełnianiem swoich obowiązków zwrócili na siebie uwagę zwierzchności. W. Ks. Konstanty postanowił kształcić tych młodych ludzi i przygotować ich na dzielnych, dobrze znających swoje rzemiosło oficerów. W tym celu utworzył szkołę, w której podchorążowie ćwiczyli się we władaniu wszelką bronią i zdobywali wiedzę fachową.

Szkoła mieściła się w jednej z oficyn pałacu Łazienkowskiego.

W. Ks. Konstanty z zadowoleniem śledził postępy tych młodych żołnierzy, cieszył się ich dzielną postawą, postęпами w nauce i roztropnością, a społeczeństwo, uważając podchorążych za pupilów W. Księcia, nie podejrzewało ich nawet o jakieś wznioślejsze uczucia. Nikt nie wiedział, że W. Książę tuż pod swoim boki umieścił najstraszniejszych wrogów, że te młode dusze, skazane na atmosferę koszar, przenika ogień uniesienia patryjotycznego, że głowy

podchorążych płoną i roją o czynach wielkich a śmiałych. Nikt nie przypuszczał, że w tej uczelni, otoczonej troskliwością W. Księcia, szerzy się buntowniczy spisek, że kują się miny i gromadzą materiały palne.

Dzięki takim warunkom podchorążowie swobodnie mogli spiskować.

Nieraz w przerwie pomiędzy jednym a drugim ćwiczeniem na wesołe zuchowate twarze podchorążych dziwna zstępowała powaga, a słowa, zamieniane ukradkiem, świadczyły, że nie tylko koszary i ćwiczenia są przedmiotem rozpraw. Nieraz w noc głuchą, gdy starszyna przestała czuwać, w murach szkolnych słyszać było szept przytłumiony. To podchorążowie rozprawiali o położeniu kraju, spowiadali się ze swoich uczuć i marzeń, radzili wspólnie, w jaki sposób wywołać powstanie.

Marzenia te, początkowo niejasne i nieokreślone, znalazły ujście w tajnym sprzysiężeniu, zwanym spiskiem podchorążych.

Spisek ten utworzył w grudniu 1828 r. podporucznik grenadierów gwardji, a zarazem instruktor w szkole podchorążych, Piotr Wysocki. Była to płomienna dusza, gotowa do największych poświęceń. Szczerze bolejąc nad tym, co się dzieje w kraju, Wysocki postanowił zorganizować młodzież wojskową i w odpowiedniej chwili zbrojnie upomnieć się o prawa. Niestety, naczelnik spisku nie sięgał w przyszłość i marzył tylko o wywołaniu wybuchu, sądząc, że na dany sygnał kraj cały porwie się do broni. W dodatku Wysocki nie miał przed sobą jasno określonego celu. W rocie przysięgi, którą składali

spiskowcy, była mowa o podniesieniu oręża w obronie konstytucji, tymczasem było rzeczą jasną, że powstanie, zakończone klęską, nie obroni konstytucji, przeciwnie zaś, uwieńczone zwycięstwem, nie poprzestanie na zapewnieniu Królestwu swobód konstytucyjnych, lecz siłą rzeczy poprowadzi do przyłączenia Litwy i zupełnej niezależności narodu.

Tego wszystkiego nie przewidywał Wysocki ani jego młodzi przyjaciele — i spisek pod złą wróżbą rozpoczął życie.

Mimo to rósł szybko w siły i znaczenie, w szeregach spiskowców znalazło się wkrótce wielu oficerów z różnych pułków, konsystujących w Warszawie i na prowincji, a z czasem do spisku przyłączyło się grono cywilne, gotowe oddać swe siły na usługi sprawy.

Do grona tego należał znany poeta Seweryn Goszczyński, jego serdeczny przyjaciel Ludwik Nabelak, obaj jak gdyby stworzeni z ognia i siarki, obaj dzielni, odważni, niecierpliwi, silni moralnie i fizycznie, a gotowi na czyny choćby najszańsze. Przystąpił do spisku i Ksawery Bronikowski, człowiek w robocie spiskowej zaprawiony oddawna, a dalej Maurycy Mochnacki, tensam znakomity krytyk, który odpierał zamachy na romantyzm, umysł rzutki, przewidujący, najtęższa głowa, jaką zyskał spisek Wysockiego.

Mochnacki szybko zorientował się w sytuacji i odkrył słabe strony spisku. Rozumiał on, że, chcąc działać z powodzeniem, trzeba przewidzieć wszystko i wszystko przygotować. Namawiał więc Wysockiego, aby przed wybuchem rewolucji pomyślał o zorganizowaniu rządu rewolucyjnego i aby ten rząd utworzył

z ludzi młodych, energicznych, którzy z zapałem oddaliby się sprawie i odrazu nadali jej właściwe kształty.

Spiskowcy porozumiewali się z kilkoma wybitnymi osobistościami, rozmawiali z niektórymi posłami, w tajemniczyli w swe plany Juljana Ursyna Niemcewicza, towarzysza Kościuszki, zawiadomili o swoim istnieniu księcia Adama Czartoryskiego, komunikowali się z Lelewelem, ukochanym przez młodzież profesorem, tu i owdzie mieli nawet obiecane poparcie, ale o utworzeniu rządu rewolucyjnego nie myśleli całkiem.

Wysocki był przekonany, że rząd taki utworzy się sam przez się z ludzi znanych i cenionych. O tym, aby spiskowcy pochwycili władzę, ani chciał słyszeć.

— Któż nas zna? — zapytywał Mochnackiego, gdy ten przedstawiał mu swoje projekty.

Ale Mochnacki nie tropił się łatwo.

— Cóż z tego — odpowiedział Wysockiemu — że nas teraz nikt nie zna, bo czyliż nie damy się wszystkim poznać samym zaczęciem rewolucji? Pierwsze kroki rządu, złożonego z nas spiskowych, uczynią nas natychmiast wielkimi i znanymi całemu światu — argumentował Mochnacki i mówił o wrażeniu, które sprawi uwięzienie W. Księcia, rozbrojenie jego gwardji, gwałtowny marsz powstańców na Litwę i Wołyń.

Ale Wysocki nie czuł się na tyle silnym, by podołać tak wielkim zadaniom, i ani chciał słyszeć o śmiałych planach Mochnackiego.

W maju r. 1829 przyjechał Mikołaj do Warszawy na koronację i wówczas to powstał projekt dokonania zamachu, który poprzedzić miał powstanie. Projekt nie doszedł do skutku i wybuch powstania został odłożony.

W rok potym przyjechał do Warszawy Mikołaj na otwarcie Sejmu.

Publiczność, świadoma usposobienia cesarza, przyjęła go zimno, a Izba poselska wbrew wyraźnie objawionej woli monarszej odrzuciła znowu projekt rządowy w sprawie małżeństw i rozwodów. Co więcej, podczas obrad jeden z posłów wygłosił mowę protestacyjną przeciwko ministrowi sprawiedliwości, który zgodnie z reskryptem cesarskim wstrzymał publikację wyroku Sądu Sejmowego.

Oburzył się na to Mikołaj, Sejm zamknął przemówieniem gniewnym i opuścił Warszawę z zamiarem zawieszenia konstytucji.

Wypadki te podniosły wysoko temperaturę w spisku podchorążych. W dwa miesiące potym, pod wpływem rewolucji lipcowej we Francji, gorętsze żywioły zaczęły nalegać na Wysockiego, by nie odkładał wybuchu.

Pod wpływem takich głosów spiskowcy przystąpili do przygotowań. Warszawa, przeczuwając niedalekie wypadki, zaczęła głośno mówić o rewolucji. Nowosilcew przewidywał, że stanie się coś złego, i uciekł z Warszawy, to samo uczynił znienawidzony cenzor Szaniawski. Tajna policja ostrzegła W. Księcia, by miał się na baczności. Jakoż oznaki groźnych wypadków mnożyły się z dnia na dzień. Pomiędzy publicznością kursować zaczęły tajnie drukowane pi-semka i odezwy, mówiące w tajemniczy sposób o przyszłych wypadkach, a jakiś figlarz na bramie pałacu belwederskiego przyklejał co pewien czas kartkę z napisem: Mieszkanie do wynajęcia, co miało oznaczać, że w pałacu tym niedługo już W. Księżę rezydować będzie.

Tymczasem Konstanty, straszony nieustannie widmem powstania, tym razem nie wierzył w kursujące po mieście pogłoski i aczkolwiek zwrócił baczniejszą uwagę na szkołę podchorążych i dozór nad nią powierzył zaufanemu generałowi Trębickiemu, jednakże przestał zważać na donosy, a nawet kilku spiskowców, pociągniętych do śledztwa, między nimi i Wysockiego, rozkazał uwolnić.

Ale policja w każdej chwili mogła wpaść na niezbity dowód sprzysiężenia i otworzyć oczy W. Księciu. W takich warunkach nie można było zwlekać — i Wysocki postanowił przystąpić do dzieła.

Dzień 29 listopada przeznaczony został na rozpoczęcie wybuchu.

Prócz wtajemniczonych nikt nie wiedział o wyznaczonym terminie. Wyżsi wojskowi i dygnitarze cywilni nie domyślali się niczego, a jeśli kto z nich miał jakieś obawy, to rozpraszał je spokój Konstantego.

W normalnych warunkach rozpoczął się dzień 29 listopada i upłynął spokojnie. Lecz oto zbliżał się wieczór i mrok począł otulać miasto. Spiskowcy, ukończywszy przygotowania, podążyli na umówione stanowiska i w niezmiernym napięciu oczekiwali uderzenia godz. 6, która wyznaczona została na rozpoczęcie kroków stanowczych. Łuny pożarów, jednego na Solcu, drugiego na Nowolipiu, miały wezwać spiskowców do dzieła i oznajmić stolicy o powstaniu.

Dwa główne zadania mieli przed sobą sprzysiężeni.

Jednym z nich było pochwycenie lub zabicie W. Księcia, drugim — rozbrowienie wojsk rosyjskich. Jednocześnie garść spiskowców miała poruszyć lud Starego Miasta, a wojskowi, po dokonaniu rozbrowienia,



W. P. S. O. K. Y.



skoncentrować w jednym miejscu wszystkie pułki polskie, na które można było liczyć.

Jak ułożyć się dalsze wypadki, co czynić po dopięciu zakreślonych celów, komu oddać władzę i w jaki sposób ją utworzyć, o tym wszystkim Wysocki nie myślał.

Na Belweder miało napaść ośmnastu śmiałków*) pod wodzą Nabelaka, Wysocki zaś na czele podchorążych winien był uderzyć na koszary trzech pułków gwardji konnej rosyjskiej i pułki te rozbroić. W odsiecz podchorążym miało przybyć kilka kompanji piechoty.

Dobrze przed szóstą zaczął się zbierać na moście Łazienkowskim oddział Nabelaka, ale jeszcze nie zeszli się wszyscy, gdy przedwcześnie rozniecony pożar na Solcu zmieszał zgromadzonych. Pożar wszczął się o godz. 5^{1/2} a o 6 zagasł, na Nowolipiu zaś nie było widać umówionego ognia. Nabelak nie wiedział, co to oznacza, i namyślał się, co przedsięwziąć, gdy w pobliskich koszarach zadzwoniono na alarm ogniowy, a Łazienki zaczęli przebiegać jacyś ludzie, wysłani na zwiady. Spiskowcy postanowili rozproszyć się na chwilę i zebrać się znowu na moście, gdy alarm, wywołany pożarem, ucichnie. Jakoż łuna na Solcu niebawem zagasła i oddział Nabelaka zebrał się ponownie, ale nie wiedział, co robić. Cisza panowała dokoła, w pobliżu tysiącem świateł migotało miasto, ale łuny na Nowolipiu widać nie było. Napróżno zebrani wyteżali wzrok. Płynęła minuta za minutą, długa, jak wieczność, stary park Łazienkowski szumiał ponuro nad głowami

*) Oto ich nazwiska: Nabelak, Goszczyński, Trzaskowski, Zenon Niemojowski, Roch i Nikodem Rupniewscy, Orpiszewski, Jankowski, Nasiorowski, Kobylański, Paszkowicz, Poniński, Trzcński, Rottermund, Świętosławski, Krosnowski, Rettel i Kosiński.

spiskowców, a oni stali w mroku nocnym, stali zagniwani, niepewni, niecierpliwi, a narażeni w każdej chwili na wielkie niebezpieczeństwo zdradzenia swej obecności i obudzenia podejrzeń.

Wreszcie Nabelak i Goszczyński wyruszyli na zwiady i szczęśliwym trafem spotkali Wysockiego, który śpieszył do szkoły podchorążych. Od niego dowiedzieli się o fatalnym zbiegu okoliczności, który nie dozwolił wznieść jednocześnie dwu umówionych pożarów, a zarazem i o tym jeszcze, że mimo wszystko trzeba rozpocząć natychmiast.

Wówczas nowy duch wstąpił w garstkę śmiałków Nabelaka. Zniechęcenie prysło w jednej chwili i męstwo wstąpiło w piersi sprzysiężonych. Nabito przeniesione karabiny i oddział podzielił się na dwie równe części, z których jedna miała napaść na Belweder od frontu, a druga pilnować tyłów pałacu, co było koniecznym na wypadek, gdyby W. Księciu udało się wymknąć.

Tymczasem w Belwederze panowała cisza.

Wielki Ks. Konstanty spał spokojnie, nie przeczuwając, co się święci tego wieczora. Naraz na dziedzińcu przed książęcą siedzibą rozległy się przerażające okrzyki, jęknęły szyby pałacowe i rozprysły się z trzaskiem, jacyś ludzie wyważyli drzwi i jak huragan wtargnęli do komnat, wołając strasznym głosem:

— Śmierć tyranowi!

Budzi się Konstanty, słyszy hałas i złowróżbne okrzyki, zrywa się na równe nogi i, podtrzymywany przez kamerdynera, biegnie do pokojów żony i w otoczeniu kobiet szuka dla siebie ratunku.

Tymczasem oddział sprzysiężonych, wpadwszy do

wnętrza pałacu, przebiega jeden pokój po drugim, lecz nigdzie nie znajduje oporu. Więc czyni ogromny hałas, przewraca napotkane sprzęty, lecz nadaremnie poszukuje W. Księcia. Cisza i pustka wieje z każdej komnaty. Dopiero przed sypialnią W. Księżnej napastnicy spotykają gubernatora Lubowidzkiego, który przybył właśnie do Belwederu, by uprzedzić W. Księcia o niebezpieczeństwie. Lubowidzki stoi przed drzwiami i osłania je rozkrzyżowanemi rękoma. Uderzony bagnetami, pada zalany krwią — i napastnicy chcą kroczyć dalej, gdy wtym od tyłów pałacu rozlega się okrzyk :

— Wielki Księżę zabity !...

Wówczas oddział Nabelaka przerywa dalsze poszukiwania i z tąsamą szybkością, z jaką wpadł, wybiega z pałacu. Lecz cóż się okazało? Oto wkrótce przed napadem przyjechał do Belwederu generał rosyjski, Gendre. Usłyszawszy groźne okrzyki, rzucił się do tylnego wyjścia i jak kula wpadł pomiędzy oddział, pozostawiony na straży tyłów pałacowych. Spiskowcy, dostrzegszy w ciemnościach mundur generałski, wzięli uciekającego za W. Księcia i przeszli pierś generała bagnetem.

Po chwili oddział połączył się i szybkim krokiem zmierzał do mostu łazienkowskiego.

A w tym samym czasie, gdy W. Księżę szukał dla siebie schronienia w pokoju żony, do szkoły podchorążych wszedł Piotr Wysocki, przerwał odbywający się o tej porze wykład, i, dobywając szpady, zawołał grzmiącym głosem :

— Polacy! godzina zemsty wybiła. Dzisiaj zwyciężymy, albo polegniemy...

W sali zapanował entuzjazm.

— Nadstawmy swe piersi wrogom, aby stały się dla nich Termopilami... — wołał Wysocki.

— Do broni! do broni! — odpowiedzieli mu hucznym głosem podchorążowie, pochwycili karabiny, rozebrali ostre ładunki, wypadli ze szkoły i w mgnieniu oka sformowali się w ordynek bojowy. „Było ich wszystkich stu sześćdziesięciu kilku — powiada w dziele swoim o powstaniu Mochnacki, — każdy z nich znał komendę brygady i dywizji jak generał, a robił bronią jak szermierz. Zręczniejszych tyraljerów, celniejszych strzelców pewnie żadne wojsko nie miało. Teraz szli się odpłacać za długą naukę na Saskim placu! Na czele tej kolumny uczonych atletów postępował Wysocki wprost do koszar trzech pułków jazdy nieprzyjacielskiej“. Zbliżywszy się do koszar, podchorążowie rzucili się zaraz w sam środek zabudowań, lecz tu zastali już trzechset ułanów, siedzących na koniach, a gotowych do szarży. Niezmieszani tym widokiem, podeszli na pół strzału karabinowego do nieprzyjaciela i z tej odległości sypnęli ogniem. Ułani rozpiechli się od celnych strzałów, lecz po chwili sformowali się znowu i klusem ruszyli ku atakującemu. Po raz drugi przyjęci strzałami, rozproszyli się w nieładzie. Noc ciemna nie pozwoliła zorjentować się wojskom rosyjskim, ilu nieprzyjaciół mają przed sobą, i podchorążowie z łatwością mogli opanować koszary. Ale zapowiedziana pomoc nie przybywała, a tymczasem siedli na koń husarzy, kirysjerzy i próbowali otoczyć podchorążych, a zarazem odciąć ich od miasta. Nie widząc innej rady, Wysocki dał rozkaz do odwrotu i cały oddział cofnął się w kierunku Łazienek. Spotkawszy

po drodze Nabelaka z towarzyszami, podchorążowie zabrali ich z sobą i razem ciągnęli ku miastu. Strzelając do zastępującej drogę konnicy, to robiąc sobie przejście bagnetem, dostali się w Aleje i, trupem usławszy drogę, wpadli nareszcie do miasta. Na placu św. Aleksandra spotkali generała Potockiego, którego znali jako dobrego patryjotę.

— Gienerale! prowadź nas! — prosili podchorążowie.

W odpowiedzi na to Potocki zgromił ich mocno i skierował się ku Belwederowi. W godzinę potem, wróciwszy do miasta po wiadomości, zginął od bratniej kuli.

Tymczasem oddział Wysockiego, rozgoryczony odmową Potockiego, ciągnął przez Nowy Świat ku Krakowskiemu Przedmieściu. Ulice były puste. Mieszkańcy, przestraszeni wrzawą i kursującymi pogłoskami, zamykali okiennice, ryglowali sklepy.

— Do broni! do broni! — wołali podchorążowie.

Odpowiadała im cisza. Miasto, nieczułe na te okrzyki, było głuche, jakby wymarłe. Podchorążym wydawało się w tej chwili, że pozostali sami, że ich rozpaczliwym wołaniom żadne nie odpowie echo, że daremne ich czyny nie zdołają poruszyć sennej stolicy, że marzenie ich życia, powstanie, umarło przedtym jeszcze, nim zdążyło się narodzić. Zrozpaczeni i gniewni posuwali się dalej. W takim nastroju spotkali generała Trębickiego, który niedawno z rozkazu W. Księcia objął nad szkołą podchorążych komendę. I, podobnie jak Potockiego, zaczęli prosić swego naczelnika.

— Gienerale! prowadź nas dalej!

Oburzył się Trębicki, ofuknął ich ostro i zażądał, by natychmiast złożyli broń i oddali się na łaskę

W. Księcia. Nadaremnie podchorążowie odwoływali się do patryjotyzmu generała, nadaremnie przekładali mu, że mają za sobą wojsko i lud. Generał, głuchy na wszelkie perswazje, krzychał i groził. Więc wzięli go w środek i, wzburzeni odmową, wiedli za sobą. Koło pałacu namiestnika zajechał drogę oddziałowi Wysockiego minister wojny, generał Hauke, i szef sztabu, pułkownik Meciszewski. Pierwszy ostro zaczął przemawiać do młodzieży, a gdy podchorążowie go zakrzyczeli, porywczy i gwałtowny Meciszewski dobył z olster pistoletu i huknął w środek oddziału. W jednej chwili błysnęły bagnety i obaj obrońcy porządku martwi runęli na ziemię.

Doszedszy do ulicy Koziej, oddział Wysockiego zatrzymał przejeżdżającą karetę.

— Kto jedzie? — zapytano stangreta.

— Generał Nowicki — odpowiedział zapytany.

Nieszczęściem podchorążowie przestyszeli się i byli pewni, że odpowiesziano im: generał Lewicki. Ten ostatni, srogi Rosjanin, był gubernatorem Warszawy i złą miał opinię. W jednej chwili kilka kul przeszło karete i generał Nowicki, człowiek poczciwy i szanowany, życiem przypłacił tę straszną omyłkę.

Na ulicy Bielańskiej podchorążowie znowu zwrócili się do Trębickiego.

— Widziałeś, generale, co spotkało zdrajców. Połącz się z nami.

Trębicki, hardy i dumny, odpowiedział nowemi pogroźkami.

— Generale, — wołali podchorążowie, — połącz się ze sprawą narodu, stań na naszym czele.

W odpowiedzi na to Trębicki hardo oświadczył,

iż nigdy nie stanie na czele nikczemnych morderców. Tego było dla podchorążych za dużo — i Trębicki poległ.

Pozostawiwszy za sobą tyle trupów, podchorążowie przyszedli pod arsenał. Teraz dopiero otoczył ich gwar miasta, ruch i ożywienie. Do arsenału ciągnęły oddziały wojska polskiego, prowadzone przez należących do spisku oficerów, a ze Starego Miasta dążył lud warszawski, żądny broni i walki. Rozbito arsenał i uzbrojono mieszczaństwo. Powstanie, w pierwszych swoich krokach niepewne a chwiejne, poważną zaczęło przybierać postawę. Było zbuntowane wojsko, był lud uzbrojony, tworzyła się siła, rewolucyjna i groźna, rosnąca nieustannie i nabierająca zaufania do sprawy.

Tymczasem i W. Ks. Konstanty ochłonął z pierwszego strachu i, namawiany przez generałów, którzy doń przybyli, ruszył w Aleje Ujazdowskie, gdzie zgromadzono już całą jazdę rosyjską. Niebawem przyłączył się do jazdy rosyjskiej pułk polskiej gwardji strzelców konnych, przyprowadzony przez generała Kurnatowskiego. Namawiano W. Księcia, aby uderzył na powstańców, ale Konstanty stracił głowę, a szmer zbuntowanej stolicy napelniał go przerażeniem. Więc stał bezczynnie i z trwogą wlepił swe oczy w zbuntowane miasto. Wreszcie po długich wahaniach, mówiąc, że Polacy zaczęli rozruchy, więc trzeba, by Polacy stłumili, wyprawił ku miastu pułk strzelców konnych. Ci zajęli Nowy Świat i przylegające ulice, lecz przekonawszy się, że powstańcy zagarnęli całą przestrzeń od Placu Bankowego aż po Plac Zamkowy, zatrzymali się niepewni, to posuwając się ku Kra-

kowskiemu Przedmieściu, to cofając się aż w Aleje...

Dobrze po północy strzały ucichły.

Na ulicach i placach zapłonęły ogniska, rzucając krwawe światło na zgromadzony lud i żołnierzy, a zgiełk orężny pomieszał się z odgłosami patroli, wysuniętych poza linię dwu wojsk nieprzyjacielskich.

W oczekiwaniu krwawej walki upłynęła reszta pamiętnej nocy 29 listopada.



Lukasinski

III.

PIERWSZE DNI POWSTANIA.

Noc ta nie osiągnęła zamierzonego celu.

W. Księżę wymknął się rewolucjonistom, wojska rosyjskie nie zostały rozbrojone, a po stronie Konstantego stali jeszcze Polacy. Wobec bezczynności W. Księcia wszystko można było bardzo szybko naprawić, ale brak jakiegokolwiek władzy rewolucyjnej sprawił to, że powstańcy, podobnie jak W. Księżę, trwali w bezczynności.

Wstał nowy dzień — i zastał na stanowiskach oba nieprzyjacielskie obozy, stojące w pogotowiu wojennym, ale bezczynne, nieruchome, jak gdyby zamarte we wzajemnym przenikaniu swych planów.

Dnia 30 listopada dowiedzieli się mieszkańcy stolicy, że ubiegłej nocy zebrała się Rada Administracyjna, że do Rady zaproszeni zostali znani obywatele, jak Julian Ursyn Niemcewicz, kasztelan Kochanowski, p. Michał Radziwiłł, wreszcie słynny generał Chłopicki, w którym rewolucjoniści widzieli swego wodza,

choć on nigdy niczym nie objawił sympatji swojej dla sprawy powstania.

Cóż poczęła Rada ?

Oto z jej upoważnienia ks. Lubecki i ks. Adam Czartoryski udali się do W. Księcia i namawiali go, aby siłą zbrojną stłumił rozruchy. Ale W. Książę obawiał się walki.

— Polacy — odpowiedział — zaczęli; trzeba, żeby Polacy skończyli.

Rada Administracyjna przyjęła do wiadomości tę odpowiedź i próbowała na swoją rękę uśmierzyć wzburzoną stolicę. W tym celu wydała nazajutrz w imieniu Mikołaja odezwę, w której nawoływała rodaków do spokoju i ładu, a wypadki ubiegłego wieczora nazywała „smutnemi“.

Rewolucjoniści z radością dowiedzieli się o nowym składzie Rady, ale jej odezwa wywołała gniew i oburzenie. Teraz dopiero stało się jasnym, jak wielki błąd popełnili spiskowcy, nie ustanowiwszy władzy, sprzyjającej ich celom. Powstanie, straciwszy pierwszy impet, zatrzymało się jak wryte, a nazwiska ludzi, cieszących się popularnością, a podpisanych pod odezwą, potępiającą wybuch, wywołały w obozie rewolucyjnym obok żalu i gniewu zdumienie.

Wszyscy, którzy przechylali się na stronę powstania, odczuli, że dzieło, rozpoczęte 29 listopada, jest silnie zagrożone przez samych Polaków, ale nie wiedzieli, co czynić, by rewolucji dodać powagi i nakazać dla niej szacunek. Odezwa Rady nie przedstawiała żadnej wątpliwości o zamiarach nowego rządu. Posłowie znajdujący się w Warszawie, a chcący zamiary te sparaliżować, wysłali do Rady deputację, z żąda-

niem, by z Rady ustąpili ministrowie Mikołaja i zastąpieni byli przez członków Sejmu. Żądaniu temu uczyniono zadość. Prócz Lubeckiego opuścili Radę wszyscy ministrowie, a na ich miejsce wszedł senator Dembowski, posłowie Ostrowski, Małachowski i Lelwel, znany i ceniony, a ukochany przez młodzież profesor, tensam, w którym rewolucjoniści widzieli swego przewodnika i swój sztandar powstańczy.

Tegoż dnia generał Chłopicki, który o sprawcach wybuchu odzywał się w najobelżywszych wyrazach, a powstanie nazywał szaleństwem, zgodził się na usilne nalegania objąć tymczasowo naczelne dowództwo nad wojskiem.

Wszystko to nie odpowiadało widokom rewolucjonistów. Najprzenikliwszy z nich, Maurycy Mochnacki, postanowił obalić Radę Administracyjną i na jej ruinach nową ustanowić władzę, t. j. rząd zdecydowany, śmiały, rewolucyjny. W tym celu zebrał grono jednomyślnych towarzyszy i wtargnął wraz z nimi do ratusza. Tutaj wbrew protestom prezydenta rozpoczęto obrady. Na obradach tych zorganizowano zbrojny klub rewolucyjny, który nazwano Towarzystwem Patryjotycznym, a który miał na celu spopularyzować powstanie i skłonić Radę Administracyjną do swoich widoków, lub też zniszczyć ją w ogniu rewolucji i własny rząd wyłonić. Rozumiejąc, że popularny Lelwel może oddać sprawie rewolucji wielkie usługi, postanowiono wydrzeć go Radzie i, acz był nieobecny, ogłoszono go prezesem klubu. Wreszcie postanowiono na dzień 2-go grudnia zwołać w salach reutowych na placu Krasińskich zgromadzenie ludowe i zgromadzeniu temu nadać charakter szczerze rewolucyjny.

Jakoż w oznaczonym terminie tłumy ludu ciągnęły manifestacyjnie do sal reutowych. Śród manifestantów znaleźli się rzemieślnicy, uczniowie, studenci, profesorowie, deputowani różnych oddziałów wojska, uczestnicy wszelkich spisków i stowarzyszeń tajnych, słowem wszyscy, których oburzało postępowanie Rady Administracyjnej. A wszyscy przyszli uzbrojeni w karabiny, pałasze, pistolety, przyszli groźni, ożywieni zapałem i determinacją. Sale retowe okazały się za szczupłe, więc tłumy ludu wypełniły dziedziniec i plac Krasińskich.

Ci zaś, co przyszli wcześniej i dostali się na obrady, zajęli najobszerniejszą salę, w środku jej ustawili podłużny stół, który miał służyć za trybunę, i czekali sygnału, by zerwać się jak burza i jak burza spaść na Radę Administracyjną, ów rząd nieudolny, który nie umiał odgadnąć życzeń narodu i tegoż dnia, kiedy tłumy, zwołane przez klub rewolucyjny, pały żądzą walki, wysłał deputację do W. Księcia i prowadził z nim układy. Wieści o tych układach podniecały wzburzenie. Tłum wrzał. Lecz oto na trybunie zaczęli ukazywać się mówcy i spowiadać się ze swoich uczuć szczerze, otwarcie, po bratersku. Po raz pierwszy od wielu lat lud warszawski odczuł rozkosz swobody. Słowa nabierały dźwięku i barwy, a pod ich wrażeniem rósł w piersiach słuchaczy entuzjazm. Każdy gorętszy wyraz witano na znak zgody szczerkiem szabel i błyskiem bagnetów, każdy śmiały wniosek przyjmowano rozgłośniami okrzykami zapału.

Pomiędzy innemi ukazał się na mównicy Mochacki i w ognistych słowach scharakteryzował obecne położenie, a w końcu swej mowy, słuchanej śród

skupionej ciszy, zaproponował zgromadzonemu, by wysłali deputację do Rady Administracyjnej i w imieniu klubu zażądali:

1. Aby się Rada Administracyjna rozwiązała,
2. aby rząd tymczasowy natomiast był postanowiony, wreszcie
3. aby generał Chłopicki natychmiast otrzymał rozkaz uderzenia na wojska W. Księcia.

Propozycje te przyjęto z zapalem, uzupełniono je tylko nowymi żądaniem, a mianowicie, aby dowódcy wojska, którzy się jeszcze z powstaniem nie połączyli, ogłoszeni byli za zdrajców ojczyzny, aby obywatela powołani zostali do urzędzenia powstań w całym kraju, wreszcie żądano od Rady Administracyjnej, gdyby się rozwiązać nie chciała, aby przyjęła do swego grona kilku członków klubu, których sam klub wskaże.

Ten ostatni środek nie był pożądanym, albowiem rząd istniejący ze względu na swój skład nie rokował nadziei, by pod wpływem kilku nowych członków zmienić sposób działania. Ale zgromadzeni nie zorientowali się w sytuacji — i wniosek został uchwalony.

Na zebraniu tym padło jeszcze z ust Mochnackiego doniosłe hasło, mogące w razie urzeczywistnienia przeobrazić powstanie z gruntu, nadać mu siłę i rozpęd niepowstrzymany. Oto Mochnacki zawołał w uniesieniu, że nie w Warszawie z Konstantym, lecz z Wilna z Mikołajem układać się należy. Znaczyło to, że powstańcy powinni ruszyć naprzód, opanować Litwę, zagarnąć jej stolicę i, rozszerzywszy teren powstania, a stworzywszy siłę, postawić swoje nieodmienne żą-

danie połączenia Królestwa z Litwą i całkowitej niezależności.

Hasło to, jak wiele innych, przyjęto z zapalem, ale doniosłość tej myśli dopiero po niewczasie zrozumieli wszyscy.

Lecz nie było czasu na dłuższe dyskusje. Chwile były drogie, działać należało szybko. Streszczono w ośmiu punktach żądania klubu i zgodnie z wnioskiem Mochnackiego wybrano deputację.

Delegowani opuścili salę i skierowali się do gmachu bankowego, w którym obradowała Rada Administracyjna. Za deputacją wyruszyli wszyscy zgromadzeni w salach, na placu Krasińskich przyłączył się do tego orszaku lud uliczny, i olbrzymie tłumy, szumne i gwarne, a groźne jak wzburzone wody, popłynęły na Plac Bankowy.

Członkowie Rady zastanawiali się właśnie nad pomysłem w ich oczach wynikiem układów z W. Księciem, który wszystko obiecywał przebaczyć, gdy wtym w przyległych komnatkach rozległ się hałas i wkrótce potem przez drzwi, otwarte przemocą, wtargnęła na salę obrad rządowych deputacja klubu, wtargnęła groźna, zbrojna, w postawie hardej i wyzywającej.

Na widok kilkunastu śmiałków o pałających oczach i rozgorzałych twarzach stropili się członkowie rządu i zerwali się z krzeseł, by stawić czoło napastnikom.

Zapytano deputacji, czego żąda. Rozpoczęły się pertraktacje, ale gdy pierwsze słowa, wypowiedziane miękko przez delegowanych, nie uczyniły wrażenia, wysunął się naprzód Mochnacki i głosem silnym, namiętnym odczytał żądania klubu.

Ks. Czartoryski, człowiek łagodny i spokojny, sta-

rał się uspokoić porywczego młodzieńca. W słowach uprzejmych zaczął on tłumaczyć, że żądania klubu niemożliwe są do przyjęcia, gdyż właśnie W. Księżę Konstanty obiecuje puścić w niepamięć wszystko i wszystko przebaczyć.

Znaczyło to, że wszystko powrócić ma do dawnego stanu, a kto znał W. Księcia, ten łatwo mógł przewidzieć, jak straszne będzie jego przebaczenie. Nie o takim końcu myśleli rewolucjoniści. Więc deputacja ze zdumieniem spojrzała po sobie, a Mochnecki, w którym gniew okrutny wzbierał, wybuchnął niesieniem.

— To są żarty, mości księżę — zakrzyknął. — My nie powstaliśmy dla przyjmowania łask W. Księcia! Niechaj tedy rząd nie gra komedji, która bardzo tragicznie zakończyć się może albo dla powstania, albo dla jego nieprzyjaciół!

Groźne pomruki i gwar ludu, zgromadzonego przed bankiem, dodawały tym słowom znaczenia i siły. Przerazili się członkowie Rady i oświadczyli klubistom, że rząd weźmie żądania ich pod uwagę.

Deputacja odeszła i zaniósła odpowiedź ludowi, a członków Rady Administracyjnej ogarnęło wielkie pomieszanie. Zrozumieli oni, że stracili już powagę, i przekonali się nareszcie, że układy z W. Księciem do niczego nie doprowadzą. A nazajutrz, gdy do stolicy przybył generał Szembek i, przyszedwszy na posiedzenie klubu, oświadczył, że za chwilę brygada jego wejdzie do miasta, by wesprzeć rewolucję, Rada Administracyjna całkiem straciła głowę. Jeden Lubiecki zachował przytomność. Zrozumiał on, że, chcąc stłumić powstanie, trzeba przynajmniej czas jakiś

płynąć z falą, a jednocześnie budować tamy, o któreby się ta fala rozbiła doszczętnie. W tym duchu postanowił działać. Obawiając się nowego najścia na rząd, przekonał swych kolegów w Radzie, że trzeba choć na bardzo krótko wprowadzić do niej kilku członków klubu, uprzedzić w ten sposób przygotowywany napad, a później, odzyskawszy władzę, zaprowadzić spokój i czynić to, co wskażą wypadki.

Porozumiano się z W. Księciem, który pod naciskiem wzburzonej Warszawy pozwolił znajdującemu się pod jego bokiemu wojsku polskiemu połączyć się z rewolucją, a sam stosownie do rad otrzymanych rozpoczął ze swą gwardją odwrót ku granicom Litwy. Nikt nie przypuszczał, że nawet w takiej chwili uczucie zemsty odezwie się w W. Księciu i wszystkie inne uczucia przemoże. Tymczasem Konstanty przed opuszczeniem Warszawy rozkazał wydostać z lochów więziennych Walerjana Łukasieńskiego i skutego łańcuchami poprowadził ze sobą.

Warszawę na wieść o tym, że Konstanty wraz z gwardją swobodnie uchodzi, nowe ogarnęło wzburzenie. Domagano się głośno zatrzymania W. Księcia, ale rząd najmniejszej na to nie zwracał uwagi. Klubowcy, powołani do Rady Administracyjnej, nie mogli nic zdziałać, bo Rada się rozwiązała, powoławszy przedtym do życia Rząd Tymczasowy, w którym dla członków klubu nie było już miejsca. Ten nowy rząd, równie jak Rada Administracyjna umiarkowany, postępował oględnie, a najważniejszym jego czynem było zwołanie na dzień 18 grudnia Sejmu, który o dalszych losach powstania miał zdecydować.

Krok ten był o tyle rewolucyjny, że stosownie do



MAURYCY MOCHNACKI

konstytucji jedynie królowi przysługiwało prawo zwoływania Sejmu.

A jednocześnie z utworzeniem nowego rządu zaczęły kursować po mieście pogłoski, że rząd ten trwać będzie bardzo krótko, że niebawem ogłoszona będzie dyktatura, t. j. władza nieograniczona, skoncentrowana w rękach jednego człowieka.

Dyktatorem, jak niosła wieść, miał zostać generał Chłopicki.

Generał ten, sławny i głośny, cieszył się ogromną popularnością. Z powodu zatargów z W. Ks. Konstantym opinia rewolucyjna zdawna uważała go za przyszłego naczelnika zbrojnych sił powstańczych. Opinia była w błędzie. Chłopicki należał do najzawziętszych przeciwników powstania i w pomyślny wynik walki z Rosją nie wierzył. Wybuch listopadowy traktował jak oplakaną burdę, a sprawców jego lżył głośno, nie szczędząc pod ich adresem obelżywych wyrazów. Tymczasem publiczność warszawska na widok sławnego generała wpadała w zachwyt, witała go szmerem uznania i, wierząc święcie, że on poprowadzi naród do zwycięskiego boju, gotowa była z zapałem oddać się jego nieograniczonej władzy. Generał zżymał się na te dowody uznania, ale ostatecznie gotów był je wyzyskać, by twardą ręką żołnierską zaprowadzić ład w stolicy, wyjednać u cesarza amnestję dla sprawców nocy 29 listopada, a potem rzucić uśmierzoną Warszawę pod stopy Mikołaja.

Jeden Mochnacki, najprzenikliwszy człowiek swego czasu, przejrzał te zamiary i postanowił je zdemaszkować.

W tym celu zamierzał podburzyć klub, wskazać publiczności wszystkie błędy Rządu Tymczasowego i powiedzieć rewolucji, czym grozi dyktatura w rękach Chłopickiego. Wypuszczenie W. Księcia z Warszawy, co było głównie winą Chłopickiego, jako naczelnego wodza wojsk polskich, pozwalało się spodziewać, iż rzecz pójdzie łatwo i gładko.

Ale Towarzystwo Patryjotyczne miało potężnego wroga. Był nim minister Lubecki. Pod wpływem manifestacji, wywołanej przez klub, księżę Lubecki musiał się zrzec zasiadania w rządzie i zaniechać akcji pojednawczej. Panowanie rewolucji nie dogadzało jego widokom. Widząc, że Towarzystwo Patryjotyczne jest głównym siedliskiem rewolucji, postanowił klub rozpędzić i wywołać przeciw jego założycielom oburzenie w mieście. W tym celu dnia 3 grudnia posłał na posiedzenie swoich zwolenników, klientów, protegowanych, a wszystkich natchnął jedną i tąsamą myślą.

Tegoż dnia Maurycy Mochnacki przyszedł na posiedzenie klubu, by zachwiać Rządem Tymczasowym i obwieścić stolicy intencje Chłopickiego.

Nie przeczuwając, co się święci, Mochnacki wszedł śmiało na mównicę i w płomiennej mowie krytykował rząd, a mówiąc o jego członkach, noszących znane nazwiska, wołał:

— Nie ufajmy imionom historycznym, nie ufajmy żadnej wziętości, żadnej zasłudze. Gienerał Chłopicki nie dopełnia swego obowiązku...

Chłopicki cieszył się ogromną popularnością, a słowa Mochnackiego były dostatecznym powodem, by masy szczerze przeciw mówcy oburzyć. Zwolennicy Lubec-

kiego w mig zorjentowali się w sytuacji i straszny podnieśli tumult. Rozległy się okrzyki protestu i syłkania.

Ale Mochnacki nie zważał na to i dalej ciągnął swą mowę. Słowa jego niby rozżarzone głównie spadały na głowy wzburzonych słuchaczy. Temperatura zgromadzenia stała się gorąca, upalna. Podniecenie obu stron rosło. A im głośniejsze przeciw mowie protestowano, tym goręcej wybuchał Mochnacki, tym goręcej wołał, by tłumy zaatakowały Rząd Tymczasowy i, zmiótszy go z widowni, powstańczą utworzyły władzę. W pewnym momencie, krytykując bezczynność Chłopickiego, zawołał na całą salę:

— Mości panowie!... Chłopicki zdradza rewolucję!..

Po tych słowach wszczął się piekielny hałas. Sala miotła w śmiałka gradem wyzwisk i obelg. Oficerowie, obecni na zebraniu, dobyli szabel i posuwali się przez zwarty tłum ku trybunie, by rozsiekąć zuchwałego młodzieńca.

— Zginiesz! zginiesz! zginiesz! — wołali szczerze oburzeni zwolennicy Lubeckiego. Na szczęście w zamieszaniu pogaszono światła — i Mochnacki, korzystając z ciemności, wymknął się przy pomocy garstki przyjaciół na dziedziniec i cało uniósł głowę.

Nazajutrz Warszawa z oburzeniem mówiła o klubie, a Mochnackiego szukano po mieście, by go rozsiekąć lub powiesić. Tymczasem Mochnacki próbował jeszcze ratować sprawę i zamachem na głowę Lubeckiego wyrwać powstanie z rąk ludzi, którzy temu powstaniu byli przeciwni i czynili wszystko, alby w samym zarodku je stłumić. Ale opuszczony przez przyjaciół, przerażonych zajściem wczorajszym,

musiał dać za wygraną i, ratując własne życie, przyjął gościnę u ks. Lubeckiego, tegosamego ministra, którego szczerze pragnął rozstrzelać.

W ten sposób zginął z widowni Mochnacki, a wraz z nim zginęła i myśl rewolucyjna w stolicy i aż do końca powstania nie miała już zagrzemieć tak doniosła i gromka, a tak trafnie ogarniająca cel polityczny rewolucji.

Po upadku Mochnackiego klub nie śmiał już podnieść głowy — wypadki potoczyły się dalej bez udziału tych, co w pamiętną noc 29-go listopada podnieśli sztandar buntu i naród wezwali do broni.

Dnia 5-go grudnia Chłopicki zdecydował się na krok stanowczy. Na jego rozkaz pomiędzy godziną 3 a 4 popołudniu zebrały się wojska polskie na Placu Broni i, okrążone olbrzymim tłumem ludu, czekały na zjawienie się generała. Chłopicki przyjechał konno, ubrany w paradny mundur gienerski, otoczony wspianym i błyszczącym sztabem. Ukazanie się tego przepysznego orszaku wzbudziło zapal zebrałych. Rycerska postawa Chłopickiego, pewność siebie, bijąca od całej postaci, marsowata mina i wzrok jasny, ognisty niesłychanie podobały się tłumom. Patrząc na tę wspianą postać, wszyscy myśleli o sławnych czynach wojennych generała, o jego bohaterstwie, odwadze — i, myśląc o tym, oddychali z ulgą.

W owej chwili zjawił się Chłopicki, jak bóg wojny, dzierżący w swym ręku tajemnicę zwycięstwa.

Więc przywitano go okrzykami radości. A gdy odezwały się orkiestry pułkowe i huknęła w niebo melodia znanej pieśni patryjotycznej, wtedy jakaś

miękką i ciepłą falą rozlała się po tłumach i uniesienie rzewne, lecz radosne wszystkie ogarnęło serca.

Oczy tłumów wodziły za Chłopickim, jak za gwiazdą nadziei, która zaświeciła żywiej.

A on kłaniał się z powagą na wszystkie strony, dziękował ludowi za zaufanie, wreszcie rozkazał sformować się wojsku i rozpoczął jego przegląd. Przejeżdżając przed frontem, zatrzymał się na chwilę przed podchorążymi, pochwalił ich zapał, męstwo, patryjotyzm, dziękował później oficerom i żołnierzom za piękny wygląd i postawę armji, a objechawszy szyki, zwrócił się do ludu i wojska i potężnym głosem zawołał, że chwila wymaga władzy sprężystej i silnej, wobec czego postanowił ogłosić się dyktatorem. Poczym pytał, czy lud i wojsko nic przeciwko temu nie ma.

Pytanie to nowy obudziło zapał.

— Niech żyje dyktator! — wołano jednogłośnie.

— Niech żyje ojczyzna! — odpowiedział Chłopicki i, słowami temi zakończywszy uroczystość, skierował się wraz ze świetnym sztabem ku Warszawie, unosząc ze sobą nieograniczoną władzę i nadzieję niechybnego zwycięstwa.

Przeprowadzały go orkiestry pułkowe pieśnią narodową. Usta tłumów szeptały błogosławieństwa, oczy roz błysły łzami radości.

IV.

DYKTATURA. SEJM. RZĄD NARODOWY.

Niestety, była to radość przedwczesna. Chłopicki nie tylko nie myślał o zwycięstwie, ale wogóle nie chciał do walki dopuścić. Ten sławny generał napoleoński, świadek strasznej klęski, poniesionej w Rosji przez Napoleona w r. 1812, przesadzał potęgę armji rosyjskiej, a nie doceniał sił polskich. Wprawdzie były one nieznaczne, bo w chwili wybuchu wojsko polskie liczyło w szeregach zaledwie 28,000 żołnierzy. Ale do armji należały rezerwy, a kraj posiadał zasoby, mogące, jak się to okazało wkrótce, dostarczyć i ludzi i sprzętów wojennych. Wykorzystawszy zapal, obudzony rewolucją, a działając szybko i energicznie, można było niebawem podnieść liczbę wojsk polskich do 100,000 żołnierza i kraj cały w jeden obóz warowny zamienić.

Zalety i świetna przeszłość generała pozwalały się spodziewać po nim takich rezultatów.

Ale ten stary wojak, który swoją karierę wojskową rozpoczął jeszcze w powstaniu kościuszkowskim, a potem walczył w legionach pod Dąbrowskim i Kniaziewiczem, wreszcie zasłynął podczas wojen w Hiszpanji, nie wierzył w powodzenie. On, który

w ogniu bitwy dokonywał rzeczy niepodobnych, przestał wierzyć nawet w rzecz możliwą.

Przyczyną tego była niewątpliwie przeszłość Chłopickiego.

Pochodził on z dobrej szlachty, osiadłej na Wołyniu, a wrażliwej na nieszczęścia kraju. Niegdyś, za lat młodzieńczych, płomień uniesienia patryjotycznego kazał mu opuścić dom rodzinny i zaciągnąć się w szeregi powstańcze Kościuszki, a później z bronią w rękę przebiegać dalekie kraje i pod obcym niebem walczyć za ojczyznę. Wstąpił się w tych walkach, rozgłosił swe imię, dosłużył się rangi gieneralskiej, ale smutne przejścia, porażki i klęski lat ostatnich wyziębły duszę gienerała, zatruty ją jadem gorczy, zniechęcenia i niewiary.

Po utworzeniu Królestwa Kongresowego Chłopicki wstąpił do wojska polskiego w randze gienerała dywizji, ale, znienawidziwszy W. Księcia i znienawidzony przez niego, podał się wkrótce do dymisji. Odtąd opinja kraju widziała w nim gorącego patryjotę, a rewolucjoniści uważali za swego. Tymczasem Chłopicki odsunął się od spraw wszelkich i, szpiegowany nieustannie, żył cichym życiem prywatnym, w przekonaniu, że należy kontentować się tym, co jest, ii nigdy już o walce nie marzyć.

W starym żołnierzu wygaś doszczętnie zapal wojenny, zgryźliwość i cierpkość zalały mu duszę.

Wypadki pamiętnej nocy listopadowej oddziaływały na niego w ten sposób, że ukrył się w mieście, nie chcąc wiedzieć o niczym. Ale wysłańcy Rady Administracyjnej dotarli do jego kryjówki i wymogli na nim, że przyszedł na posiedzenie. Od tej pory Chłopicki,

ulegając namowom i perswazjom, obejmował kolejno władzę, jaką mu niemal gwałtem narzucano, i wbrew własnej woli wysunął się na widownię, jako osoba najwidoczniejsza.

W ten sposób doszedł aż do władzy dyktatorskiej, władzy tak wielkiej, jakiej nigdy żaden król polski nie miał. A stanowisko to zawdzięczał woli najwyższych dygnitarzy Królestwa, woli wojska i ludu. Opinia otaczała go blaskiem chwały, patrzała weń, jak w słońce. Wystarczył jeden giest, aby skupić wokoło siebie setki i tysiące ludzi, gotowych na wszystko, wystarczyła jedna śmiała odezwa, aby wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej natchnąć duchem powstańczym i wiarą w powodzenie sprawy, tą straszną wiarą, co wznieca pożar uniesienia, i jeśli potrzeba cudów, to czyni cuda.

W takich warunkach dużo można było dokonać.

Lecz Chłopicki nie wierzył w siebie i tę niewiarę przenosił na cały naród. Zamiast wezwania do czynów, na które z taką niecierpliwością czekano, dyktator robił ze swej strony wszystko, aby kraj pograżyć w niemocy. Ten nieszczęsny człowiek wyobrażał sobie, że jedynie układy z Petersburgiem mogą odwrócić od kraju niesłychaną klęskę. Było to jego głębokie przekonanie, a więc możnaby je wybaczyć, na nieszczęście jednak Chłopicki wyobraził sobie, że wszelki odruch zbrojny uczyni układy niemożliwymi. I to był jego błąd najstraszniejszy. Albowiem nie mogło ulegać kwestji, że, chcąc pertraktować z Petersburgiem, należało czymprędzej tworzyć siłę, bo tylko od niej zależał wynik pertraktacji, bo było rzeczą jasną, że z bezsilnemi nikt się układać nie

zechce, że przedstawienia słabych spotkać może jedynie pogarda.

Tymczasem do Petersburga udał się książę Lubecki wraz z posłem Jezierskim i obaj mieli dotrzeć do cesarza, przedstawić warunki i prosić go o wstrzymanie kroków wojennych.

Jednocześnie zaś do stolicy nad Newą wysłał dyktator na przespiegi podpułkownika Wyleżyńskiego i, oczekując na wiadomości, pogrążył się w bezczynnym rozmyślaniu. Otoczeniu ukazywał twarz chmurną, młodzież, garnącą się do szeregów, odprawiał z kwitkiem, na nowe uzbrojenia zezwolić nie chciał,—a gdy wreszcie zezwolił na nie pod wpływem otaczających go osób, to takie wydał zarządzenia, że uzbrojenie odbywało się jakby pokryjomu, szło ciężko, powoli.

W taki sposób marnowały się pierwsze tygodnie powstania i, jak to zwykle bywa, zapał ludności, wielki w pierwszej chwili, obecnie pod wpływem chłodu Chłopickiego przeradzał się w niepokój i zwątpienie. I mijał dzień za dniem niepewny i ponury jak twarz dyktatora.

Przed 18 grudnia zaczęli zjeżdżać się do Warszawy posłowie.

Mimo widocznej szkody, jaką Chłopicki wyrządził powstaniu, wiara w niego była tak wielka, że przed otwarciem Sejmu deputacja poselska prosiła generała, aby nadal zatrzymał swą władzę dyktatorską. Chłopicki się wzdragał, ostatecznie jednak uległ życzeniom posłów. Ponieważ jednak chciał Sejmowi przedstawić swoje projekty, których opracowanie wymagało dłuższego czasu, prosił przeto deputację, aby rozpoczęcie obrad odroczone na trzy dni.

Wbrew temu życzeniu d. 18 grudnia Sejm rozpoczął swoje czynności.

Izba poselska zebrała się w nastroju uroczystym, jednogłośnie uznała powstanie za dzieło narodowe, a mężom, co je rozpoczęli z tak wielkim poświęceniem i męstwem, wyraziła wdzięczność.

Poczym wzniesiono kilkakrotne okrzyki za pomyślność ojczyzny i na cześć sprawców pamiętnej nocy 29 listopada.

W ten sposób Izba poselska połączyła się z rewolucją i odtąd losy swoje związała z losami powstania.

Po tym akcie Izba przystąpiła do obrania marszałka, t. j. przewodniczącego obradom. Na stanowisko to powołany został Władysław hr. Ostrowski, poseł piotrkowski, człowiek zacny, przystępny i uczynny, a dla tych zalet powszechnie lubiany. W zwykłych warunkach, w czasach pokoju mógł świetnie wypełnić swe obowiązki, ale na to, by przewodniczyć Izbie podczas chwil burzliwych, by sterować rozruchanemi namiętnościami w momentach silnego wzburzenia, był za miękki i za uległy. Jednakże trzeba mu przyznać, że patrzył na rzeczy trzeźwiej, niż wielu jego kolegów, powstaniu sprzyjał i wedle swych sił a możliwości starał się zapewnić mu powodzenie.

Ostrowski, obrany jednomyślnie marszałkiem, podziękował za uczyniony mu zaszczyt, poczym przemówił w te słowa:

— Bodajby w tak świetnych widokach rozpoczęte nasze narady jak najpomyślniejszym skutkiem uwieńczone zostały, a skład izby bodaj powiększony został braćmi-reprezentantami z tych prowincji polskich, które pod obcą zostają przemocą.

Tak więc marszałek doskonale uchwycił myśl powstania i głosem, rozlegającym się w Izbie poselskiej, a więc głosem na kraj cały i Europę słyszalnym wyjawiał intencje rewolucji.

Na wniosek Ostrowskiego posłowie wzięli na siebie wszelkie wydatki, które skarbłożył na utrzymanie Izby, a nadto ofiarowali znaczne sumy na potrzeby powstania.

Poczym Izba poselska połączyła się z Senatem, który zatwierdził jej uchwały i podobnie jak Izba wyraził chęć oddania sił swoich na usługi powstania.

Wprawdzie Sejm, utworzony na zasadach nadanej przez Aleksandra konstytucji, a wyraźnie postępowaniem swoim zasady te gwałcący, tracił podstawy istnienia, ale zebrawszy się po to, by zatwierdzić dyktaturę, której naród pragnął, uczynił co do niego należało. I sesja sejmowa w d. 18 grudnia zrobiła swoje. Połączenie się ze sprawcami 29 listopada podniosło ducha powstania, a ofiarność posłów dobrym przykładem. Posypały się na rzecz powstania ofiary. Nietylko stolica, ale miasteczka i wsie żywy udział wzięły w ich składaniu. Włościanie, nie mając pieniędzy, dawali bydło i zboże, mieszczaństwo, zorganizowane w cechy, nadsyłało wraz z pieniędzmi pułhary, kubki złote i srebrne, kobiety oddawały swe płaszczyzny, a młodzież garnęła się do szeregów.

Iskry powstania, zduszone przez Chłopskiego, zlatliły się znowu i jaśniejszym strzeliły płomieniem.

Dyktator widział ten zapal. Wyjeżdżając do Modlina, by odbyć przegląd robót fortecznych, spotykany był przez tłumy włościan, które witały go z ra-

dością i oświadczyły swoją gotowość do walki. Wystarczyło do tych tłumów wyciągnąć rękę braterską i jaśniejszą zapewnić im przyszłość, aby całą Polskę opasać wałem obronnym, jak skała mocnym i nieskruszonym. Ale Chłopicki nie miał w sobie nic z Kościuszki. Zimna twarz dyktatora nie wzbudzała podnioslejszych uczuć. Zdawałoby się, że przynajmniej postawa Sejmu w dniu 18 grudnia pobudzi Chłopickiego do czynu.

Jeszcze był czas!

Wtargnięcie na Litwę, ten kierunek, który powstaniu wskazywał Mochnacki, a później w Izbie poselskiej marszałek Ostrowski, musiało pociągnąć za sobą bardzo pomyślne dla powstania skutki. Było wszelkie prawdopodobieństwo, że ten krok zjedna powstaniu korpus litewski, w którym służyło mnóstwo oficerów Polaków, a nie ulegało kwestji, że wojska polskie, wkroczywszy na Litwę, pozwały Królestwu Kongresowemu swobodnie organizować swe siły i zasoby, samo zaś zajęcie Litwy nadawało powstaniu charakter rozległy, postawę groźną i zastraszającą.

Ani myślał o czymś podobnym dyktator. Zachowanie Królestwa Kongresowego z nadanemi mu przez Aleksandra prawami, to było wszystko, do czego dążył. Dalej myślą swoją nie sięgał, a na wszystko, co myśl tę wyprzedzało, patrzył z oburzeniem i trwogą.

Jakoż, rzecz trudna do uwierzenia! postępowanie Sejmu w d. 18 grudnia napętniło go gniewem.

Chłopicki uczuł się dotkniętym, że Sejm wbrew jego życzeniu nie odroczył obrad, a na wieść o powziętych przez obie Izby uchwałach zapalał gniewem. Sejm przeciął w jego oczach możliwość układów

z Mikołajem i to skłoniło dyktatora do uczynienia kroku stanowczego. Więc tegoż dnia jeszcze zawiadomił ks. Czartoryskiego, który przewodniczył w Senacie, i marszałka Ostrowskiego, że dyktaturę swą składa.

Ale wiara w Chłopickiego była tak silna, że członkowie Sejmu, idąc zresztą za głosem opinii, prosili na wszystko generała, aby władzę swą piastował nadal.

Chłopicki dał się ubłagać.

W ten sposób Sejm zakończył swoje czynności, a Chłopicki, pozostawszy dyktatorem, marnował dalej czas drogi i myślał o układach. Jego pokojowe usposobienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy podpułkownik Wyleżyński wrócił z Petersburga i przywiózł ze sobą dwa listy ministra sekretarza stanu do spraw Królestwa, Grabowskiego. Jeden z tych listów, pisany do prezesa nieistniejącej już rady administracyjnej, był pełen nagan i niemożliwych do wykonania rozkazów, w drugim Grabowski w imieniu cesarskim dziękował Chłopickiemu za objęcie władzy i utrzymanie porządku, a zarazem żądał zaniechania dalszych uzbrojeń i skoncentrowania wszystkich wojsk polskich w województwie płockim.

Ten list trafił dyktatorowi do przekonania.

Więc zwołał natychmiast utworzoną niedawno Radę Najwyższą Narodową i przed nią wypowiedział swój pogląd. Ale Rada wypowiedziała się stanowczo przeciw zaniechaniu uzbrojeń i koncentrowaniu wojska. Mimo to Chłopicki nie poprzestał na tym oświadczeniu, lecz, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za wojnę, polecił Radzie zwołać na 17 stycznia Sejm, by ten tak ważną sprawę rozstrzygnął.

Ale jeszcze przed otwarciem Sejmu dyktator powziął niezłomne postanowienie niewszczywania wojny.

Na poufnej naradzie z posłami, gdy jeden z obecnych wyraził przekonanie, że Chłopicki niebawem rozpocznie kroki wojenne, jeśli Sejm opowie się za wojną, generał odpowiedział, iż w tym wypadku złoży dyktaturę. Zapytano go, czy zostanie wodzem naczelnym.

— Nie, wodzem nie będę, bo nie chcę być pobitym — odparł Chłopicki.

Na te słowa poseł Jan Ledóchowski, człowiek z ognistym temperamentem, oburzył się i krzyknął:

— Musisz być wodzem, bo my ci rozkazujemy!

— Będę szelmą — wybuchnął Chłopicki — jeżeli przyjmę dowództwo nad wojskiem.

I, wpadwszy w wściekłość, jął tupać nogami, krzyzczeć na posłów, a na drugi dzień zawiadomił Sejm, iż zrzeka się władzy dyktatorskiej.

Wieść o tym wzburzyła stolicę! Uwielbiany człowiek runął nagle z piedestału i ciż sami ludzie, co go wczoraj tam wznieśli, dzisiaj nie szczędzili mu obelg.

— Zdrajca — wołano publicznie, myśląc o Chłopickim. A generał zżymał się, słysząc to straszne słowo, i fale nowej goryczy zalewały mu duszę.

Oto jak skończył rolę dyktatora człowiek, którego losy w tak szczęśliwym postawili położeniu, w jakim żaden wódz i żaden król polski nie znajdował się nigdy.

Od tej pory sprawą powstania zaczął kierować Sejm, jako najwyższa władza narodowa.

Tak więc sprawa powstania przerzucała się z jednej ostateczności w drugą. Gdy zawiodły rządy jednego człowieka, sprawować je zaczęło ciało zbiorowe, z natury ciężkie i niezdarne w chwili, kiedy, zamiast radzić, trzeba było decydować szybko, działać błyskawicznie. Pierwszą najważniejszą uchwałą zebranego po raz drugi Sejmu było mianowanie wodza. Na stanowisko to wysunięto ks. Michała Radziwiłła. Nie miał on żadnych danych na wodza, ale wśród generałów był jedynym, którego Chłopicki obiecał radą swą wspierać. Czy fantastyczny Chłopicki rad swoich w chwilach ważnych skąpić nie będzie, to mogło budzić poważne wątpliwości, ale Sejm poprzestał na takim zapewnieniu i w ten sposób stworzył dwóch wodzów: jednego, który nie czuł się na siłach dowodzić, drugiego, który dowodzić umiał i mógł, ale nie chciał. Z góry można było przewidzieć, że taka kombinacja nie da pomyślnych wyników.

Lecz publiczność, nie zdająca sobie sprawy z zalet Radziwiłła, a widząc w jego pochodzeniu litewskim zapowiedź wtargnięcia na Litwę, przyjęła tę nominację wiwatami i rozgłośnym okrzykiem:

— Na Litwę! na Litwę!...

Skorzystali z tego zapału przebywający w stolicy obywatele Litwy i Rusi i przez swój komitet, zorganizowany zaraz w początkach powstania, lecz za dyktatury nieczynny, posłali Sejmowi adres, w którym w imieniu ziem litewsko-ruskich przyłączali się do powstania. Sejm przyjął adres, a później i deputację komitetu, przez co możliwość dalszych układów stanowczo została przecięta.

A na drugi dzień, d. 25 stycznia Sejm uczynił krok nowy, wyraźnie już zmierzający do wojny.

Tego pamiętnego dnia przed połączonemi Izbami sejmowemi stanął poseł Jezierski, tensam, który jeździł do Petersburga, by nawiązać z Mikołajem układy. Wyjechał on z Warszawy pod wrażeniem panującej podówczas opinii sfer wyższych, które noc 29 listopada uważały za karygodne szaleństwo młodzieży. I zgodnie z tą opinią, którą sam podzielał, rzecz całą Mikołajowi przedstawił. Ale w ciągu ostatnich tygodni też same sfery zmieniły swój pogląd i Jezierski, stanąwszy przed Izbami, spotkał się z najwyższą niechęcią. Relacji jego słuchano początkowo w milczeniu, ale wkrótce gorętsi posłowie zaczęli przerywać ją okrzykami:

— Niegodnie! niegodnie! niehonorowo!...

Jezierski, nie zważając na to, mówił dalej i w zakończeniu swej relacji przytoczył słowa, jakimi pożegnał go Mikołaj. Słowa te brzmiały tak:

— Jeżeli Polacy uzbroją się przeciw mnie i staną w gotowości do walki z wojskiem pana swego, natenczas oni sami i wystrzał z ich armat obalą Polskę i sami staną się odpowiedzialni za nieszczęścia swojej ojczyzny.

W sali obrad silne zapanowało wzburzenie, a wzruszony marszałek Ostrowski powstał gwałtownie ze swego miejsca i zażądał, aby komisje przygotowały projekt do uchwały, któraby określiła stosunek narodu do dynastji. Marszałek powiedział nadto, że wobec usłyszanej dopiero co groźby, trudno Mikołaja uważać za prawego monarchę Polaków.



Augusto Lydon



Po Ostrowskim głos zabrał poseł Wołowski i w zakończeniu swego przemówienia powiedział:

— Dziś jeszcze w obliczu Europy wyrzeczmy, że Mikołaj I przestał nad nami panować...

Na te słowa zerwał się poseł Ledóchowski, tensam, który w swoim czasie do wściekłości doprowadził CChłopickiego, i, kończąc dyskusję, donośnym basem ryknął na całą salę:

— Wykrzyknijmy więc wszyscy: niema Mikołaja!...

Jakiś dreszcz wstrząsnął zebranymi. Członkowie Sejmu jak jeden mąż powstali z ławek i razem z publicznością, natłoczoną na galerjach, jęli wykrzykiwać:

— Niema Mikołaja! Niema Mikołaja!...

Po takiej odpowiedzi nie pozostawało nic innego, jajak skupić wszystkie siły narodu i do krwawej a zaciętej szynkować się walki.

W kilka dni po sesji detronizacyjnej Sejm wyłonił z siebie Rząd Narodowy, złożony z pięciu członków, a stąd pięciogłowym zwany. W rządzie tym zasiadli ks. Adam Czartoryski, jako prezes, oraz czterej ppóstowie: Wincenty Niemojowski, Teofil Morawski, SStanisław Barzykowski i Joachim Lelewel. Nowemu RRządowi Sejm przyznał władzę w tym zakresie, ww jakim ją konstytucja przeznaczyła królowi, ale zachował nad rządem władzę zwierzchniczą, jako instancja najwyższa, a zarazem postanowił nie przerywać swych obrad aż do końca powstania.

Nadto Sejm chcąc uspokoić opinie monarchów ww Europie, obawiających się, by powstanie w Polsce nnie przekształciło się w rewolucję społeczną, wypowiedział się za monarchją konstytucyjną. W ten sposób stworzył monarchję bez monarchy, rządów by-

najmniej postanowieniem takim nie przeciągnął na stronę powstania, a partje ludowe i ich przywódców w Europie postanowieniem tym zraził.

Prezes nowego rządu, książę Adam Czartoryski, cieszył się w kraju wielką popularnością. Na kongresie wiedeńskim bronił spraw Polski, a Królestwo Kongresowe i nadana mu konstytucja w dużej mierze jego były dziełem. Wypadwszy z łask Aleksandra I, oddał się sprawie oświaty, został kuratorem okręgu naukowego wileńskiego i na tym stanowisku położył niezapomniane zasługi. Owocną działalność jego przerwały intrygi Nowosilcowa — i Czartoryski usunął się w zacisze domowe. Był to człowiek ożywiony najlepszymi chęciami, łagodnego charakteru, miękki i uprzejmy w stosunkach z ludźmi, ale pozbawiony silnej woli i determinacji. Nie miał w sobie nic z tych zalet, które powinien posiadać prezes rządu powstańczego. W czasach spokojnych na każdym stanowisku mógł być się zasłużyć społeczeństwu, ale rządzić wtedy, gdy grzmiały armaty i nieprzyjacieli siedział na karku, gdy namiętności podniecone ścierały się ze sobą, gdy dla zwalczania wroga trzeba było imać się wszelkich środków, wydobywać siły choćby z pod ziemi, wszystko wiedzieć i wszystko trzymać w karchach, władzę swą uczynić postrachem dla tych, coby nieudolnością, intrygą lub zdradą osłabiali powstanie, słowem, rządzić w czasach rewolucyjnych, to przechodziło siły i zdolności Czartoryskiego.

Niestety, i nikt inny z członków rządu zalet tych nie posiadał.

Niemojowski i Morawski mogli odgrywać wybitną

rolę w każdym zgromadzeniu parlamentarnym, ale na naczelników rewolucji nie posiadali potrzebnych przymiotów. Uparci, z głowami, nabitemi teorjami konstytucjonalizmu, formalisci i z formalistyki czyniący zasadę, nawet w powstaniu nie umieli od tej zasady odstąpić. Myśleli nieustannie o tym, aby postępować legalnie i całą rewolucję przyoblec w szaty legalności.

Stanisław Barzykowski, poseł ostrołęcki, słynął ze swojej wymowy i wymowie tej wyniesienie swoje zawdzięczał. Chciał on być dobrym i użytecznym Polakiem, ale jako człowiek przeciętny, nic poza przeciętnością do rządu nie wniósł. Wierzył święcie w ks. Czartoryskiego, w razach spornych zawsze trzymał jego stronę, był wiernym sprzymierzeńcem księcia i wiernym jego echem.

I znakomity uczony Joachim Lelewel, patron młodzieży, która go wielbiła i kochała, jako profesora, przewodnika i wyobraziciela przekonań demokratycznych, nie miał danych na męża stanu i kierownika rewolucji. Znakomity profesor mógł w czasach pokoju stać się wychowawcą nietylko młodzieży, ale całego narodu, natomiast nie był zdolny do bezpośredniego czynu. Kolegom w rządzie nie umiał narzucić swej woli, a patrząc na ich działania krytycznie, nie chciał się do nich stosować. Przechylając się na stronę rewolucjonistów, był w rządzie osamotniony, podejrzany nieustannie o tajemne knowania i zamachy, o kopanie dołków pod swojemi kolegami. I niewątpliwie postępowaniem swoim osłabiał powagę Rządu Narodowego, często stawał się przyczyną rozterek, kłótni, nieporozumień, a w chwilach ważnych nie

umiał się zdobyć na energję, któraby jego widokom zapewniła zwycięstwo.

Tak więc rząd powstańczy składał się z ludzi, którzy nie posiadali ducha rewolucyjnego i temperamentu powstańców.

A na czele wojsk polskich stanął wódz nieudolny, obiecujący sobie słuchać we wszystkim gienerała, który wojny nie chciał, w zwycięstwo nie wierzył, a każdemu, kto się doń zbliżył, mówił, że gotów jest raz jeden „wykropić się porządnie“ dla ocalenia „honoru wojskowego“, lecz ostatecznie przewiduje klęskę.

Pod złą wróżbą rozpoczynała się walka.

Trzeba jednak dodać, że Rząd Narodowy w pierwszych swych chwilach wykazał sporo dobrej woli i energii. Zaciągi zaczęły się odbywać regularniej, uzbrojenia postępowały szybciej, liczba wojsk powiększała się codziennie, błędy, popełnione podczas dyktatury, zostały częściowo naprawione, ale i nad rządem ciążył ów duch chwiejności, duch wahania, który środków obrony nie pozwalał posunąć do granic ostatecznych.

Widzieli to rewolucjoniści i, chcąc zapobiec złemu, powołali znów do życia rozpędzone przez Lubckiego Towarzystwo Patryjotyczne. Za dyktatora zbierali się w kawiarniach, z których jedna, od imienia swej gospodyni Honoratką nazwana, szeroko zasłynęła. Przy kawie lub szklance piwa radzono tam o sprawach publicznych, krytykowano Chłopickiego i zastanawiano się nad tym, w jaki sposób obalić rządy dyktatora. Później, gdy Chłopicki władzę swą złożył, rewolucjoniści utworzyli klub i znowu ukazywali się na widowni. Ale wpływu, jaki posiadał klub

pierwotny, już nie odzyskali. Towarzystwo Patryjotyczne odbyło kilka hałaśliwych zebrań, krytykowało na nich działalność Sejmu i postępowanie rządu, w dniu 25 stycznia urządziło wspaniałą manifestację na cześć rewolucjonistów rosyjskich, ale nie zdobyło się na czyn, któryby wpłynął na powodzenie sprawy.

W organie swoim p. n. „Nowa Polska“ członkowie Towarzystwa Patryjotycznego domagali się zniesienia pańszczyzny, powołania pod broń mas ludowych, mówili nawet o rewolucji socjalnej, ale wszystko to było zbyt słabe, by mogło wywrzeć wpływ na postanowienia Sejmu lub rządu.

Tymczasem armja rosyjska wkroczyła na Litwę i posuwała się ku granicom Królestwa.

Losy Polski przenosiły się na pola bitew...

V.

BITWA POD GROCHOWEM.

200.000 ludzi i 600 dział przeznaczył Mikołaj na poskromienie zbuntowanego narodu.

Tę olbrzymią armję wiódł feldmarszałek Dybicz, wódz wsławiony kampanją bałkańską, generał zdolny i doświadczony, a przekonany, że zadanie swe ukończy szybko i w dwa tygodnie po wkroczeniu na ziemię Królestwa rzuci uśmierzoną Warszawę pod stopy swego władcy. Wojsko rosyjskie składało się z żołnierza, zaprawionego do boju w ostatniej wojnie tureckiej, a przekonanego o swojej wyższości nad wojskiem polskim. Przewodzili żołnierzom rosyjskim generałowie o ustalonej reputacji, jak generał Toll, szef sztabu, człowiek przyzwyczajony do ruchów szybkich i gwałtownych, z wojną otrząskany od czasów napoleońskich, dumny, ambitny i jednym potężnym uderzeniem obiecujący sobie rozstrzygnąć zwycięstwo. Korpusami dowodzili książę Szachowskij, uważany za jednego z najzdolniejszych wojskowych w Rosji, generałowie Kreutz, Rosen, Pahlen, Witt, dywizję strzelców konnych wiódł pyszny i cieszący się nabytą w ostatniej wojnie sławą generał Geismar.

Oprócz tego w armji rosyjskiej znajdował się W. ks. Konstanty ze swoją gwardją.

Wszystkie te siły, ożywione nadzieją łatwej sławy i nagród, wkroczyły na Litwę i z wolna posuwały się ku granicom Królestwa. Dnia 12 lutego jądro armji rosyjskiej przeprawiło się przez Bug—i Dybicz z głównymi siłami, niepowstrzymywany przez nikogo, posunął się naprzód i zajął stanowisko pomiędzy Węgrowem a Siedlcami.

Armją polską, jak już wiadomo, dowodził generał Radziwiłł, nie posiadający żadnych zdolności militarnych; w początkach kampanji armja ta podzielona była na dwa korpusy, z których jednym dowodził generał Krukowiecki, drugim generał Żymirski, oraz dwie dywizje pod rozkazami generałów Skrzyneckiego i Szembeka. Jazdą rezerwową dowodził generał Weyssenhof.

Ogółem siły te wynosiły 50 tysięcy ludzi i 100 armat.

Oprócz nich istniał jeszcze korpus gen. Dwernickiego, stworzony zabiegami i staraniem tegoż generała, a złożony z 6.000 ludzi, w czym blisko połowę stanowiła jazda.

Dwernicki, oddany pod rozkazy zasłużonego, lecz zniedołężniałego już generała Stanisława Klickiego, zaścianał lewy brzeg Wisły, a główne siły polskie postępowały ku zbliżającemu się od Siedlec nieprzyjacielowi.

Armja polska działała bez planu. Chłopicki, który od chwili wkroczenia Rosjan na terytorjum Królestwa objął naczelny kierunek działań, myślał tylko o biernym oporze, twierdząc, że wszystko jedno, gdzie

i kiedy bić się wypadnie, bo o skutecznym wyniku walki marzyć niepodobna. Nadaremnie dwaj najzdolniejsi oficerowie sztabu, Prądyński i Chrzanowski, chcieli korzystać z błędów, które popełniał nieprzyjaciół, nadaremnie kreślili plany i przesyłali je głównej kwaterze. Książę Radziwiłł o niczym decydować nie chciał bez Chłopickiego, a Chłopicki wszystkim, co się do niego zwracali, odpowiadał, że bez rangi jest niczym, i zastawiał się Radziwiłłem.

Gdy tak obaj wodzowie spychali z siebie odpowiedzialność za wynik zbliżających się bitew, a wojska polskie szły na spotkanie nieprzyjaciela, co wynikało nie z powziętego planu, lecz z systemu biernej obrony, nagle zaszedł wypadek, który w obozie polskim podniósł serca, a kraj cały napełnił radością i nadzieją.

Oto Klicki otrzymał wiadomość, że Geismar ze swoją dywizją ciągnie przez Łuków ku głównej armii rosyjskiej. Klicki postanowił skorzystać z tego odosobnienia i wysłał przeciw dywizji Geismara korpus Dwernickiego.

Dwernicki, odważny i mężny generał, przeszedł d. 9 lutego Wisłę pod Mniszewem i ochotczy ruszył naprzód. Stanąwszy dnia 12 lutego pod Żelechowem, dowiedział się o zajmowanej przez wojska rosyjskie pozycji i postanowił przekradać się manowcami, by napaść niespodziewanie Geismara i uderzeniem znieścacka rozgromić jego siły. Ale i Geismar nie zasypiał sprawy. I on, dowiedziawszy się o ruchach Dwernickiego, ruszył naprzeciw wojsk polskich. W ten sposób obaj generałowie z jednakowymi planami zbliżali się ku sobie.

Dnia 14 lutego Dwernicki stanął pod Stoczkiem.

Uwiadomiony o tym Geismar rozdzielił swe wojsko na dwie kolumny; nad jedną sam objął dowództwo, drugą powierzył generałowi Paszkowowi. Obaj przemykali się lasami. Paszkow winien był uderzyć na siły polskie od czoła, Geismar zaś uderzeniem w bok miał wesprzeć ten atak i dokończyć zwycięstwa, którego był pewien.

Jakoż Paszkow pierwszy wyszedł z lasu i, sformowawszy w szyk bojowy swój oddział, rozkazał rozpocząć ogień armatni.

Ale Polacy nie tracili czasu na strzelanie. Dzielnym podpułkownik Russyan, stojący naprzeciw Paszkowa, widząc przewagę artylerji rosyjskiej, nie czekał rozkazów Dwernickiego, lecz zakomenderował: „Naprzód!” — i z całą jazdą, jaką miał pod ręką, ruszył ku nieprzyjacielowi. Jazdę polską wita ogień karabinowy, ale nie opadły jeszcze dymy, gdy Russyan z największym impetem wpada na nieprzyjaciół, w mgnieniu oka rozbija pierwszy dywizjon rosyjski, a za nim następne. Złamane szeregi pierzchają w nieładzie, jak niepyszna zmyka z pola artylerja, a co nie zdąży uciec, to staje się łupem Polaków.

Tymczasem Dwernicki, spostrzegszy kolumny Geismara, występujące z lasu, sprawia swe szyki i, nie zwlekając chwili, rzuca się na nieprzyjacielską konnicę, rozbija ją odrazu i spłoszoną wrzuca do lasu. Nadaremnie Geismar stara się zapobiec ucieczce. Szybkie i mężne natarcie paraliżuje wszelkie jego usiłowania, popłoch wzmaga się i cały oddział rosyjski wraz z Geismarem na czele szuka ratunku w beładnej ucieczce.

W spotkaniu tym Rosjanie utracili 300 ludzi w za-

bitych, ranionych i niewolniku, a oprócz tego pozostawili zwycięzcom jedenaście armat i dziewięć jaszczyków z amunicją; z szeregów polskich ubył około 100 ludzi.

Tak świetnie rozpoczęte spotkanie zamyślał Dwernicki uwieńczyć całkowitym rozgromieniem uciekającego Geismara, lecz plany te pokrzyżował otrzymany z głównej kwatery rozkaz, który skutkiem mylnego raportu najniepotrzebniej w świecie wzywał Dwernickiego z powrotem do Warszawy.

Zwycięstwo pod Stoczkiem, acz nie wpłynęło na losy kampanji, miało ogromne znaczenie moralne. Było to pierwsze starcie i pierwszy uśmiech losu. Całe wojsko polskie nabrało otuchy, zaniepokojona stolica odetchnęła z ulgą, umysły się rozjaśniły i zaufanie do sprawy powstania wzmogło się w całym narodzie.

Ale był to dopiero początek. W kilka dni potem o wiele ważniejsze i krwawsze rozpoczęły się bitwy. Dnia 17 lutego generał Żymirski, zaatakowany przez przemagające siły pod Kałuszynem, po uporczywym boju opuścił zajmowaną pozycję i cofnął się pod Wawer. I gien. Skrzynecki, zwiódwszy krwawą walkę pod Dobrym, w której stracił 300 żołnierzy, a ubił Rosjanom z górą 750, cofnął się ku Pradze.

Dnia 19 lutego przyszło znowu do krwawej bitwy pod Wawrem.

Rosjanie, wyszedszy z ciemnych borów od strony Miłosny, dostali się na obszerne błonia, które zajmowały wojska polskie w pogotowiu wojennym. Dzień był mroźny, lecz pogodny i jasny. Oczom armji rosyjskiej ukazał się widok, będący celem jej dążeń.

Praga widzialna była jak na dłoni, a za nią na wzgórzach błyszczała w słońcu prastara stolica Polski i nęciła nieprzyjaciół swym majestatycznym wyglądem. Roziskrzonym wzrokiem patrzyli strudzeni żołnierze na majaczące przed nimi wieże, kościoły, pałace i gmachy, lubowali się, spoglądając na leżące przed nimi miasto, to miasto piękne, sławne i nie-szczęśliwe, a obiecujące w tej chwili dostatek jedła, napojów, wygody w ciepłych kwaterach i słodki po krwawym znoju odpoczynek.

Ale chcąc dostać się do Warszawy, trzeba było przedtym rozgromić armję polską i błonia wawerskie pokryć tysiącami trupów.

Jakoż niebawem odezwały się armaty rosyjskie i rozpoczęła się nowa bitwa, w której wojska polskie, mając przed sobą dwa razy większe siły, złożyły dowód wielkiego męstwa i poświęcenia. W pierwszej chwili zwycięstwo zdawało się przechylać na stronę polską, ale liczba zrobiła swoje i po kilku świetnych atakach, Polacy, rażeni ogniem licznej artylerji, a zalewani ruchomą masą coraz to nowych sił nieprzyjacielskich, rozpoczęli odwrót. Cofali się pod Grochów, ale każdy krok wsteczny wynagradzali sobie krwawym oporem, każdą piędź ziemi zlewali krwią, uściłali trupem.

Dopiero mrok zapadający rozdzielił walczących i przerwał tę krwawą a upartą bitwę.

Prawie cztery tysiące Rosjan i półtrzecia tysiąca Polaków zabitych i ranionych legło na polach wawerskich.

Gdy umilkły ostatnie wystrzały i znużone wojska udały się na spoczynek, długo jeszcze w noc ciemną

rozlegały się wołania i jęki dogorywających ofiar, przeraźliwe rżenia śmiertelnie ranionych koni, jakieś straszne okrzyki, szmery, szepty i westchnienia, okropna muzyka pobożowiska, zasłanego tysiącami trupów i konających.

Wstał nowy dzień — i jakby na jego powitanie odezwał się znowu złowrogi ryk armat.

Kanonada ta, nie zrządziwszy żadnej stronie szkód poważniejszych, trwała cały dzień, ale do bitwy nie przyszło. Wyczerpane wojska stały naprzeciw siebie w pogotowiu wojennym i czekały sygnału, by rzucić się znowu w wir walki. W obozie rosyjskim nie było już tej pewności siebie, która panowała przed rozpoczęciem bitew, natomiast żołnierz polski, złożony przed samym sobą dowody sprawności bojowej i męstwa, urósł we własnych oczach, nabrał otuchy i począł wierzyć w zwycięstwo.

Wojsko polskie, rozłożone na polach Wielkiego i Małego Grochowa, zajmowało obszerną, pełną moczarów i bagnisk równinę, otoczoną z jednej strony Wisłą i jej łachami, a z drugiej strony lasem. Prawe skrzydło opierało się o bagna, utrudniające dostęp do Wisły, lewe przechodziło poza lasek olszowy, znajdujący się pomiędzy Grochowem a Kawenczynem.

Przez lasek szła droga bita, prowadząca na błonia przed Pragę.

Ów historyczny lasek, który zasłynął później pod nazwą Olszynki, był pozycją czołową w położeniu wojsk polskich, wysuniętą jak bastjon ku prawemu skrzydłu nieprzyjaciela. Chcąc dostać się na równinę przed Pragę, trzeba było najpierw zdobyć Olszynkę. Ominąć jej Rosjanie nie mogli, gdyż, mijając, nara-

ziliby się na ogień z boku, a posunąwszy się dalej, mogliby oczekiwać ataku i na tyły wojsk swoich. W takich warunkach łatwo było przewidzieć, że Ol-szynka stanie się miejscem walki najkrwawszej.

Zatapiał w nią wzrok swój Dybicz, jak gdyby chciał przeniknąć ukryte w niej siły, badał je przebudzony z letargu Chłopicki i do upadłego postanowił się bronić.

W spokoju i ciszy upłynęło dni kilka. Dybicz nie decydował się na rozpoczęcie nowej batalji, a Chłopicki czuwał, jak lew, gotów każdej chwili ukazać swe straszne kły. Czy to bliskość armji nieprzyjacielskiej wpłynęła na starego gienerała, czy też przemówił w nim głos obowiązku, czy nagła nadzieja zwycięstwa i wiekopomnej sławy uśmiechnęła się Chłopickiemu, dość, że zmienił się do niepoznania, stał się naraz czynnym, czujnym i baczny na wszystko.

Codziennie na parę godzin przed wschodem słońca wyjeżdżał w otoczeniu swego sztabu poza przednie straże, wlepiął oczy w gęsty mrok nocy i badał, czy w pozycjach armji nieprzyjacielskiej nie zaszły jakie zmiany, na które natychmiast trzeba by odpowiedzieć. Wojsku rozkazał na godzinę przed świtem występować w rynsztunku bojowym, bo ataku do dnia można się było spodziewać, a doświadczony wódz na wszystko chciał być przygotowany. Ale armja nieprzyjacielska stała nieruchomo — i dzień za dniem płynął w nużącym oczekiwaniu. Więc Chłopicki czekał. Czekał groźny i pewny siebie, w postawie śmiałej i wyzywającej. Wojsko odczuło Chłopickiego i z radością patrzyło na jego czynności. Gdy w swoim szarym cywilnym płaszczu zjawiał się przed fron-

tem, żołnierze witali go okrzykami zapachu. Z postawy starego generała biła pewność siebie i jakaś nadzwyczajna moc, która udzielała się żołnierzom, przenikała ich nawskroś, rozpalala w piersiach płomień bohaterstwa i entuzjazmu.

Wojsko rwało się do boju i w takim stanie zastał je dzień 25 lutego.

W tym pamiętnym dniu armja polska, zajmująca pola grochowskie, liczyła 38.000 ludzi i 82 działa. Na lewo od tych sił pomiędzy Brudnem a Białotęką stał generał Krukowiecki z dwunastotysięcznym korpusem.

Rosjanie byli znacznie liczniejsi. Sam Dybicz, stojący naprzeciw pól grochowskich, miał 58.000 żołnierza i 196 armat, a na jego wsparcie śpieszył przez Białotękę książę Szachowskij, wiodący z górą 12.000 ludzi i 56 armat.

Olszynkę zajmowała brygada generała Rolanda, za którym z resztą swojej dywizji stał generał Żymirski. Pod Olszynką stała dywizja Skrzyneckiego, a prawe skrzydło polskie formowała dywizja Szembeka. Część jazdy pod generałem Umińskim utrzymywała komunikację z korpusem Krukowieckiego, reszta pod gien. Łubieńskim stała między drogą bitą siedlecką a traktem, prowadzącym do wsi Ząbki.

Dnia 24 lutego rozległ się huk armat na skrajnym lewym skrzydle polskim. To korpus Szachowskiego zbliżył się do Białotęki i rozpoczął bitwę, w której dowody wielkiego męstwa złożył broniący Białotęki Kazimierz Małachowski, najstarszy w wojsku polskim generał, niegdyś legionista dzielny i zasłużony wojak, zgnębiony wiekiem i trudami, ale w ogniu bi-

twy odzyskujący zapał i rzutkość młodzieńczą. Na wsparcie Małachowskiego pośpieszył Krukowiecki i, objąwszy naczelne dowództwo nad zgromadzonymi w Białoleśce siłami, zaraz nazajutrz zrana w pamiętnym dniu 25 lutego odnowił bitwę. Szachowski nie mógł się obronić natarczywości wojsk polskich i, widząc, że się nie przebiję, śpieszył inną drogą połączyć się z Dybiczem. Aby tego połączenia dokonać, musiał zrobić wielki łuk, co pozwalało Krukowieckiemu napaść na niego w marszu i wydać bitwę, lub też, widząc, że Szachowski Białoleśce nie grozi, pośpieszyć natychmiast na wsparcie głównych sił polskich.

Ale Krukowiecki, zadowolony, że zmusił do odwrotu nieprzyjaciela, poprzestał na tym i, nie bacząc na walkę, rozgrywającą się pod Grochowem, na wzywające go odgłosy armat, zarządził odpoczynek i stał w miejscu nieporuszony.

Szrały, słyszane od strony Białoleki, zafrasowały wielce Dybicza. Obawiał się, że na Szachowskiego spadną główne siły polskie—i natychmiast zdecydował się temu przeszkodzić, zajmując te siły akcją zaczepną wojsk, będących pod ręką.

Jakoż o dziewiątej zrana odezwały się armaty rosyjskie i natychmiast odpowiedziała im artylerja polska.

Na odgłos wystrzałów Chłopicki dosiadł konia i popędził zaraz na linię bojową, a naczelny wódz Radziwiłł zajął wyznaczone mu miejsce w środku równin Pragi, przy drodze bitej, obok słupa żelaznego, postawionego na pamiątkę ukończenia tej drogi.

Od zdobycia Olszynki postanowił Dybicz tę nową walkę rozpocząć i atak na Olszynkę powierzył Rosenowi.

Rosjanie śmiało ruszyli naprzód i z okrzykiem: hurra! wtargnęli do Olszynki. Rzęsistym i celnym ogniem przywitani ich najpierw tyraljerzy, a później natarła na nich piechota i bagnetem z lasku wyparła. Rosjanie nie dają za wygraną i raz za razem ponawiają atak. Wyrzuceni trzykrotnie, formują się po raz czwarty i, wzmocnieni nowymi siłami, znowu ruszają do ataku.

Widzi to Chłopicki i poleca gien. Żymirskiemu wesprzeć Rolanda i bronić Olszynki do upadłego. Chcąc podkreślić ważność tej obrony, zapowiada Żymirskiemu przez adjutanta, że wolno mu zginąć, ale niewolno opuścić pozycji. Otrzymaawszy ten rozkaz, Żymirski jak burza wpada do lasku, łamie szeregi nieprzyjacielskie, wypiera je na całej linji i staje mocno jak mur, gotów na nowe natarcia. Niedługo na nie czeka, bo sam Dybicz śledzi zażartą walkę i rozkazuje Rosenowi ponowić ataki.

Wojska rosyjskie formują się w otwartym polu i znowu idą na Olszynkę.

Zahuczało w lasku od strzałów, krzyków i jęków, zawrzała nowa walka, ale niedługo trwała, bo Rosjanie, nie mogąc wytrzymać natarczywości obrońców, cofnęli się w nieładzie.

Miotła się na ten widok Dybicz i nakazuje nowe, potężniejsze uderzenie.

Rusza teraz do boju dywizja Pahlana i brygada karabinjerów, kilkadziesiąt dział artylerji konnej rozpoczyna ogień morderczy i wojska rosyjskie, uszykowane w półkole, a prowadzone przez najmężniejszych w armji gienerałów Tolla i Neuhardta, idą

pomścić doznane porażki i wydrzeć Polakom Olszynkę.

Żymirski patrzy nieulekłym wzrokiem na zbliżającą się nawałnicę, pod gradem kul przebiega przedzone szeregi i wzywa je do zaciętej obrony, gdy wtym kula armatnia urywa mu ramię i śmiertelnie ranionego ciska o ziemię. Żymirskiego unoszą z pola, a żołnierze, wyczerpani walką a pozbawieni komendy, nie mogą oprzeć się ogarniającej ich burzy i opuszczają pełną trupów Olszynkę.

Widzi to Chłopicki i zrywa się do skoku, bo teraz kolej na ataki wojsk polskich.

Skrzynecki otrzymuje rozkaz odebrania lewej strony lasku, a prawą mają zdobyć grenadjerzy.

Ale za mało sił ma Chłopicki, by walczyć z całą armją Dybicza, więc rozkaz za rozkazem śle do Krukowieckiego i nakazuje mu ruszać na plac boju, jednocześnie zaś wzywa Łubieńskiego, by z całą jazdą pośpieszył pod Olszynkę. Ale Łubieński odpowiada, że naczelnym wodzem jest Radziwiłł i, że od niego tylko przyjmie rozkazy, a Krukowiecki ani myśli przerwać odpoczynku. Chłopicki posyła nowych adjutantów, poczym zbliża się do grenadjerów, by rzucić ich w ogień. Od postaci Chłopickiego biła pewność siebie, twarz zdradzała straszną zawziętość, lecz była spokojna, nieruchoma, jakby wykuta z marmuru, tylko z oczu szły błyskawice i przebiegały sformowane już do ataku kolumny.

Na widok wspaniałej i pewnej siebie postawy generała zapal ogarnął grenadjerów.

— Niech żyje Chłopicki! — Niech żyje dyktator! —

poczęto wołać dokoła i jakiś nowy duch i nowe męstwo wstąpiło w serca.

A Chłopicki stanął na czele jednego bataljonu, dwa inne powierzył Prądyńskiemu i Milbergowi, poczym szpicrutą wskazał Olszynkę i krzyknął grzmiącym głosem:

— Tam! tam!

Jak lwy ruszają grenadjerzy we wskazanym kierunku. Z piersi ich dobywa się pieśń legjonów i grzmi tak głośno, że nie głuży jej ryk armat, ani odgłos bębnow. Miarowym krokiem zbliżają się do lasku i wkraczają na pole walki groźni i straszni, dyszący żądzą boju i zwycięstwa. A gdy wchodzili do lasku, naraz jakby na umówiony sygnał dziewięćdziesiąt armat z obu stron zagrzmiało. Przerazający huk wstrząsnął powietrzem, ziemia zadrżała od walących się na nią kul i kartaczy, a od kłębow dymu niebo pociemniało. Zastąpiły grenadjerom drogę kolumny nieprzyjacielskie, ale, przełamane w jednej chwili, ustąpiły z pola. Lecz oto nowe siły gromadzą dowódcy rosyjscy i wzmagą się walka zażarta, a choć z obu stron gęsto trup pada, grenadjerzy wciąż posuwają się naprzód. Chłopicki, widzialny jak sztandar dla obu stron walczących, pierwszy idzie w odmet śmierci i porywa za sobą szeregi. Płaszcz Chłopickiego poszarpały kule, dwa konie pod nim ubito, ale stary generał nie zważa na nic, niczym niewzruszony do nowych czynów wzywa swoich żołnierzy i, krok za krokiem oczyszczając Olszynkę, wymiata z niej nieprzyjaciela.

W tymże samym czasie wre walka zacięta i w drugiej połowie lasku. Generał Skrzynecki na czele ósmego

pułku piechoty, a generał Bogusławski na czele sławnych czwartaków również posuwali się naprzód. Bogusławski, lubiany dla swego męstwa, strofował żołnierzy:

— Mierz zwolna, wybieraj oficerów, a celuj w sam łeb! Chciałeś rewolucji, to nie chybiaj, psia krew, bo bieda będzie...

Jakoż widać w szeregach nieprzyjacielskich zamieszanie. Czwartacy wiernie wypełniają rozkaz: już generała brygady i szefów bataljonów unoszą z pola, Rosjanie chwieją się coraz bardziej.

— Na bagnety! — komenderuje Skrzynecki.

— Na bagnety! — woła Bogusławski i dwa pułki polskie, najeżywszy się stalowymi ostrzami, wpadają na nieprzyjaciół, łamią ich i, pędząc przed sobą, wychodzą poza Olszynkę. W tejże samej chwili ukazują się i grenadjerzy, prowadzeni przez Chłopickiego.

Dzięki tym wysiłkom lasek olszowy został opanowany przez wojska polskie.

Chłopicki ani myśli poprzestać na tym i z pozycji obronnej postanawia przejść do ataku. Posuwa się więc dalej, w nadziei, że lada chwila przybędzie Krukowiecki i poprze te wysiłki. Żołnierze odczuli ważność momentu i doniosłość odniesionego zwycięstwa. Tryumfalne okrzyki przeszły powietrze i upojonych żołnierzy ogarnął nieopisany zapach. Szeregi pomknęły naprzód, jak rozhukana fala, gotowa zmieść wszelkie przeszkody, strącać wszystko, coby jej śmiało stanąć na drodze.

Wówczas Prądyński, rozpromieniony tryumfem, wysuwa się przed grenadjerów i, szpadą wskazując znajdującą się w pobliżu baterję rosyjską, woła:

— Żołnierze, bracia, jeszcze jedno wysilenie, a te oto działa są nasze!...

Suną grenadjerzy na armaty, rąbią kanonjerów, co nie zdążyli uciec, zdobywają baterję i dwa działa zioną niebawem ogniem na wzgórze, skąd Dybicz śledził przebieg walki.

Postęp taki nowy gniew zapalił w wodzu rosyjskim. Na czele swego sztabu wpada pomiędzy pierzchające kolumny, gromi je, każe formować na nowo, poczym wprowadza do walki nienaruszone rezerwy i olbrzymią masą posuwa się ku zwycięzcom, zachodząc im drogę z frontu i z lewej strony.

— Nie jest że to hańbą, że nie mogę zdobyć tego lasku, — woła Dybicz do oficerów i przeciw trzem pułkom polskim wystawia resztę korpusu Rosena, drugą brygadę grenadjerów, na której w krytycznych chwilach polegali najbardziej, pułki meklemburski, jekaterynosławski, ingiermanlandzki, staroingiermanlandzki, piąty pułk jegrów, pułk karabinjerów, a za tą masą piechoty rozkazuje posuwać się jeździe, poczym wysuwa się na czoło i, szpadą wskazując kierunek, rzuca swe wojsko na garstkę obrońców Olszynki.

Polacy mężnie witają nawałnicę, aledy nikt im z pomocą nie przybywa, zmuszeni są cofnąć się do lasku.

Nieszczęsna Olszynka znowu zapełnia się ludźmi i walka nierówna trwa całą godzinę. Wreszcie Rosjanie zdobywają lasek i wypierają z niego Polaków.

Ale Chłopicki nie daje za wygraną. Wśród ryku armat i kurzawy bojowej stary lew odzyskuje całą swą energję i postanawia polec lub zwyciężyć. Jeden groźny zamach wszystkiemi siłami polskimi ma za-

decydować o zwycięstwie. Adjutanci wodza biegną do dywizji Żymirskiego i Szembeka, by wprowadzić je w ogień, a Chłopicki wściekły, że Krukowieckiego nie widać, że Łubieński nie pośpiesza z jazdą, wycofuje się na chwilę z ognia i pędzi ku kolumnie żelaznej, gdzie stoi ze swym sztabem i cywilnymi dygnitarzami niemieszający się do bitwy naczelny wódz Radziwiłł.

Chłopicki żąda od niego powtórzenia swoich rozkazów, co wódz naczelny niezwłocznie czyni. Otoczenie Radziwiłła pyta Chłopickiego o przebieg bitwy.

— Do widzenia waszmościom—odpowiada Chłopicki — jadę teraz zdobywać armaty...

I ufny w zwycięstwo spina ostrogami konia, powraca w odmet bitwy i jak zwiastun zwycięstwa zjawia się wśród szeregów.

Wtym w konia, na którym siedzi, uderza granat i pęka z traskiem. I koń i jeździec giną na chwilę w kłębach dymu, poczym oczom patrzących okropny ukazuje się widok: pod rozerwanym koniem leży zbрызgany krwią Chłopicki. Okrzyk przerażenia dołbywa się z piersi żołnierzy. Dopadają do generała, dołbywają go z pod konia, a widząc, że ciężko raniony, robią naprędce nosze z kos kilku, składają go na nich i unoszą z pola. Ale Chłopicki, acz cierpi strasznie, pała jeszcze ogniem zwycięstwa.

Prądyńskiemu, który go pyta, kto ma bitwą dowodzić, odpowiada:

— Skrzynecki. Powiedz mu, ażeby całemi siłami uderzył na Olszynkę i wydarł ją koniecznienie nieprzyjacielowi.

Wieść o ciężkich ranach generała roznosi się szybko,

przygnębia umysły — i oto wraz z Chłopickim znika z pola walki duch zwycięstwa.

Bitwa rozpręga się w jednej chwili. Pozostali na placu generałowie nie o zwycięstwie, lecz o własnym ocaleniu zaczynają rozmyślać. Skrzynecki, znużony walką, nie spełnia danego polecenia, Szembek, zaatakowany przez brygadę strzelców konnych, dwa pułki huzarów i pułk ułanów, cofa się w nieładzie, za jego przykładem idzie reszta wojsk polskich.

A wódz naczelny Radziwiłł stoi pod żelazną kolumną i, widząc, co się dzieje, szepcze bezradnie pacjentem.

Popłoch wkrada się w szeregi. Jeden Skrzynecki, acz cofa się wraz z innemi, utrzymuje doskonały porządek, broni się mężnie i zasłania odwrót.

Dybicz usiłuje wykorzystać to zamieszanie i, chcąc przeciąć armji polskiej odwrót na Pragę, formuje swą jazdę. Pułk kirysjerów księcia Alberta podejmuje się wskazać konnicy rosyjskiej drogę i zapuszcza się w pełnym galopie pomiędzy wojska polskie, podbiega aż pod samą Pragę i wśród widzów, obserwujących walkę, wzbudza przerażenie.

Dostrzegszy wojska rosyjskie, rzucili się oni do ucieczki i wpadli na Pragę z wiadomością o porażce wojsk polskich. Straszna wieść szybko rozniosła się po stolicy.

— Już Praga zdobyta! już nieprzyjacieli na moście! — poczęto wołać na ulicach Warszawy i popłoch ogarnął bezbronnych mieszkańców. Okrutna rzeź Pragi, żyjąca we wspomnieniu, wszystkim stanęła przed oczyma.

Ale tak źle nie było. Kirysjerzy, zapędziwszy się zadaleko, z tysamszym pośpiechem wracali do swoich.

Wszakże szarżowani przez ułanów pod pułkownikiem Kickim i rażeni ogniem piechoty, zostali prawie wszyscy na placu lub poszli do niewoli. Tylko pojedynczym jeźdźcom udało się połączyć z główną armją rosyjską.

Tymczasem zbliżał się wieczór i mrok spływał na krwawe pobojuwisko. Kanonada stawała się coraz rzadszą, aż zamilkła zupełnie.

Polacy cofali się przez most na Pradze do Warszawy, Rosjanie zajęli pole bitwy, ale, wstrzymani mężnym oporem, nie odważyli się na przypuszczenie szturm do Pragi.

Wkrótce na całym polu bitwy głęboka zapanowała cisza i wojska rosyjskie słyszały doskonale turkot cofającej się po moście artylerji, pociągów i ambulansów. Do późna w noc skuteczniał się odwrót wojsk polskich. Generał Małachowski pozostał ze swoją brygadą na Pradze, by w razie ataku bronić szanca przedmostowego, a cała armja znalazła się nad ranem w murach Warszawy.

W tej krwawej bitwie Polacy stracili z górą 7.000 ludzi, a Rosjanie sami obliczali swe straty na 9.400 ludzi.

Całą noc Warszawa oczekiwała szturm, ale noc przeszła spokojnie.

Wstał nowy dzień i znowu w stolicy spodziewano się szturm, ale wojska Dybicza, czerniejące na równinach przed Pragą, niby zastygła lawina spoczywały milcząco i nieruchomo.

VI.

WAWER. WIELKIE DEMBE. IGANIE.

A w Warszawie wielki panował niepokój...

Obywatele tchórzliwszego serca, obawiając się szturm i jego okropności, pakowali swe rzeczy i szykowali się do opuszczenia stolicy. Za ich przykładem poszło wielu posłów — i powszechna niepokojność rosła. Nawet wielu wyższych wojskowych uważało prowadzenie walki za rzecz niemożliwą i, wskazując przerzedzone szeregi, mówiło tylko o układach.

Dnia 26 lutego o godz. 6 rano zebrali się członkowie Rządu Narodowego, ministrowie i wyżsi wojskowi na walną radę i wybór nowego wodza, bo Radziwiłł bez poparcia Chłopickiego wodzem być nie mógł. Gienierałowie Łubieński i Szembek mówili o układach, inni ponuro milczeli i milczeniem tym zdawali się mówić, że dalsza wojna jest niemożliwa. Ale ksiązę Czartoryski lepiej oceniał położenie. Rozumiał on, że po bitwie, która się zakończyła opusz-

zeniem placu, Dybicz nawet słuchać o układach nie zechce, wobec czego trzebaby zdać się na jego łaskę. Więc z energją, która zaszczyt Czartoryskiemu przynosi, sprzeciwił się nawet radzeniu o układach i wybór nowego wodza porучzył zebrany.

Położenie było trudne. Najlepsi gienerałowie polscy, Stanisław Potocki i Trembicki, polegli w pamiętną noc listopadową, Chłopicki, ciężko raniony, wodzem być nie mógł, a wśród pozostałych wojskowych jeden Stanisław Klicki miał dobrą reputację.

Niestety, był to już człek schorzały, niezdolny do trudów wojennych.

Wprawdzie były to czasy, w których żyli jeszcze we Francji słynni wodzowie napoleońscy i niejeden z nich chętnieby ofiarował Polakom, dawnym towarzyszom broni, swoje usługi. Wobec tego można było nawiązać z wodzami temi rokowania, a jednemu z gienerałów polskich powierzyć tymczasowe dowództwo. Ale Rząd Narodowy, składający się z cywilnych, nie ogarniał, jak się należy, sytuacji — i naczelnego wodza chciał mieć jak najprędzej.

Dwuch gienerałów odznaczyło się w walkach dotychczasowych: Dwernicki i Skrzynecki.

Dwernicki zaraz w pierwszej rozprawie złożył dowody roztropności, odwagi i męstwa, a idąc śmiało na wroga, wskazał drogę działań zaczepnych, tak ważnych w skutki dla powstającego narodu. Ale Dwernicki, nieobecny na radzie, uganiał się za wojсками rosyjskimi w Lubelskim i został niejako zapomniany. Zwycięstwo pod Stoczkiem przesłoniły ważniejsze wypadki, a w tych wypadkach najlepiej zaprezentował się Skrzynecki. Bitwa, którą stoczył

pod Dobrym, rozślawiła jego imię, a dzielna obrona Olszynki i porządek, utrzymany w szeregach po opuszczeniu bitwy przez Chłopickiego, wskazywały Skrzyneckiego, jako generała, pełnego męstwa i animuszu.

Pretendowali jeszcze do naczelnego dowództwa generałowie Krukowiecki i Umiński, obaj ludzie niepokojnego ducha i małej wartości, ale pierwszy miał na sumieniu karygodną bezczynność pod Białąłęką, kiedy losy bitwy, a może i Polski ważyły się na polach Grochowa, drugi — prócz pychy i wymowy niczym jeszcze wyróżnić się nie zdołał.

Wybór padł na Skrzyneckiego.

Był to człowiek w sile wieku, liczył bowiem lat 44. W pamiętną noc listopadową biegł on do W. Księcia, by ofiarować mu swoją szpadę przeciw buntownikom, później jednak poddał się biorącej górę opinii rewolucyjnej i przyłączył się do powstania. Rewolucja zastała go w randze pułkownika, ponieważ jednak uchodził za oficera dużych zdolności, mianowano go generałem. Bitwa pod Dobrym i obrona Olszynki podtrzymała tę reputację i zyskała Skrzyneckiemu zaszczyt, na jaki bynajmniej nie zasłużył. Był to bowiem typowy karjerowicz, myślący przede wszystkim o sobie, uparty, zarozumiały, poziomy, nie znoszący obok siebie żadnego talentu i żadnej wyższości. Miał się za drugiego Napoleona, ale w gruncie rzeczy nie posiadał nawet wykształcenia i zdolności, wymaganych już nie od wodza, ale od każdego generała. Dużo mówiono o jego waleczności i męstwie. Istotnie nie można mu męstwa odmówić, ale męstwo to rodziło się dopiero podczas niebezpieczeństwa, na placu bitwy, w obliczu śmierci.

Wtedy Skrzynecki ożywiał się, szedł w odmęt bitwy dumny, wyniosły, uparty. Ale odwagi, pozwalającej zaczepiać i ścigać nieprzyjaciela, energii i szybkości w ruchach, śmiałej decyzji, bystrego rzutu oka, daru orjentacyjnego, słowem, przymiotów wodza zupełnie nie posiadał. I charakterem również się nie wyróżniał.

Opinja uważała go za dzielnego patryjotę, a to ze względu na niezależność, którą jako sędzia w procesie Łukasińskiego wykazał. Wiadomo, że on jeden w gronie sędziowskim był za uniewinnieniem oskarżonych, ale nie wiadzano, że na rozkaz W. Księcia cofnął swoją opinię, zaparł się swoich przekonań i wyrok wraz z innemi sędziami podpisał.

A jednak buławę hetmańską przyjął Skrzynecki, jako rzecz mu należną, i odrazu przybrał pozę męża opatrznociowego. Ten mizerny i mały człowiek, który widział tyle dowodów poświęcenia i męstwa żołnierza, który osobiście przekonał się już, że walka jest możliwa i bynajmniej nie beznadziejna, odrazu obnażył swoją małoduszność i płytkość, niezmierny brak odwagi i zdecydowania. Zamiast wyteńczyć wszystkie siły, by powiększyć liczbę obrońców i ćwiczyć nowe zaciągi, Skrzynecki wbrew wyraźnemu zakazowi rządu rozpoczął układy z Dybiczem, układy, które, jak to było do przewidzenia, wódz rosyjski ze wzgardą odrzucił.

Po takim naczelniku sił zbrojnych powstania niewiele dobrego można się było spodziewać.

Razem ze Skrzyneckim na widownię zdarzeń wojennych wypłynęli dwaj wybitni oficerowie, mianowani pułkownikami, a w szybkim czasie awansowani na generałów: Ignacy Prądzyński i Wojciech

Chrzanowski, pierwszy, jako kwatermistrz armji, drugi, jako szef sztabu.

Prądyński dochodził lat czterdziestu, ale miał za sobą doświadczenie, brał bowiem udział w wojnie r. 1809 i w kampanji moskiewskiej. Był to oficer wykształcony, bystry, odważny, strategik wprost gienjalny, słowem wymarzony oficer sztabowy dla wodza, umiającego ocenić i korzystać ze zdolności swoich podkomendnych. Prądyński posiadał wiele twórczej wyobraźni, wojnę chciał prowadzić na wielką skalę, pomysły miewał wielkie, olśniewające, a obok tego wszystkiego posiadał jeszcze jeden w ówczesnym położeniu niezwykle cenny przymiot: wiarę w sprawę narodu i wiarę w zwycięstwo. To też, wszedszy w swą rolę, zaraz ją zastanawiać się nad tym, w jaki sposób nieprzyjaciół podejść i rozgromić, jak korzystać z błędów, które wkrótce po batalji grochowskiej zaczął wódz rosyjski popełniać. Prądyński rozmyślał o czynach wielkich, marzył nietylko o rozgromieniu całej armji rosyjskiej, ale nawet o zwycięskim marszu na Petersburg. Po napoleońsku traktował on wojnę, a pomysły swoje, co jest rzeczą niezwykle ważną, opierał zawsze na możliwie ścisłym obliczeniu wzajemnych sił, na uwzględnieniu wszystkich możliwych do przewidzenia szans i skutków. Niestety, jednego tylko przymiotu brakowało Prądyńskiemu: powagi i tęgości charakteru. Łatwy w obcowaniu z ludźmi, przystępny gaduła, uprzejmy i towarzyski, miał małe ambicijki, nie licujące z wielką i szlachetną ambicją, która mu przyświecała, a obok tych ambicijek wolę zbyt słabą, by ją Skrzyneckiemu narzucić.

Chrzanowski był do pewnego stopnia przeciwstawieniem Prądzyńskiego. Zgryźliwy, uważający walkę z Rosją za szaleństwo, pozbawiony zapału i entuzjazmu, ale zdolny, pracowity, systematyczny, podobnie jak Prądzyński mógł być swym wyrobionym i przemysłanym zdaniem niejedną cenną usługę oddać naczelnemu wodzowi.

Na nieszczęście Chrzanowski i Prądzyński bardzo często różnili się w zdaniu, Skrzynecki zaś, który zdania własnego nie miał, a cudzych ocenić nie umiał, korzystał z owej sprzeczności w ten sposób, że, mając do wyboru dwa różne plany, oba krytykował, odrzucał i pogrążał się w beczynności.

Przerwa w działaniach wojennych pozwalała na skompletowanie i reorganizację armji. Na dowódców dywizji powołano generałów Rybińskiego, Giełguda, Kazimierza Małachowskiego i Milberga. Jazdę podzielono na trzy dywizje, których dowództwo objęli generałowie Łubieński, Umiński i Skarzyński. Szembek, pokłóciwszy się ze Skrzyneckim, podał się do dymisji, a generał Krukowiecki również opuścił szeregi. Miast postawić go wraz z Łubieńskim przed sąd wojenny za niewypełnienie rozkazów podczas bitwy grochowskiej, mianowano Krukowieckiego gubernatorem Warszawy.

Armja polska, kompletowana nieustannie, szybko rosła w siły i w końcu marca wraz z załogami Zamościa i Modlina oraz oddziałami Dwernickiego, Sierawskiego i Paca wzrosła do poważnej liczby 90.000 żołnierza. Zaopatrzona we wszystkie potrzeby, dobrze rozłokowana i dobrze żywiona, przeniknięta była zapałem wojennym i ufnością w zwycięstwo.

Tymczasem wojska rosyjskie cierpiały na brak żywności i kwater, a straty w dotychczasowych bitwach osłabiły ducha żołnierzy i wodzów. Dybicz nie tylko nie decydował się na przypuszczenie szturm do Pragi, ale wkrótce cofnął się w bory Miłosny, pozostawiając jedynie przed Pragą silną straż, złożoną z 6.000 ludzi, a dowodzoną przez Geismara.

Wkrótce w Warszawie otrzymano ważne wiadomości o nowych pozycjach wojsk rosyjskich, co zaraz natchnęło Prądyńskiego myślą rozpoczęcia nowej batalji. Prądyński, korzystając z rozdzielenia armji rosyjskiej, nakreślił plan rozgromienia poszczególnych oddziałów i plan ten przedstawił Skrzyneckiemu. Ale wódz naczelny zwlekał z rozpoczęciem kroków zaczepnych i trwał w bezczynności, choć szanse otrzymania zwycięstw były ogromne. Prądyński udał się ze swoim planem do członków Rządu Narodowego i przez nich starał się wpłynąć na wodza. Skrzynecki coraz to nowych doszukiwał się trudności, gdy wtym odebrano w Warszawie wiadomość, iż Dybicz czyni przygotowania do przeprawy przez Wisłę i z główną swą armją zamierza niezwłoczny pochód na Warszawę.

To dopiero zdecydowało Skrzyneckiego.

Stosownie do przyjętego planu wojska polskie miały rozgromić pod Wawrem Geismara, znieść stojący w pobliżu korpus Rosena, a następnie opanować Siedlce i rzucić się wszystkimi siłami na Dybicza.

Dnia 30 marca o północy, po moście, wyłożonym słomą, wymykały się chyłkiem wojska polskie na Pragę i zajmowały zaraz wyznaczone im stanowiska.

Cichość, z jaką to czyniły, oszukała czaty rosyjskie i Geismar ani przeczuwał, co go zrana czeka. Gęsta mgła, panująca nazajutrz, do ostatniej chwili osłaniała ruchy wojsk polskich i dopiero uderzenie gien. Rybińskiego, który, okrążywszy pozycje nieprzyjacielskie, zaatakował strażę rosyjskie pod Kawenczynem, wyrwało Geismara z nieświadomości. Posyła on strażom swoim posiłki, ale w tejże chwili otrzymuje raport, że znaczne siły polskie ciągną ku niemu drogą bitą od Grochowa. Nieprzygotowany na atak z dwóch stron, Geismar usiłuje się bronić, ale nacierany mocno, pozostawia cztery działa, dwa sztandary, licznych jeńców i czymprędzej uchodzi.

Warszawa, przebudzona strzałami, teraz dopiero dowiedziała się o przedsięwziętej wyprawie. A zaledwie zaroily się ulice, już mieszkańcy stolicy ujrzeli licznych jeńców, prowadzonych przez most na Wiśle. Cały pułk litewski w walce tej broń złożył, radość więc panowała wielka. Winszowano sobie zwycięstwa i cieszą się nadzieją nowych tryumfów.

Tymczasem Geismar, ścigany przez wojska polskie, cofał się przez Miłosnę ku wsi Wielkie Dembe na główne siły Rosena.

O godzinie 3 popołudniu wojska polskie ze Skrzyneckim na czele dosięgły nieprzyjaciela.

Siły polskie wdwójnasób przewyższały Rosjan, ale wódz naczelny tylko część ich użył do bitwy i patrzył niespokojnie na wynik swoich rozporządzeń. Rosen bronił się dzielnie i walka trwała bez skutku parę godzin. Słońce już poczęło chylić się ku zachodowi — i Skrzynecki postanowił kres bitwie położyć. Rozesłał więc rozkazy, aby wojska noco-

wały tam, gdzie je rozkaz zastanie, lecz stało się inaczej.

Bogusławski, który z czwartym pułkiem wysłany został na punkt najniebezpieczniejszy i, stojąc w bagnach naprzeciw Wielkiego Dembego, ogniem karabinowym raził nieprzyjaciela, otrzymawszy rozkaz naczelnego wodza, zawołał z oburzeniem:

— Jak to? ja mam w tym błocie nocować!...

I, zwróciwszy się do czwartaków, wskazał im szablą Wielkie Dembe.

— Wiarusy — krzyknął — tam nocować będziemy!...

I wydał rozkaz do ataku.

Pędem rzucili się ku wsi żołnierze i, jak wicher wpadłszy pomiędzy nieprzyjaciół, opanowali wnet kilka domów i zbliżka rozpoczęli ogień. W tejże chwili Tomasz Potocki podprowadził dwa działa i kartaczami zaczął obsypywać Rosjan. Wówczas Skrzynecki, ulegając namowom Chrzanowskiego, zdecydował się skorzystać z zamieszania i rzucić na Rosena jazdę pod generałem Skarżyńskim. Dzielna szarża jazdy polskiej rozstrzyga ostatecznie los bitwy. Rosjanie nie mogą dotrzymać placu, mieszają się i w nieładzie poczynają uchodzić. Ale odwrót, rozpoczęty wobec siedzącego na karku nieprzyjaciela, zamienia się w porażkę. Sam Rosen o mało nie dostaje się do niewoli. Od ostatecznej klęski noc ciemna go uratowała.

Wojsko polskie zajęło pole bitwy i rozłożyło się na noc. Również ze dniem należało zarządzić energiczny pościg i dokończyć zwycięstwa rozgromieniem reszty korpusu Rosena. Naczelną wódz powinien był

zostać wśród wojska, by przed świtem jeszcze podnieść je na nogi i o pierwszej zorzy rozpocząć energiczną pogoń. I, zdaje się, tak miał zamiar uczynić, lecz w chwili wydawania rozkazów przyjechał do Skrzyneckiego adjutant i przywiózł wiadomość od kucharza, że „rondle już ustawione“.

Na tę tak ważną i doniosłą nowinę Skrzynecki opuścił plac bitwy, wojsko, zapomniał o obowiązkach naczelnego wodza, o zwycięstwie, ojczyźnie — i pomknął do Brzezina, by tam zjeść wieczerzę i zażyć odpoczynku.

Tak to rondle odegrały ważną rolę w historii tej kampanji i ocaliły Rosena od ostatecznej klęski...

Pogoń odbywała się niedbale, wódz naczelny ciągnął w tyle armji, kontent z odniesionych korzyści.

Korzyści te istotnie mimo popełnionych błędów były bardzo znaczne. W ciągu dwu dni armja polska, straciwszy zaledwie 500 ludzi z szeregów, wzięła do niewoli 9.000 nieprzyjaciół, zdobyła 5 chorągwi, 12 dział, 50 jaszczków z amunicją, 4 apteki polowe i z górą 6.000 sztuk broni. Jeszcze jedno wysilenie, jeszcze jeden śmiały krok naprzód, a korpus Rosena byłby zniesiony doszczętnie.

Tymczasem Skrzynecki po jednym dniu pościgu postanowił się zatrzymać i zawiesić działania wojenne.

Dla czego?

Oto obawiał się jakiego niepowodzenia, a wierzył w interwencję mocarstw i ta nieszczęsna dyplomacja miecz wytrącała mu z ręki. Miast iść na nieprzyjaciół, stanął pod Kałuszynem i orzekł, że zamiast atakować wybiera system walki odpornej. Na Dybicz

postanowił czekać, tymczasem Dybicz w strachu wielkim o Rosena i swoje komunikacje ani myślał o tym, by spełnić życzenie Skrzyneckiego.

Ale Prądyński nie zasypiał sprawy i nieustannie namawiał wodza do nowej akcji przeciw Rosenowi, który, wzmocniony nowymi siłami, zasłaniał Siedlce, ważny punkt dla Rosjan; mieli bowiem w tym mieście swoje magazyny z żywnością, parki artylerji, szpitale, wszelkiego rodzaju sprzęty i zapasy wojenne. Otóż Prądyński proponował rozdzielić armję polską na części, z trzech stron Rosena obejść, raz jeszcze go rozgromić, opanować Siedlce, a później posunąć się ku Brześciowi, odciąć Dybicza, który podówczas znajdował się pod Łukowem, od komunikacji z północą i w ten sposób zmusić armję rosyjską do odwrotu za Bug.

Skrzynecki zwlekał, ale korzyści, przedstawiane przez Prądyńskiego, były tak widoczne, że ostatecznie zdecydował się na nowy ruch zaczepny. Stało na tym, że Prądyński z kolumną, złożoną z 7.000 ludzi, obejdzie z prawej strony Rosena, stojącego pomiędzy Boimiem a Iganiami, nalewo z dywizją jazdy zajdzie mu drogę Łubieński, a sam wódz naczelny z głównymi siłami zaatakuje Rosjan od frontu.

Stosownie do tego planu rozdzielono armję polską, umówiono się ściśle co do dnia i godziny, o której Rosen ma być zaatakowany — i Prądyński, mając najdłuższą drogę i najtrudniejsze zadanie, pierwszy ruszył w pochód. Dnia 10 kwietnia stanął przed Iganiami, rozłożył swe wojska w zaroślach, a sam objechał pozycje nieprzyjacielskie. Siły rosyj-

skie składały się z 16.000 żołnierza i 28 dział, ustawionych na wzgórzach w ten sposób, że wszelki atak od strony, którą przybył Prądyński, czyniły bardzo niebezpiecznym. Ucieszył się na ten widok Prądyński, bo główny atak miał prowadzić Skrzynecki, a ustawienie dział i rozłożenie wojsk rosyjskich świadczyło, że Rosen ani przeczuwa, skąd mu grozi główne niebezpieczeństwo.

Ale nadaremnie Prądyński i jego żołnierze wyciągają wzrok w stronę, od której miał nadciągnąć Skrzynecki. Żadnego poruszenia, żadnego znaku nie widać, któryby się pozwalał spodziewać rychłego nadejścia głównych sił polskich.

Tymczasem Rosen rozpoczął ogień armatni — i bitwa się zaczęła.

Prądyński część wojska pozostawił w drodze dla osłaniania swoich tyłów i skrzydeł; cała jego siła wynosiła teraz 6.000 ludzi i 10 armat pod dowództwem Bema. Trzy razy tyle nieprzyjaciół na dogodnych pozycjach miał przed sobą, ale animuszu nie stracił i, wierząc, że Skrzynecki za chwilę nadciągnie — bitwę przyjął.

W odpowiedzi na strzały armatnie nieprzyjaciół rozkazał 8 pułkowi piechoty uderzyć na Iganie, a Bemowi zbliżyć się z artylerją i ogień działowy rozpocząć. Bem ochoczo ruszył naprzód i celnymi strzałami jął osypywać kolumny rosyjskie, a pułk 8 ze śpiewem wtargnął do Igań, bagnetem natarł na grenadjerów i, zabrawszy dwa działa, usadowił się we wsi. Wówczas generał Rosen na pomoc grenadjerom posyła 13 i 14 pułk strzelców i rozkazuje im wieś odebrać. Strzelcy owi, wsławieni w ostatniej wojnie

tureckiej atakiem pod Warną, a stąd lwami warneńskimi zwani, w ścieśnionych kolumnach zaatakowali pułk 8 i po krwawej walce wyparli go ze wsi, objętej już pożarem.

Jednocześnie zaś jazda nieprzyjacielska zaczęła okrążać pozycje wojsk polskich, a „lwy warneńskie“ wciąż posuwały się naprzód, pchając przed sobą słabszą liczebnie piechotę.

Chwila była krytyczna.

Przemagające siły Rosjan brały już górę, a Skrzynecki nie przybywał. Szala zwycięstwa stanowczo przechylała się na stronę Rosena — i widmo klęski zajrzało w oczy Prądyńskiego. Ale na myśl o klęsce nowy duch wstąpił w jego serce i przez głowę niby błyskawica przemknął świetny pomysł. Widząc lewe skrzydło rosyjskie wysunięte naprzód i w pochodzie swoim za 8 pułkiem odcięte od reszty armji, a zarazem od grobli, przez którą szła droga ku Siedlcom, Prądyński sformował trzy pozostałe mu pułki piechoty i, stanawszy na ich czele, postanowił zaatakować prawe skrzydło Rosjan, roznieść je na bagnietach, a potem rzucić się ku grobli, opanować ją i przeciąć odwrót wojskom, co w walce z 8 pułkiem posunęły się zadaleko.

Jeździe polskiej kazał odpierać konnicę rosyjską, poczym sformował kolumny do ataku.

Dał rozkaz, zawarczały bębny — i trzy pułki jak jeden mąż posuwały się naprzód.

Słońce właśnie chyliło się ku zachodowi i ostatnimi promieniami oświetliło atakujące kolumny. Purpurą słoneczną niby krwią zalane błysnęły bagnety Polaków, z piersi ich wyrwała się pieśń legionów

i niby łoskot gromu zahuczała w powietrzu. Ruszyli naprzód. Rażą ich strzały armatnie, zastępują im drogę gromady nieprzyjaciół, ale nic mężnych wstrzymać nie może. Bagnetem, kolbą, pięścią robią sobie drogę, wyrzucają nieprzyjaciół ze wsi i jak rozjuszony lwy dopadają grobli. Tu nowy bój się wszczyna, znowu bagnet i kolba jest w robocie, ale choć dzielnie bronią się Rosjanie, muszą wkońcu ustąpić — i grobla zostaje w rękach polskich.

Teraz zamieszanie wkrada się w szeregi rosyjskie, część wojsk, odcięta od sił głównych, składa broń, część topi się w rzeczce Muchawcu i błotach, reszta uchodzi w nieładzie. 3.000 niewolnika, kilka dział i dwa sztandary dostają się Polakom.

Świetne zwycięstwo odniósł nad przemagającymi siłami Prądyński, ale za mało miał wojsk, aby się pokusić o Siedlce i marsz natychmiastowy rozpocząć. Z boleścią więc spoglądał na krwawe, choć zaszczytne dlań pobojuwisko, myśląc o tryumfie zupełnym, który tak blizki był urzeczywistnienia.

Zgasło słońce, mrok począł otulać zlaną krwią walecznych ziemię, gdy zjawiły się nareszcie kolumny głównych sił polskich, a tuż za nimi i naczelny wódz Skrzynecki.

Cóż się stało, że tak późno przybywał?

Oto miast maszerować, co tchu w piersiach starczy, naczelny wódz spał sobie najspokojniej i dopiero obudzony gromem dział, huczących na błoniach igańskich, rozkazał wojsku maszerować dalej.

Na drugi dzień zdobycie Siedlec okazało się już o wiele trudniejszym. Rozpoznanie uczynione przekonały, że przybyły tam znaczne posiłki i że wód

rosyjski ma się na baczości. Ale wojska polskie, upojone zwycięstwem, pałyły żądzą walk dalszych, żołnierz prosty drżał z niecierpliwości na myśl o nowych bojach i nowych zwycięstwach, bo w całej armji nikt już o nich nie wątpił... nikt, prócz naczelnego wodza...

Skrzynecki nie zważał na ów wielki zapal, ożywający całe wojsko polskie, ani na to, że liczebność jego zrównała się po odniesionych zwycięstwach z liczebnością podupadłej zupełnie armji rosyjskiej, ani na to, że siły polskie już się nie wzmogą, a na pomoc Dybiczowi ciągną wielkie posiłki. Skrzynecki stanął wpoprzek wszystkim pragnieniom armji, niby jakaś fatalna siła zawisł nad Polską i kiedy zbawienie jej leżało w dalszych krokach zaczepnych, on jeden w całym narodzie, mający w tej chwili władzę i moc rozkazywania, — nakazał ruchy odwrotne.

Zwycięstwa pod Wawrem, Wielkim Dembem i Iganiami szeroko rozsławiły imię naczelnego wodza, z uznaniem powtarzano je na obu półkulach, a w całym kraju wymawiano je z głęboką i serdeczną wdzięcznością, z najwyższym szacunkiem i czcią.

Nikt jeszcze nie wiedział, co za serce biło w piersiach naczelnego wodza, w tych piersiach, które Rząd Narodowy w uznaniu za wielkie usługi, oddane ojczyźnie, ozdobił po bitwie pod Wielkim Dembem najwyższą nagrodą: krzyżem komandorskim.

Skrzynecki, syt zaszczytów i sławy, nakazawszy ruchy odwrotne, powrócił do Warszawy.

O ironjo! stolica przywitała go, jak największego bohatera wszystkich czasów Polski...

VII.

DZIAŁALNOŚĆ RZĄDU I SEJMU.

Zwycięstwa, odniesione przez Polaków, zbudziły czujność gabinetów europejskich — i powstanie, skazane przez wszystkie rządy na rychłą zagładę, przegradzało się w kwestję aktualną, stawało się zjawiskiem, na które cała Europa patrzyła z najwyższą ciekawością. Ale sprawa polska dotyczyła trzech mocarstw zaborczych, w których interesie nie leżało bynajmniej ostateczne zwycięstwo Polaków. Nie wierzono jednak w takie zwycięstwo, a dla niepewnej sprawy nikt nie myślał narażać się Rosji.

Rząd Narodowy już w początkach powstania szukał u mocarstw pomocy, lecz wszędzie spotkał się z odmową. Obecnie postanowił wznowić akcję dyplomatyczną, w nadziei, że odniesione zwycięstwa wpłyną na usposobienie rządów.

Rząd austriacki, rywalizujący z Rosją, patrzył z zadowoleniem na jej kłopoty i gotów był przyklaskiwać powstaniu, z tym wszakże warunkiem, iż stanie się ono potężnym. Księżę Czartoryski już kilka miesięcy przedtem nawiązał rokowania z kanclerzem austriackim, księciem Metternichem, i przez brata swego Konstantego, który mieszkał podówczas w Wied-

niu, proponował wzamian za pomoc zbrojną koronę polską jednemu z arcyksiążąt austriackich. Wprawdzie ta korona była gruszką na wierzbie — i Metternich ani myślał kruszyć o nią kopji i narażać sobie przed czasem potężnego sąsiada. Więc czekał na dalszy rozwój wypadków i z posłami polskimi nie krępował się wcale. Po detronizacji, w której widział krok republikański, nie chciał z nimi mówić, po odniesionych zwycięstwach oświadczył za pośrednictwem życzliwego dla Polaków gubernatora Galicji, ks. Lobkowitza, że interwencja zbrojna Austrii zależna jest od stanowiska Francji i Anglii...

Chytry kanclerz nie chciał nic ryzykować.

Najwięcej sympatji powstanie miało we Francji. Wiadomość o wybuchu listopadowym przywitano w Paryżu okrzykami zapału. Lud paryski domagał się od rządu wysłania do Polski posiłków zbrojnych, a później wiadomości o zwycięstwach przyjął radosnym uniesieniem. Ale entuzjazmu mas ludowych nie podzielał bynajmniej rząd francuski. Misja polska w Paryżu, złożona z gien. Kniaziewicza i hr. Ludwika Platera, traktując z ministrami, starała się im wykazać, że powstanie wstrzymało Mikołaja od wtargnięcia ze swym wojskiem do Francji, że porażka Rosji zabezpiecza Francję od najazdu rosyjskiego w przyszłości, ale argumenty te najmniejszego nie odniosły skutku. Minister spraw wewnętrznych Sebastiani nie skąpił Polakom słów gorącego współczucia i sympatji, ale do niczego zobowiązywać się nie chciał. Przez gien. La Fayette'a, towarzysza broni Kościuszki, a gorącego przyjaciela Polaków, trafiła misja paryska i do Ludwika Filipa, ale król ten, wyniesiony niedawno

na tron francuski dzięki rewolucji lipcowej, całkowicie pochłonięty był myślą o utrwaleniu swojej dynastji, unikał więc wszystkiego, co mogłoby narazić go rządowi. Na nalegania Lafayette'a odpowiadał wykrętnie. Na odmowę zdobyć się nie mógł, bo sprawa polska była we Francji popularna, ale że się Rosji obawiał, więc uciekał się do niegodnych wybiegów.

W Anglii, która podówczas rywalizowała z Francją, a tymczasem przechylała się na stronę Rosji, akcję dyplomatyczną prowadził początkowo margrabia Wielopolski, a później hr. Walewski, żadnemu jednak nie udało się wymóc na rządzie angielskim nawet obietnicy jakiegokolwiek poparcia.

Rząd pruski odrazu względem powstania zajął wrogie stanowisko i wyraźnie dopomagał Rosji. Nic dziwnego. Tryumf Polaków musiałby się odbić i na skórze pruskiej. To też Prusacy mieli się na baczności i nad granicami Królestwa gromadzili wojska, by w razie potrzeby pchnąć je na pomoc Rosjanom.

Jedynie przywódcy stronnictw ludowych w Europie nie kłamali Polsce swych uczuć i w miarę sił starali się wpłynąć na zmianę polityki rządów. Ale nadaremnie. Przyczyną takiego stanu rzeczy było przekonanie gabinetów, że Rosja niebawem zwycięży. Jedynie jakieś wielkie zwycięstwo powstańców mogło zmienić usposobienie monarchów, jedynie siła mogła trafić im do przekonania. A dotychczasowe powodzenia były tylko epizodami w toczącej się wojnie, epizodami, które bynajmniej nie uniemożliwiały Rosjanom odwetu.

Gdy więc zawiodło współdziałanie rządów, — inna siła pozostawała do zdobycia, a tą siłą była opinja

mas ludowych, z którą już wówczas na zachód od Polski liczono się wszędzie. Nawet król pruski w rozmowie z księciem Antonim Radziwiłłem oświadczył, że powstanie polskie do tego stopnia wzbudza sympatje ludów, że ta sympatja może zmusić rządy do pośrednictwa, ale trzeba, by powstanie toczyło się dalej.

W takim stanie rzeczy można było ową sympatję podsyć i rozpać, w powstaniu polskim ukazać ludom drogie im ideały, słowem, uczynić powstanie rewolucyjnym, nietylko w sensie politycznym, ale i społecznym. Aby tego dokonać, wystarczyło rządowi powstańczemu proklamować wolność, równość i braterstwo, obwieścić głośno zniesienie pańszczyzny, nadać włościanom ziemię, z temi samemi hasłami wkroczyć na Ruś i Litwę. W ten sposób rząd powstańczy mógł nietylko pobudzić sympatję ludów, ale samemu powstaniu mógł przysporzyć ogromną siłę, stworzyć w Polsce tysiące nowych obywateli i na szerokich masach, jak na opoce z granitu, budować niepodległość.

Rozumieli to wybitniejsi ludzie i zaraz na początku powstania domagali się reform.

Wołało o nie Towarzystwo Patryjotyczne, dopominał się Lelewel, pragnęli ich dalej patrzący po słowie.

Ale na czele powstania stał Sejm i od niego zależało reformy wprowadzić w czyn.

Na wniosek Lelewela jeszcze przed zaczęciem wojny Sejm przeznaczył część dóbr narodowych, przedstawiających wartość 10 milionów złp., na wynagrodzenie żołnierzy, poszkodowanych w wojnie, a po bitwie grochowskiej poseł Olrych Szaniecki złożył wniosek, żądający nadania włościanom własności gruntowej

i zniesienia znienawidzonych przez ludność monopolów. Wniosek ten, odesłany do komisji, nie doczekał się dyskusji w Izbie poselskiej, ale sprawa włościańska coraz natarczywiej wysuwała się naprzód.

Szlachta, zasiadająca w Sejmie, z małemi wyjątkami przeciwna była reformom i tylko dalej patrzący posłowie toczyli o nie walkę.

Dnia 28 marca minister skarbu Alojzy Biernacki przedstawił Izbie połączonym projekt, przyznający drobnym rolnikom własność gruntową w dobrach narodowych. Projekt ten był za zniesieniem pańszczyzny i zamianą jej na czynsz, a zarazem zmierzał do podzielenia większych folwarków na drobne posiadłości.

— Rewolucję naszą — mówił minister Biernacki — uświetnijmy jeszcze prawem, które będzie źródłem szczęścia i godniejszego bytu najliczniejszej klasy narodu. Pokażmy światu, że Polak, sobie zostawiony, umie się skutecznie zajmować chwałą i rzeczywistym szczęściem narodu.

W dalszym ciągu dyskusji, która się nad przedstawionym projektem wyłoniła, najgoręcej przemawiali za reformami posłowie Deskur, Sołtyk i Szaniecki.

— Prawo nadania własności gruntowej włościanom — dowodził Deskur — uwieczni w oczach oświeconej Europy nasze zamiary w uzyskaniu narodowej niepodległości i przekona, że, wolni od przesądów przodków naszych, postanowieniem niniejszym dopełniamy od lat tylu przeznaczone włościanom nabycie gruntów na własność...

A Roman Sołtyk, malując usposobienie włościan, mówił:

— Widziałem ich miłość ojczyzny, kiedy ich kilka tysięcy uzbrojonych w kosy, bez żywności, po nocach prowadziłem. Żaden z nich nie wrócił do domu. Podnoszę więc głos mój za tą klasą narodu i zapewniam was, reprezentanci, że cokolwiek dla niej zrobimy, rzeczywiście przyczyni się do dobra ojczyzny...

Zaś poseł Szaniecki, przemawiając za nadaniem gruntu włościanom i wskazując konieczność zniesienia pańszczyzny, wołał:

— Uchwała ta postawi Polskę na stopniu odpowiednim cywilizacji europejskiej, na stopniu szczęścia i swobód prawdziwej wolności. Miljon rąk podniesiemy ku obronie tej ziemi, na której miljon wolnych utworzymy jej właścicieli. Miljonem niepodległych obywateli wzmocnimy reprezentację narodową, bo miljonowi niezawisłych obywateli nadajemy prawa polityczne. W tym leży dobro kraju, w tym leży honor narodu.

Jak widać z tych głosów, reformy społeczne miały w Sejmie gorących rzeczników, ale ogół sejmowy przekonać się nie dał.

Jak już wiadomo, podczas bitwy grochowskiej znaczna część posłów spakowała w popłochu swoje manatki i, przewidując zdobycie Warszawy, uciekła ze stolicy. Huk wystrzałów na błoniach grochowskich spłoszył ich, niby stado swarliwych wróbli. Ulecieli pod domowe strzechy i ślad wszelki po nich zaginął. Sejm musiał obradować w tak nielicznym gronie, iż żadna uchwała nie mogła się stać prawomocną. Na wniosek Wincentego Niemojowskiego postanowiono

zmniejszyć komplet zwyczajny do 33 członków. Lecz ostatnie zwycięstwa ośmieliły uciekinierów. Więc opuścili swoje folwarki i zaczęli zwolna ściągać do Warszawy. Ci ludzie o tchórzliwym sercu i zajęczej duszy, opuszczający swoje placówki wtedy, kiedy niebezpieczeństwo zaczynało grozić ojczyźnie, nabrali teraz ducha i gadaniem starali się zwichnąć zapoczątkowane dzieło. Oni to, powodowani egoizmem klasowym i samolubstwem, na wniosek posła Walichnowskiego zepchnęli sprawę reform z porządku dziennego, by następnie do obrad nad nią już nie dopuścić.

W ten sposób Sejm odepchnął najliczniejszą klasę narodu, zniechęcił ją do walki i własną ręką potężny cios zadał powstaniu.

Posel Szaniecki, chcąc ratować sytuację, założył Towarzystwo Przyjaciół Ludu, które miało szerzyć wśród włościan oświatę i ułatwić im nabywanie ziemi na własność, ale Towarzystwo to, pozbawione poparcia i środków, nie zdołało uratować pogrzebanej w Izbie posłów sprawy.

Gdy więc Sejm, ta najwyższa władza powstania, nie umiał powołać do obrony kraju nowych obywateli i postępowaniem swoim odrzucał środki ratunku, nic przeto nie pozostawało, jak walka temi siłami, które były pod ręką.

Ale Skrzynecki spoczywał na laurach.

Wódz naczelny przemienił się teraz w polityka, dyplomate, pisał na własną rękę memorjały i te posyłał za granicę, w przekonaniu, że głos jego niewątpliwie wysłuchany będzie. Wierzył on mocno w pomoc zbrojną Austrii i Francji, studjował pilnie ga-

zety zagraniczne i o rozpoczęciu nowej batalji ani chciał słyszeć.

Dotychczasowy przebieg walki wykazał, że każdy krok zaczepny kończył się tryumfem, — Skrzynecki mówił o systemie odpornym, bo system ten pozwalał mu trwać w bezczynności.

Nadaremnie Prądyński przedstawiał wodzowi świetnie obmyślany plan stoczenia wielkiej bitwy z główną armją rosyjską i mówił o pewności zwycięstwa.

Skrzynecki ani chciał słuchać i dopiero naleganie Rządu Narodowego skłoniło go do wyruszenia w pole. Nie śmiał jednak zaczepić Dybicza i wybrał plan inny, również opracowany przez Prądyńskiego, ale przedstawiający mniej szans powodzenia.

Była to wyprawa na gwardje cesarskie, stojące zdala od pola bitwy, a przeznaczone przez Mikołaja do tryumfального wejścia do Warszawy, oczywiście po jej zdobyciu.

Gwardje w sile 22.000 ludzi pod dowództwem W. Ks. Michała, biwakując w okolicach Łomży, stały podówczas pod Zambrowem na straży dwóch traktów prowadzących na Litwę. Główna armja zajmowała leże pod Siedlcami.

Otóż Prądyński, korzystając z odosobnienia gwardji, uplanował zaskoczyć je znienacka i rozbić prędkiej, nim Dybicz z główną siłą mógłby przyjść z pomocą. Plan ten liczne przedstawiał trudności, ale że Skrzynecki o niczym innym słyszeć nie chciał, przeto wyprawa na gwardje została zdecydowana.

Jednocześnie zaś z tą wyprawą postanowiono wy-

słać na Litwę oddział jazdy pod generałem Chłapowskim, by podtrzymać szerzące się tam powstanie.

Z izb poselskich i komnat rządowych los powstania przenosił się znów na pola bitew...

Ale Skrzynecki z najwyższą niechęcią wyruszał na tę wyprawę.

W stolicy zapanował niepokój.

VIII.

BITWA POD OSTROŁĘKĄ.

Dnia 12 maja wojska zostały uruchomione...

Generał Umiński z korpusem jedenastotysięcznym otrzymał rozkaz obserwowania głównej armji nieprzyjacielskiej. Miał on zastępować stolicę, a w razie marszu Dybicza ku gwardjom utrudniać mu pochód.

Skrzynecki wiodł ze sobą 27.000 żołnierzy, a przodem trzema różnemi drogami szli generałowie Giełgud, Łubieński i Dembiński. Przednią straż prowadził generał Jankowski. Oddział Jankowskiego spotkał w Długosiodle pułk finlandzki, należący do gwardji. Pułk ten bronił się mężnie i Długosiodło opuścił po krwawym oporze, uchodząc w zupełnym porządku pod zastoną nocy.

Ten opór niekorzystnie wpłynął na naczelnego wodza i odrazu zbudził w nim chwiejność. Zaczął się niepokoić o skutki wyprawy i lękać o wynik bitwy z gwardjami. Tysięczne wątpliwości, niby chmara ptaków, przesłaniały mu odtąd drogę i wódz zaczął rozmyślać, jakby się tu od niepewnej bitwy wykręcić.

Tymczasem W. Książę Michał, otrzymawszy niespodzianie wieść o marszu wojsk polskich, postanowił opuścić Zambrów i przejść natychmiast Bug, aby

połączyć się z Dybiczem. Ale wzdłuż Bugu ciągnął generał Łubieński, wobec czego W. Księciu nie pozostawało nic innego, jak pozostać w miejscu i przyjąć bitwę lub też oddalić się jeszcze bardziej od Dybicza i cofnąć się do Śniadowa. W. Książę wybrał to ostatnie, ale dalsze cofanie się zostało sparaliżowane nadejściem wojsk polskich.

Dnia 18-go obie armje stanęły oko w oko...

22.000 ludzi i 70 armat liczyły gwardje, Skrzynecki przywiódł ze sobą 27-tysięczną armję i dział 80.

Cel został osiągnięty: gwardje, zaskoczone liczniejszą i ożywioną zwycięstwami armją, musiały stawić czoło, bo droga odwrotna, zapchana niezliczoną ilością taborów, ruch wsteczny uniemożliwiała.

Należało korzystać co prędzej z tej sytuacji i bitwę rozpocząć natychmiast. Całe wojsko polskie rwało się do boju. Żołnierzom pilno było zmierzyć się z gwardją, która cieszyła się wielką sławą i uchodziła za najwaleczniejsze wojsko w armji rosyjskiej. Wiedzano, że w gwardji służą bogaci panicze, zniechęceni w wygodach i uciechach stolicy, przedrwiwano sobie z paradnych mundurów i szeptano sobie na ucho, że to najlepsze wojsko jest takim tylko na paradzie. Więc na widok unieruchomionych gwardji całą armję ogarnął zapał. Żołnierz, w przekonaniu, iż do bitwy niezwłocznie dojść musi, troskliwie opatrywał broń, mierzył okiem nieprzyjaciela i, czekając sygnału, stawał w pogotowiu bojowym. Ale czas płynął, mijała godzina za godziną, a wódz naczelny trwał w bezczynności. Więc cała armja zaczynała niecierpliwić się i szemrać.

Tymczasem Skrzynecki już poprzedniego dnia wie-

czorem, gdy wiadomym było, że gwardje się nie wymkną, wiódł żywy spór z Prądyńskim. Mówił on Prądyńskiemu, że w bitwę wdawać się nie może, dopóki nie otrzyma wiadomości od gien. Umińskiego o Dybiczu, który mógł przejść Bug i maszerować ku Warszawie lub też śpieszyć na pomoc W. Księciu Michałowi. W odpowiedzi na to Prądyński zrobił uwagę, że jeżeli Dybicz śpieszy gwardjom na pomoc, to tymbardziej z wydaniem bitwy zwlekać nie można, bo lepiej przecie skończyć z jednym nieprzyjacielem, a później zmierzyć się z drugim, niż odrazu walczyć na dwa fronty. Tymbardziej zaś nie należy tracić czasu, jeśli stolica jest zagrożona.

Nie potrzeba znać się na wojnie, aby słuszność tych uwag ocenić.

Ale Skrzynecki był uparty i ani myślał usłuchać wymowy argumentów. Nie mając na nie odpowiedzi, zaczął się nowych doszukiwać trudności. A więc mówił, że czeka na wiadomość, czy generał Łubieński mosty na Bugu poznosił i Nur opanował, to znowu zaniepokoił się o most na Narwi pod Ostrołęką i, osłabiając swe siły, pchnął do Ostrołęki dywizję Giełguda, rozkazując mu zająć most, a następnie ścigać gien. Sackena, który, opuściwszy to miasto, szybko uchodził ze swoim korpusem.

Na drugi dzień, t. j. 18 maja, gdy oba wojska stały naprzeciw siebie, przybył adjutant gien. Umińskiego z wiadomością, że Dybicz, nieświadomy celów wyprawy, stoi pod Siedlcami. Jednocześnie i gien. Łubieński przysłał zawiadomienie, że mosty na Bugu poznoszone i Nur opanowany.

Prądyński, ucieszony szczęśliwym zbiegiem oko-

liczności, natychmiast zasiadł do pisania rozkazów na dzień następny, do dnia bowiem bitwę projektował zacząć, a przygotowawszy rozkazy, zawiózł je do kwatery naczelnego wodza, stojącego w Troczynie, oddalonym o dwie mile od armji.

Skrzynecki zwlekał z podpisaniem rozkazów.

— Niema nic pilnego, do jutra odłożyć można, — zdecydował wreszcie i pogrążył się w czytaniu gazety francuskiej, którą właśnie studiował.

Prądyński osłupiał.

— Wojsko jutro wypoczywać będzie, — sucho dorzucił Skrzynecki.

Prądyński począł nalegać, a gdy to nie pomogło, uciekł się do próśb i zaklinań na wszystkie świętości. Ale nadaremnie ze łzami w oczach błagał Skrzyneckiego, by korzystał ze szczęśliwego położenia i nie wyrzekał się pewnego tryumfu, nadaremnie raz jeszcze powtarzał wszystkie swoje argumenty. Skrzynecki był nieporuszony jak skała i gdy Prądyński głos podniósł, wołając, że innych rozkazów na dzień następny nie wyda, Skrzynecki rozkazał mu grubjańsko zamilknąć. Prądyński wybuchnął, wypalił wodzowi kilka słów prawdy, rzekł się pełnienia dalszych obowiązków kwatermistrza armji, poczym trzasnął drzwiami i opuścił kwaterę. Tegoż dnia porzucił armję i wyjechał do Łomży.

A W. Ks. Michał skorzystał tymczasem z bezczynności Skrzyneckiego, uprzątnął drogę i dn. 19 maja w oczach wojsk polskich rozpoczął odwrót. Nikt mu nie przeszkadzał. Armja polska, instynktem wiedziona, posunęła się za gwardjami, ale choć żołnierze w najwyższym stopniu byli oburzeni, choć rwali się do

boju, musieli patrzeć beczynn timer, jak nieprzyjacieli uchodził i pozbawiał ich zwycięstwa.

Skrzynecki na wiadomość o odwrocie gwardji opuścił Troczyn i ruszył do Śniadowa, ale tam już wojsk polskich nie zastał. Żołnierze szydzili później:

— Wódz zgubił armję i szukać jej musiał...

Nareszcie Skrzynecki dopędził swą armję i teraz dopiero zarządził energiczną pogoń. Jakże zmieniło się położenie! Z powodu odkomenderowania Giełguda tylko 17.000 wojska miał ze sobą Skrzynecki i, choć w przeddzień z większą siłą bał się o los bitwy, teraz, gdy istotnie wynik jej stawał się bardzo niepewnym, — wódz naczelny zapalał żądzą boju. Ale już było za późno. Gwardje uchodziły bezpiecznie i tylko tylną straż dogonili Polacy. Pod Rudkami doszło do krwawej utarczki — i pogoń odbywała się dalej. Ale gwardje maszerowały tak szybko, że niebawem przysła wszelka nadzieja stoczenia z niemi bitwy. Skrzynecki zapędził się aż do Tykocina i, wymęczywszy wojska uciążliwym marszem, rozpoczął odwrót. Czas był najwyższy, bo Dybicz teraz posuwał się naprzód i zagroził rozproszonej armji polskiej.

Podjęte w tym czasie działania wojenne Giełguda i Umińskiego również nie dały pomyślnych wyników i cała wyprawa poszła na marne.

Dnia 25 maja Skrzynecki stanął w Ostrołęce, tutaj spotkał się z Prądzyńskim, który nie mógł utaić swego żalu, ale zgodził się zostać przy armji i wybrać jej leże. Uspokojony tym wódz naczelny opuścił wojsko i, stanąwszy kwaterą w Krukach, zaczął się do dłuższego szykować spoczynku. O Dybiczu nie myślał, wystawiał sobie bowiem, że rzeka Narew, płynąca

pod Ostrołęką, zabezpiecza go od nieprzyjaciela. Po prawej stronie rzeki rozlokowane zostało wojsko polskie, a o most pod Ostrołęką wódz był spokojny, gdyż lewą stronę Narwi, skąd można się było wojsk rosyjskich spodziewać, zasłaniał gien. Łubieński.

Tymczasem Łubieński, mając przed sobą wszystkie siły Dybicza, cofał się do Ostrołęki, d. 26 maja przeszedł przez miasto i skierował się ku głównej armji polskiej, wtedy właśnie, gdy Skrzynecki urządzał się do dłuższego odpoczynku w Krukach.

W Ostrołęce dla wstrzymywania pochodu wojsk rosyjskich pozostał jedynie generał Bogusławski z czwartym pułkiem piechoty, pułkiem weteranów i jednym bataljonem 8-go pułku.

Dybicz, zbliżywszy się do Ostrołęki, rozkazał bombardować miasto, a potem pchnął do szturm piechotę. Ruszyła najpierw dywizja Nabokowa, generał Gorczakow poprowadził dwa pułki karabinierów, a generał Martynow wiodł pułk grenadierów oraz pułki astrachański i suworowski. Dwie dywizje stanęły w odwodzie.

Bogusławski, widząc, że się długo nie utrzyma, odesłał za Narew swe działa — i tylko bagnetem postanowił się bronić. Odparszy mężnie pierwsze natarcie, odesłał za rzekę i weteranów wraz z bataljonem 8 pułku i jedynie z czwartakami postanawia potykać się dalej. Najężsi to w armji żołnierze, więc śmiało patrzą śmierci w oczy i z nieustraszonym męstwem przyjmują ataki olbrzymiej masy rosyjskiej. Zalewają ich fale nieprzyjaciół, rażą ogniem, kłują bagnietami, jeden przeciw pięciu walczyć musi, ale męstwo robi swoje — i Rosjanie nie mogą rozerwać

garstki walecznych. Lecz oto od nieprzyjacielskich granatów zapalają się budowle. Z trzaskiem walą się dachy, snopy iskier ulatują w niebo, tumany dymu i ognia zapełniają ulice i tym straszniejszym czynią bój morderczy. Jednocześnie masy nieprzyjaciół z trzech stron okrążają miasto, dostają się do mostu i wiodą bitwę z uchodzącymi weteranami.

Wówczas Bogusławski nakazuje odwrót...

Przez kurzawę dymu i płomieni cofają się czwarty, zatrzymują się na załomach ulic, prażą atakujące kolumny celnymi strzałami, odpierają bagnetem i, budząc podziw nieprzyjaciela, cofają się ku mostowi. Ale nieprzyjaciół otacza ich zewsząd, ścisną ich pierścieniem ognia i żelaza i pierścień ten zacieśnia coraz bardziej. Bagnetem i pięścią trzeba sobie torować drogę, — bagnety i pięści puszczają w ruch czwarty i po drodze, uślanej trupami, dostają się na most. Garstka ich pozostała, ale była to garstka rozjuszonych lwów. Więc na moście nowa rozpoczyna się walka, jeszcze krwawsza i jeszcze zażartsza, żołnierze chwytają się za bary, spychają się w rzekę, aż Narew zapełnia się skłębionymi ciałami, a woda od krwi ludzkiej staje się różową. Nareszcie Bogusławski, acz sam raniony, przerzyna się ze szczątkami pułku przez most i łączy się z wojskiem, śpieszącym mu na ratunek. To gien. Pac, widząc, co się dzieje, zgromadził trochę piechoty i przyszedł w odsiecz Bogusławskiemu.

Tymczasem wódz naczelny zażywał spoczynku w Krukach i, nie wierząc w nadejście Dybicza, niewiele sobie robił z dochodzących go odgłosów walki. Wreszcie zdecydował się zobaczyć, co to za bitwa się toczy, i w otoczeniu adjutantów wyjechał na wzgórze,

skąd jak na dłoni widać było miasto. Ujrzawszy liczne wojska, Ostrołękę w płomieniach, most zdobyty, a z obu stron rzeki nieprzyjaciół, obudził się nagle z odrętwienia.

Wojsko również jak wódz zażywało spoczynku, w całej armii nikt nie był przygotowany do bitwy.

Lecz oto na wszystkie strony rozbiegają się adjutanci naczelnego wodza i rozwożą rozkazy. Zagrały trąbki alarmowe, zawarczały bębny — i wojsko, zerwane na równe nogi, zaczęło się formować pośpiesznie.

A Skrzynecki, widząc walkę, toczącą się już na grobli ze stratą Polaków, powziął myśl natychmiastowego odebrania mostu.

— Jedź mi po kawalerję, — krzyknął adjutantowi Kruszeowskiemu.

Kruszewski spina ostrogami konia i pędzi wypełnić rozkaz. Po drodze spotyka Prądyńskiego i woła doń, że Rosjanie most zdobyli i w wielkiej masie idą na drugi brzeg rzeki.

— To dobrze, — odpowiada wesoło Prądyński, — niech ich przejdzie jak najwięcej, wszystkich potopimy w Narwi.

Istotnie nie należało przebyciu rzeki przeszkadzać. Polacy sami w ten sposób mogli wybrać pole bitwy, a nawet, pozostając na miejscu, zyskiwali dobre pozycje i dogodniejszy teren dla ataków kawalerji, która ze względu na bagnisty brzeg rzeki i wąską groblę nie miała pola do działania, jeśliby walka toczyła się nad rzeką. W dodatku zdobywanie mostu liczne przedstawiało niebezpieczeństwa, a to ze względu na trudny przystęp i górujące pozycje Rosjan z drugiej strony

rzeki, skąd artylerja mogła razić ogniem działowym atakujące kolumny i ogniem tym straszne czynić spustoszenia.

Dostrzegł to wszystko Prądyński, ale wódz naczelny zdecydował inaczej.

Jakaś egzaltacja wojenna ogarnęła Skrzyneckiego i rozżarzyła w nim przebudzoną nagle energję. Most za wszelką cenę postanowił odebrać, a na widok nieprzyjaciół, przechodzących wielką masą rzekę, trząsł się z niecierpliwości i w gorączkowym zapamiętaniu wołał:

— Piechota, jazda, artylerja, wszystko naprzód, wszystko w ogień!...

Na wzgórzu, skąd wódz na bitwę patrzył, stała baterja Turskiego i celnymi strzałami okrutnie raziła nieprzyjaciół. Pozycja była doskonała, ale Skrzynecki, niecierpliwiąc się coraz bardziej, rozkazał Turskiemu podjechać bliżej, a gdy ten uczynił uwagę, że miejsce, na którym stoi, wybrane jest doskonale, Skrzynecki oburzony zawołał:

— Pan masz słuchać, a nie uczyć.

Turski usłuchał, przybliżył się do nieprzyjaciela, a po chwili stracił połowę ludzi i koni.

Tymczasem Skrzynecki, nie mogąc doczekać się spełnienia rozkazów, a drżąc z niecierpliwości, sam popędził ku brygadzie Węgierskiego i choć brygada była za słaba, by atak rozpoczynać, sprawił ją w szyk bojowy i osobiście ruszył z nią naprzód. Dał znak. Huknęła salwa karabinowa, poczym brygada posunęła się krokiem szturmowym i, najeżywszy bagnety, dopadła nieprzyjaciół.

— Dierżyć, rebiata! — wołają oficerowie rosyjscy...



L. E. en chef Koryunsky

Lecz impet atakujących przemaga — i Rosjanie nnie dotrzymują placu. Most został zdobyty. Ale nie nna długo, bo Rosjanie nowe siły wprowadzają do bbitwy, a Polakom nikt nie śpieszy z pomocą. Wtedy ddopiero spostrzega się Skrzynecki i posyła adjutant-tów po dywizję gien. Rybińskiego. Nadciąga nowa ddywizja i w największym porządku zbliża się ku nmostowi, a piękna brygada gien. Langermana idzie nna przedzie.

Tymczasem po drugiej stronie rzeki gienerałowie TToll, Neuhardt, Suchozanet spokojnie ustawiają liczną aartylerję, sami kierują ogniem i gradem kartaczy oobsypują nadciągające posiłki. Szeregi rzedną, więc ILangerman wstrzymuje brygadę i salwami karabinnowemi odpowiada na morderczą kanonadę armat. VWtym podbiega rozpłomieniony Skrzynecki i, nie do-bbywając szpady, czapką zerwaną z głowy wskazuje bbrygadzie most...

— Na bagnety! Naprzód! — woła i sam staje na czele.

Dywizja, posłuszna wezwaniu, pochyla bagnety i i jak jeden mąż rusza do ataku. Za brygadą Langermana podąża brygada Muchowskiego. Nagle Rosjanie, bbroniący mostu, zwijają kolumny, cofają się za rzekę, pprzypadają na ziemię, kryją się w rowach — i od-sśłaniają artylerji swej czyste pole, na którym niby rruchoma ściana posuwa się szturmowym krokiem ddywizja. Ryknęły wszystkie armaty rosyjskie i jak ddo celu sypnęły w tę ścianę ulewą ognia i ołowiu. ZZachwiały się szeregi, setki trupów i ranionych legły, nnie doszedszy mostu.

Ale Skrzynecki nie zważa na to, lecz postępuje ddalej i woła nieustannie:

— Naprzód! Naprzód!...

Garstka podążyła za nim, więc ogląda się za siebie, a dostrzegszy idącego za nim gien. Langermana, pyta w uniesieniu:

— Gienerale! coś zrobił ze swoją brygadą?

Langerman szpadą ukazuje niebo:

— Tam uleciała!...

Istotnie niemal pół brygady legło na placu, reszta rozpierzchnęła się lub, szukając zasłony od straszego ognia, ukryła się w zaroślach. Garść najmężniejszych pozostała i tę w otchłań śmierci wiedzie Skrzynecki; a jakby mu niedość było tylu ofiar, rozkazuje wystąpić do boju konnicy. Wzmaga się bój zażarty, znowu krew strumieniami się leje i walka bezpardonowa toczy się dalej. Sześć szarż przypuszcza gien. Kicki z trzema pułkami ułanów, ale ułani grzęzną w bagnach — i wszelkie ich wysiłki idą na marne. Wreszcie Kicki pada, śmiertelnie rażony kulą — i ułani wycofują się z ognia. Ale piechota walczy nieustannie. Wściekł się Skrzynecki. Bataljon za bataljonem, pułk za pułkiem rzuca w krwawą topiel i, sam pierś wystawiwszy na kule, wciąż woła do żołnierzy:

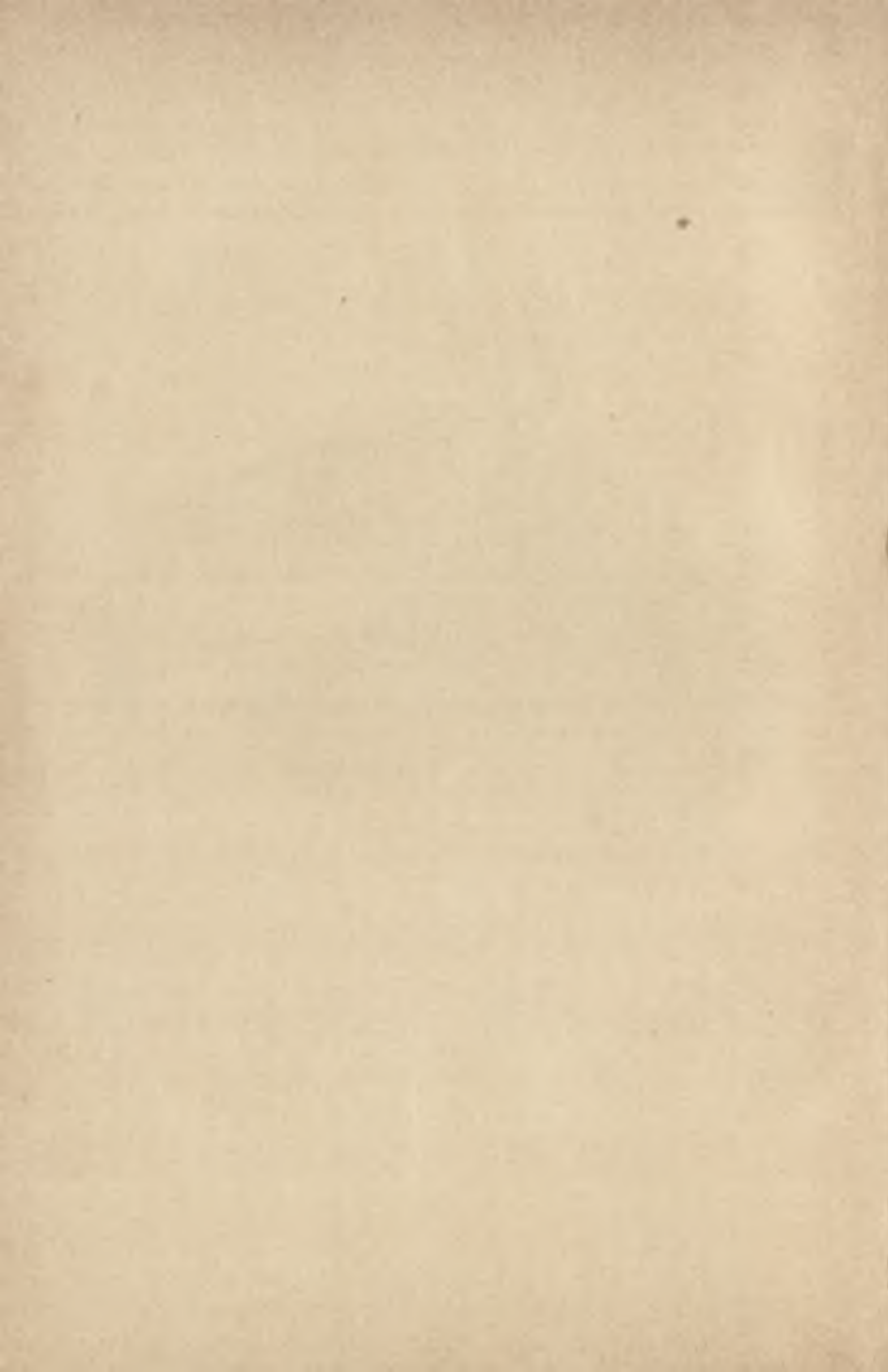
— Tutaj nam zwyciężyć lub zginąć potrzeba. Naprzód!

— Naprzód! — powtarzają oficerowie.

I żołnierz idzie do szturmu bez zmruczenia oczu, a na grobli i przed groblą tworzą się zwały trupów. Dywizję Kamieńskiego rozkazuje przywołać Skrzynecki i z rozpaczą rzuca się z nią na obrońców mostu. Artylerja rosyjska milknie, by nie razić swoich, i tylko okropne jęki rozdzierają niebo. Dwa wojska niby dwie burze mieszały się i zwały ze sobą. Wreszcie



Joseph Dwernicki



szaloma walka na bagnety odnosi skutek: pierzchają Rosjanie i zamieszanie wkłada się w ich szeregi. Jeszcze jedno wysilenie, jeszcze jeden atak nowemi siłami, a Polacy mogą pokusić się o zwycięstwo. Ale wysilenie to jest już niemożliwe, bo Skrzynecki wojsk więcej nie ma, a Rosjanie wprowadzają na plac bitwy swoje rezerwy — i walka z nową wzmaga się energją. Ginie generał Kamieński, pada ciężko raniony i dostaje się do niewoli mężny gen. Krasicki, rany odnoszą generałowie Małachowski, Pac, Rybiński, trzy czwarte oficerów ranionych lub zabitych zostaje na placu, jeden Skrzynecki, acz i jego mundur poszarpały kule, widoczny jest niby sztandar, skupiający szeregi, a zarazem wskazujący miejsce, gdzie śmierć znaleźć najłatwiej. Ale nadaremne są wszelkie wysiłki maczelnego wodza. Rosjanie wypierają piechotę polską i znowu stają się panami mostu. Czynią więc odwrót resztki wojsk polskich i, cofając się pod gradem kul, tworzą nową linię obronną.

Dzień się kończył, — i oba wojska znużone stały naprzeciw siebie, zaprzestawszy walki.

Milkły strzały, mrok gęstniał i bitwa miała się ku końcowi.

Nagle na moście zjawia się Dybicz wraz ze swoim sztabem, a orszak ten poprzedza licznie zgromadzona jazda. Na ten widok Skrzynecki przywołuje pułkownika Bema, rozkazuje mu zbliżyć się do mostu z artylerją i przejście uczynić niepodobnym. Bem puszcza się naprzód galopem, podjeżdża do nieprzyjaciela na strzał karabinowy, w mgnieniu oka ustawia dwanaście dział swoich i morderczy rozpoczyna ogień. Wszystkie baterje rosyjskie odpowiadają Bemowi —

i przeciągły łoskot wystrzałów niby grom za gromem wstrząsa powietrzem. Ziemia drży od ulewającego się na nią żelaza, a że Rosjanie obok pocisków armatnich rzucają race i płonące kule, więc morze krwawego ognia oświeśla horyzont i spływa na straszne pobojuwisko, zasłane tysiącami trupów.

Bem traci połowę ludzi i koni, ale swym zuchwałym krokiem wstrzymuje zapęd Dybicza...

Kanonada okropna trwa jeszcze czas jakiś i nagle strzały armatnie jakby na umówiony sygnał z obu stron naraz cichną.

Przerażająca cisza śmierci zaległa plac boju...

Wówczas Skrzynecki zwołał radę wojenną. Zeszli się dowódcy dywizji i brygad, wszyscy okryci kurzem, zbryzgani krwią, upadający od trudów i znużenia. Rada odbywała się w polu, przy blasku kagańca, wśród jęków tysięcznych ofiar, przy odgłosie rżenia konających. Wszystkie oblicza były posępne, jako ta noc, co otaczała radzących. Jeden Skrzynecki płonął jeszcze ogniem, który ogarniał go na placu bitwy, ale był to już ostatni błysk zbudzonej energii i męstwa. Chciał on zatrzymać się na miejscu i w pozycji odpornej czekać na przybycie odkomenderowanej w swoim czasie 11-tysięcznej dywizji Giełguda. Jakoż istotnie nic lepszego nie było do zrobienia, bo odwrót z wojskiem znużonym i zdezorganizowanym łatwo mógł się w ostateczną zamienić klęskę. Ale gdy zgromadzeni na radzie generałowie orzekli, iż dalsza walka jest niemożliwa, — w Skrzyneckim zgąsła ostatnia iskra energii. W jednej chwili zdecydował się na odwrót. Należało jednak postanowić coś względem Giełguda, który tegoż dnia otrzymał

był rozkaz złączenia się z główną armją, a którego odwrótem narażano na zgubę. Wówczas generał Dembiński zaproponował, aby dywizję Giełguda rzucić na Litwę i powstaniu, które tam wybuchło, nadać poważniejszy charakter. A że dotarcie do Giełguda było przedsięwzięciem niebezpiecznym, więc Dembiński sam podjął się zawiezienia odpowiednich rozkazów.

Mysł Dembińskiego jednoznacznie przyjęto.

Skirzyński przy świetle księżyca nakreślił kilka słów dla Giełguda, poczem dowództwo nad armją powierzył generałowi Łubieńskiemu, a sam wsiadł do powozu i odjechał do Warszawy.

Na drugi dzień armja polska, zmniejszona krwawą bitwą o 9.000 żołnierza, rozpoczęła ruch wsteczny ku Warszawie.

Dybicz, osłabiony stratami, które prawie dorównywały stratom armji polskiej, stał jak wryty pod Ostrołęką i, pomny na straszne ataki Polaków w dniu ubiegłym, nie śmiał ścigać uchodzącej armji...

IX.

WYPRAWY NA RUŚ I LITWĘ.

Gdy tak na terenie Królestwa z przemiennym szczęściem toczyła się walka, Ruś i Litwa czekały tylko sygnału, aby połączyć się z powstaniem...

Organizacja miejscowych oddziałów partyzanckich nie mogła się w krajach tych rozwinąć, bo władze rosyjskie bacznie zwracały uwagę na wszelkie poruszenia. W dodatku obywatele Litwy i Rusi wstrzymywani byli przez niepewność. Kilka miesięcy upłynęło od pamiętnej nocy listopadowej, a wojska polskie nie przychodziły z pomocą.

Czas uciekał, nie przynosząc poważniejszych wypadków.

Wreszcie na wniosek Prądyńskiego Rząd Narodowy zdecydował się wysłać na Ruś oddział wojsk polskich pod zdolnym i wytrawnym dowódcą, któryby w imieniu rządu polskiego zawezwał ludność do broni i na szerszą skalę zorganizował powstanie.

Wybór padł na Dwernickiego.

Tem dzielny generał po zwycięstwie pod Stoczkiem otrzymał rozkaz działania przeciw korpusowi rosyjskiemu pod dowództwem Kreutza. Korpus ten dnia 8-go lutego zajął Lublin, stamtąd pociągnął do Puław, przeszedł Wisłę po lodzie, a następnie ruszył w województwo sandomierskie. Dwernicki napadł na Kreutza pod Nową Wsią, zabrał mu trzy działa i paręset niewolnika. Ale ze zwycięstwa korzystać nie mógł, bo podobnie jak po bitwie pod Stoczkiem znów został odwołany. Powodem tego odwołania był mylny raport, przysłany do Warszawy generałowi Klickiemu. Dwernicki spostrzegł się wprawdzie, ale było już po niewczasie, bo Kreutz, korzystając ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, uchodził.

Dwernicki rozpoczął pogoń. Przechodząc przez Puławy, siedzibę książąt Czartoryskich, wypłoszył stamtąd wojska rosyjskie, pod Kurowem poszarpał znaczny oddział generała Kawera, wziął do niewoli kilkudziesięciu żołnierzy, zdobył znów cztery armaty i, opromieniony blaskiem nowych zwycięstw, wkroczył tryumfalnie do Lublina. Wypędziwszy stamtąd władze rosyjskie, pociągnął do Zamościa. Odwilż i niewyjaśnione poruszenia wojsk nieprzyjacielskich wstrzymały na pewien czas pochód zwycięskiego generała.

Korpus Dwernickiego, składający się z 6.000 ludzi, ożywiony był duchem jak najlepszym. W korpusie tym znajdowało się sporo członków Towarzystwa Patryjotycznego i rewolucyjnej młodzieży, sam zaś dowódca, z przekonań demokrata i przyjaciel ludu, umiał swe wojsko natchnąć braterską harmonją i ufnością. Temperament Dwernickiego odpowiadał duchowi powstania, a wesołe i pogodne usposobienie

jednało mu serca. To też żołnierze lubili swego generała, szli za nim w ogień z zapalem, walczyli po bohaterku. Taki wódz i tacy żołnierze wiele mogli dokonać.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Dnia 11 kwietnia Dwernicki przeszedł Bug i ruszył w dalszą drogę. Szczęście mu sprzyjało, bo tegoż dnia jeszcze rozbił słynny w armji rosyjskiej kargopolski pułk dragonów, zabrał 150 niewolnika, 200 karabinów, liczne bagaże, oraz trzysta fur, napełnionych żywnością.

Przybywszy do Porycka, Dwernicki proklamacją wezwał do walki obywateli wołyńskich. Zaczęli niebawem skupiać się wokoło niego, przyprowadzać mu uzbrojonych ludzi i zapewniać, że wyteżą wszystkie siły, by powstanie ożywić. Niektórzy z nich, jak Tyszkiewicz, Czacki, Stecki i Tarnowski zobowiązali się wystawić własnym kosztem po jednym pułku, byle tylko czas na to pozwolił. Ale, niestety, czasu tego nie było. Na Wołyniu obozował generał Rüdiger, mający 12.000 wojska, a więc dwa razy tyle, ile go posiadał Dwernicki.

Rüdiger szedł ku Dwernickiemu—i starcie stało się nieuniknionym...

Dnia 19 kwietnia pod Boremlem spotkały się oba wojska.

Bitwę rozpoczął ogień artylerji, ogień bardzo nierówny, bo Rosjanie trzy razy tyle dział posiadali. Ale Dwernicki wiedział, jak zdobywać armaty. Nie tracąc czasu, z czterema szwadronami rzucił się na baterję rosyjską, w mgnieniu oka rozbił dragonów, którzy mu zastąpili drogę, zagarnął 8 armat i przełamał drugą linję jazdy. Rüdiger, który uchodził za znakomitego generała kawalerji, dzielny stawiał opór,

ale choć siły miał znacznie liczniejsze, niczego dokonać nie mógł.

Jazda polska, składając dowody najwyższego męstwa i zręczności, odparła z kolei wszystkie szarże nieprzyjacielskie i osadziła Rüdigera na miejscu...

Pięć godzin trwała ta uporczywa, a wysoce zaszczytna dla oręża polskiego bitwa. Dopiero burza z ulewą i gradem kres położyła walce...

Czas jakiś z obu stron jeszcze brzmiały armaty i łączyły swe potężne głosy ze świstem wichru i hukem piorunów. Zwolna ucichało wszystko. Przed samym zachodem przetańczyły się chmury i krwawe słońce wyrzuciło na chwilę. Wtedy przed frontem wojsk polskich, stojących na pobojuwisku, ukazał się Dwernicki. Generał dziękował żołnierzom za dokładne wykonanie rozkazów.

— Niech żyje Dwernicki! — wołało wojsko...

— Niech żyje ojczyzna! — odpowiadał Dwernicki i chciał dłużej przemawiać, ale entuzjastyczne okrzyki głużyły jego słowa. Serdeczne uniesienie i ufność wzajemna przeniknęła zarówno szeregi, jak wodza. Trębacze zagrali pieśń narodową. Rozgłośnie i dźwięczna huknęła w niebo, rozlała się po przestworzach. A o strzał działowy stał nieprzyjaciół i w milczeniu słuchał i patrzył na tę uroczystość...

Niestety, był to ostatni piękny dzień Dwernickiego...

Bitwa pod Boremlem, jak zresztą cała dotychczasowa działalność tego generała, wykazała jego wielkie przymioty wojenne. Wszyscy wojskowi, zarówno polscy jak rosyjscy, przyznają mu niepospolite zdolności, przepyszną znajomość sztuki wojennej, zręczność, odwagę i męstwo. Jednakże wyprawa Dwernickiego

bez dalszych posiłków nie miała wielkich szans powodzenia. Wkroczywszy na Wołyń, Dwernicki liczył na powstanie, ogarniające Wołyń i Podole, a powstanie liczyło na Dwernickiego. Tymczasem Rüdiger, znacznie silniejszy niż Dwernicki i powstańcy, wszelkie szanse zwycięstwa miał po swojej stronie...

Jakoż dowódca polski po bitwie pod Boremlem w trudnym znalazł się położeniu. Szeregi były prze-rzedzone, amunicja na wyczerpaniu, a przed frontem i na tyłach stał liczny nieprzyjaciel. Dwernicki postanowił przenieść walkę na Podole i oprzeć się o granicę Galicji, licząc, że ta prowincja dostarczy mu potrzebnych zasiłków. Więc gdy noc ciemna zapadła, w największej cichości zwinął obóz i ruszył w stronę Beresteczka. Na drugi dzień przeprawił się przez Styr, ale zaledwie Polacy znaleźli się na drugiej stronie rzeki, już ujrzeli przednie straże Rosjan. Odtąd Rüdiger jak cień szedł za wojskiem polskim. Dwernicki, idąc ciągle tuż nad granicą, oparł się o wieś Lulińce i w niej zaobozował. Miał wszystkiego 4.000 żołnierzy, pozbawionych środków potrzebnych do walki, a Rüdiger otaczał go 13-tysięczną armją i liczną artylerją. Siły pod każdym względem były nierówne i walka żadnego nie rokowała powodzenia. Wówczas Dwernicki, osaczony ze wszech stron, zdecydował się na krok rozpaczliwy i, przeszedłszy granicę, wkroczył z całym korpusem na terytorjum Galicji.

1-go maja złożył broń wobec władz austriackich i tym haniebnym aktem zakończył swój świetny zawód wojenny...

Tak więc wyprawa Dwernickiego zakończyła się klęską i to klęską podwójną...

Powstanie, pozbawione oparcia, musiało upaść i teren walki znowu zacieśnił się do Królestwa. Poza tym krok Dwernickiego był jeszcze niepowetowaną krzywdą moralną. Po raz pierwszy po wybuchu powstania honor wojsk polskich został splamiony haniebnym aktem złożenia broni. Czyn ten kompromitował powstanie w oczach Europy, a dowódcom polskim dawał przykład okropny. Wprawdzie położenie Dwernickiego było bardzo trudne, ale przy męstwie swoich żołnierzy śmiało mógł próbować przebić się przez nieprzyjaciół. Choćby miał w tej rozprawie utracić połowę wojsk i wszystkie armaty, nigdyby klęska ta nie mogła być straszniejsza nad haniebne złożenie broni...

Skrzynecki, wiedząc z raportów Dwernickiego o jego trudnym położeniu, postanowił przyjść mu z pomocą. W tym celu wysłał sześciotysięczny korpus pod generałem Chrzanowskim, który dotarł aż do Zamościa, lecz dalej się nie posunął, bo ratunek był już niemożliwy: Dwernicki przed nadejściem pomocy bronił...

Jednakże mimo te niepowodzenia powstanie na Podolu wybuchło. W początkach maja we wsi Krasnosiółce nad Bohem obywatele, co przystąpili do spisku, a między nimi hr. Rzewuski, bracia Jełowiccy i Sobańscy, zebrali swoje oddziały i utworzyli siłę dochodzącą do 1000 jazdy i 200 piechoty. Dowódcą naczelnym wybrany został Kołysko, stary wojak kościuszkowski, na szefa sztabu powołano majora Orlikowskiego. Oddział ten ruszył do Granowa, majątku książąt Czartoryskich, dokąd ciągnęły oddziały powstańcze, prowadzone przez Potockiego, Zapolskiego

i innych. Połączone siły urosły do 3.000 ludzi. 14 maja pod wsią Gródkiem powstańcy zostali zaatakowani przez generała Rotha. Doszło do krwawej i upornej bitwy. Powstańcy bronili się mężnie, odparci kilkakrotnie, po kilkakroć z rozpaczą ponawiali ataki, wkońcu jednak, zachowując zupełny porządek, cofnęli się do Daszowa. W bitwie, która się wznowiła pod tym miasteczkiem, Polacy stracili swoją artylerję, kasę, kilkuset ranionych i jeńców. Roth wszedł do miasteczka, bronionego przez stu kilkudziesięciu ludzi. „Z rozpaczliwym męstwem, — pisze historyk rosyjski Puzyrewski, — ta nieliczna garstka rzucała się wprost na działa rosyjskie i, nie zważając na niebezpieczeństwo, zawiązywała uporczywą walkę. Zaatakowani z czoła, z tyłu i z boków, Polacy walczyli z nadzwyczajnym męstwem, a z pomiędzy tych bohaterów szczególniejszą odwagą wyróżnili się bracia Sobańscy, Jełowiccy, 70-letni Borzęcki i wielu innych“. Oczywiście ta garstka walecznych nie mogła powstrzymać kilku pułków Rotha.

Więc, usławszy ziemię trupami, cofnęła się, znacznie uszczuplona, i stanęła w Lińcach, dokąd się schronił Kołysko. Wkrótce potem powstańcy napadli pod Obodnem na oddział generała Szuckiego, złożony z dwu szwadronów, i zabrali mu artylerję, wzięli do niewoli kilkudziesięciu żołnierzy, a resztę położyli trupem. W kilka dni później zaobozowali pod Majdankiem. Otoczeni tutaj przez przemagające siły, ponieśli ostateczną porażkę. Na placu pozostali najodważniejsi, a między niemi major Orlikowski, który, nie mogąc przeżyć klęski, wystrzałem z pistoletu pozabawił się życia.

Kołysko z ocalałemi resztkami połączył się wkrótce z powstańcami, którzy broń podnieśli w powiecie latyczowskim, ale demoralizacja, ogarniająca szeregi po doznanych klęskach, nie pozwoliła już na wznowienie działań. Połączone oddziały ruszyły do Satanowa i za przykładem Dwernickiego przekroczyły granicę i broń złożyły wobec wojsk austriackich.

I na Wołyniu nie powiodło się powstańcom.

Jedynie dymisjonowany kapitan wojsk polskich, Karol Różycki, obdarzony wielkimi zdolnościami wojennymi, odniósł znaczniejsze powodzenia. Zgromadziwszy w okolicach Żytomierza stu kilkudziesięciu ludzi, wyćwiczył ich należycie, zaopatrzył we wszelkie potrzeby i siłą tą postanowił wesprzeć Kołyskę. W tym celu skierował się na Podole, ale, otrzymawszy wiadomość, że Kołysko broń złożył — zmienił zamiar i postanowił przedrzeć się do Królestwa. Wzmocniony po drodze przez oddział powstańców, przyprowadzony przez Worcella, rozpoczął marsz. Czyniąc zwodnicze obroty i nieustannie wprowadzając w błąd dowódców rosyjskich, Różycki jak wilk przemykał się przez pola i ostępy leśne. Czujny i ostrożny, przystawał czasem i szarpał nieprzyjaciela po drodze. Zwiódłszy kilka świetnych utarczek, z tych najgłośniejsze pod Krasnopolem i Uchaniem, dotarł szczęśliwie do Zamościa, gdzie połączył się z wojskiem polskim...

Dokonał w ten sposób świetnego czynu pod względem wojennym, ale jako partyzant dzielny i odważny mógł większe oddać usługi, pozostając na Wołyniu i jednocząc pod swemi sztandarami rozproszonych, a szukających oparcia powstańców.



Z chwilą opuszczenia przezeń Wołynia — Ruś dla powstania polskiego przepadła...

Nie lepiej powiodła się wyprawa na Litwę...

Wybuch listopadowy wywołał w całej Litwie ogromne wrażenie. Wieści z Warszawy przyjmowano z nadzwyczajnym wzruszeniem i czekano tylko ukazania się wojsk polskich, aby porwać się do bronii. Głowy płonęły, umysły były wzburzone. Młodzież wileńska natychmiast chciała rozpocząć powstanie, ale starsi obywatele zwichnęli te usiłowania, przekonawszy niecierpliwych, iż należy czekać na rozkazy z Warszawy. Czekano jednak nadaremnie, bo Chłopicki ani myślał o Litwie. Czas drogi upływał w bezczynności. Tylko rząd rosyjski czuwał. Mianowawszy nowego generał-gubernatora Chrapowickiego, polecił mu stosować środki najostrzejsze, byle tylko do powstania na Litwie nie dopuścić. Chrapowicki, człowiek srogi, a nawet okrutny, znalazł dzielnego pomocnika w Nowosilcowie, który przed rewolucją uciekł z Królestwa i przybył do Wilna. Rozpoczęło się uśmierzanie kraju, a rozpoczęło się od tego, iż zaaresztowano wybitniejszych a znanych z patryjotyzmu obywateli i wywieziono w głąb Rosji. Ogłoszono w całej Litwie stan wojenny i karę śmierci wyznaczono za najmniejszy opór władzy. Nowosilcow zajął się młodzieżą i przepełnił nią liczne więzienia. Przy pomocy szpiega i prowokatora Kudrewicza odkrył wkrótce spisek. Sześć głów młodzieńczych, marzących o powstaniu, spadło. Ciężko dyszała Litwa pod srogą ręką Chrapowickiego.

Mimo to wzburzenie nie ustawało. W Wilnie, tuż pod bokiem władz rosyjskich, utworzony został główny

komitet, mający kierować powstaniem. Komitet ten, czekający wkroczenia wojsk polskich, zwlekał nieustannie z wyznaczeniem terminu, wogóle zaś działał powolnie i niedołąźnie. Ale po wsiach gromadzono broń, amunicję i szykowano się do walki.

Pierwsza poruszyła się Żmudź, a przykład dali włościanie powiatu telszewskiego.

Uprzedzając termin poboru rekruta do wojska rosyjskiego, powstałi oni jeszcze w lutym, utworzywszy oddział zbrojny pod dowództwem włościanina Giedryma i niejakiego Borysewicza. Napadnięci przez Rosjan, cofali się w porządku cztery mile i weszli do Prus. Lecz przykład był dany.

W miesiąc potym, d. 17 marca zebrali się obywatele żmudzcy we wsi Cytowianach u obywatela Przeciszewskiego i tam, nie czekając zezwolenia komitetu wileńskiego, uchwalili powstać. Uroczyście spisano tę uchwałę i przystąpiono do dzieła. Powstańcy zaatakowali najpierw Rosienie, a że miasta tego broniła nieznaczna załoga, więc wzięli je łatwo, po Rosieniach zdobyli Telsze, a następnie Szawle...

Od tej pory ruch przybierał coraz szersze rozmiary.

Chrapowicki zniszczeniem i śmiercią starał się uspokoić Litwę. Szlachcica, schwytanego z bronią w rękę, bez sądu rozstrzelowano, włościan, co połączyli się z ruchem, zabijano różgami. Pułkownik Werzelin, przeznaczony do stłumienia powstania w powiecie oszmiańskim, zbliżył się do Oszmiany i, ogniem armatnim wznieciwszy pożar, rzucił swe wojska na nieszczęsne miasto. Nieszczęsna Oszmiana spłynęła krwią, pozostały po niej popioły i zgłiszczca.

Ale ten straszny przykład nie odstraszył nikogo...

Za Żmudzią powstała reszta kraju. Bory i puszcze litewskie zapełniły się wnet licznymi oddziałami powstańców, ruch tłumiony wybuchnął nagle i szerzył się jak pożar...

W Mińszczyźnie pułkownik Radziszewski zgromadził z górą 3.000 ludzi i trzymał się w niedostępnej pozycji wśród bagien i lasów. W okolicach Wilna działał Załuski, na Żmudzi zasłynął partyzant Jacewicz. Powstańcy walczyli ze zmiennym szczęściem, gdy jednak Chrapowicki otrzymał posiłki, ruch zbrojny zaczął się zmniejszać.

Nagle po całej Litwie gruchnęła wieść, że wojska polskie ciągną powstańcom na pomoc. Nowy duch wstąpił w serca, wszystko żywiej zaczęło się ruszać i podnosić głowę.

Wieść była prawdziwa. Na Litwę szedł Chłapowski, szedł z wyborowym oddziałem, złożonym z 800 ludzi, wśród których było stu instruktorów, przeznaczonych dla zorganizowania i wyćwiczenia oddziałów powstańczych.

Skorzystawszy z odwrotu gwardji, co otwierało mu drogę, Chłapowski posunął się naprzód i d. 22 maja stanął na ziemi litewskiej. Był to sprężysty i energiczny generał. Wyćwiczony w szkole Napoleona, znał się doskonale na wojnie, zdanie miał wyrobione, sąd wytrawny, ambicję wielką. W postawie i zachowaniu się jego było coś imponującego, coś, co nakazywało szacunek i odstraszało zarazem. Zimnem wiało od tego pysznego generała. Chłapowski chciał odegrać wielką rolę, niestety, przy wszystkich swoich zaletach nie miał dość hartu, by się oprzeć fatalnym wypadkom i nie ulec nieszczęściu.

Pierwsze kroki tego generała uwieńczyło powo-
dzenie. Doszedszy do Bielska, napadł niespodzianie
na stojący tam garnizon wojsk rosyjskich, zabrał do
niewoli 500 żołnierzy i zdobył 1000 sztuk różnej broni.
Później zwrócił się ku puszczy białowieskiej, rozbił
zagradzającego mu drogę generała Lindena, a następ-
nie, połączywszy się z partyzantami: Tyszkiewiczem,
Krasowskim i Ronkem, pomaszerował na Lidę i, wy-
pędziwszy stamtąd wojska rosyjskie, posunął się ku
Trokom. Siły Chłapowskiego, wzmacniane oddziałami
licznych partyzantów, urosły wkrótce do 5.000 ludzi...

Tymczasem i Giełgud stosownie do rozkazu, otrzy-
manego po fatalnej bitwie ostrołęckiej, ruszył ze swoją
dywizją ku granicom Litwy. Pochód otwierał giene-
rał Dembiński, prowadzący ze sobą 3.000 ludzi. W Raj-
grodzie wojska polskie stoczyły zwycięską bitwę z giene-
rałem Sackenem, który w tej rozprawie stracił 2.000
żołnierzy w zabitych i ranionych, a mógł być całko-
wicie rozbity, gdyby nie niedołęstwo Giełguda.

Wojska polskie wszędzie witano z entuzjazmem,
a w oddawaniu usług i okazywaniu im życzliwości
szczególniej odznaczyli się włościanie. „Każdy kmio-
tek, — powiada jeden z pamiętnikarzy, — chętnie
dzielił się ostatnim kęsem chleba, bez żadnej nagro-
dy; gdzie tylko przechodził oddział polski, wszę-
dzie znajdował na końcu wioski rzędem stojące nie-
wiasty i dzieci z napojem i posiłkiem dla strudzo-
nych. Jeszcze armaty grzmiały po bitwach... a już na
pobojowisku włościanki z okolicy opatrywały rannych
i krzepiły ich mleczymem“...

Giełguda przyjmowała Litwa, jak wybawcę i oswo-
bodziciela.

Upajał się on wywieranym wrażeniem i rządził, jak król. Przybywszy do Kiejdan, ustanowił rząd centralny dla Litwy i Żmudzi, a prezesem tego rządu zanominował senatora i generała Tyszkiewicza...

Siły powstańcze przy odrobinie dobrej woli i energii łatwo można było podnieść do 25.000 ludzi, a z armją taką wiele można było dokonać.

Ale generał Giełgud był drugim wydaniem Skrzyneckiego, jednakże bez determinacji naczelnego wodza na polu bitwy. Opieszały, leniwy, niezdecydowany, trawił drogi czas na ucztach, biesiadach, ciesząc się własną władzą i owacjami, jakie mu urządzano. Niebawem zjawił się w Kiejdanach generał Chłapowski, a jako niższy rangą stanął pod rozkazami Giełguda. Chłapowski przywiózł ze sobą projekt zdobycia Wilna, co było rzeczą możliwą, gdyż stolicę Litwy zajmowało raptem 6.000 Rosjan. Giełgud, rozumiejąc, że trzeba coś przedsięwziąć, projekt zaakceptował, ale miast wydać natychmiast wojsku rozkazy, zwlekał pod różnemi pozorami i trwał w bezczynności. Wszystko szło jak najgorzej. Pułkownik Szymanowski, wysłany na Żmudź dla poparcia tam powstania, doznał porażki pod Szawłami, które usiłował zdobyć, a wieść o tej porażce rozniosła się szybko i wszędzie wywarła wrażenie fatalne.

Tymczasem Rosjanie, korzystając z bezczynności Giełguda, skoncentrowali w okolicach Wilna 24.000 wojska i 72 działa. Wtedy dopiero Giełgud zdecydował się projekt Chłapowskiego wykonać. Połączywszy wojska regularne z oddziałami powstańczemi, można było zebrać 20.000 wojska i z armją tą próbować szczęścia. Stało się inaczej. Nieudolny Giełgud

rozproszył swe siły i z 6.000 regularnych żołnierzy oraz 1.200 powstańców partyzanta Zaliwskiego zamierzył zdobyć Wilno, bronione przez czterykroć liczniejsze wojska na dobrych pozycjach, umocnionych w dodatku silną artylerią.

To szaleństwo dowódcy krwawą zakończyło się klęską. Dnia 19 czerwca na wzgórzach Ponarskich, okalających stolicę Litwy, doszło do bitwy.

Wojsko polskie, straciwszy 2.000 ludzi, cofnęło się zdemoralizowane i oburzone najwyższym niedołęstwem wodza.

Odwrót odbywał się nieporządnie i zakończył się nową klęską pod Szawlami, które po raz drugi nadaremnie usiłowano opanować.

Dnia 9 lipca po naradzie wojennej w Kurszanach, naradzie długiej i burzliwej, Giełgud zdecydował się rozdzielić armję na trzy kolumny, któreby wspierały się wzajem, lecz na własną działającą rękę. Dowództwo objęli generałowie Chłapowski, Roland i Dembiński.

Stosownie do przyjętego planu Chłapowski, do którego przyłączył się Giełgud, miał maszerować ku Kownu, Roland zwrócić się ku Połędze, a Dembiński wkroczyć do Kurlandji. Plan ten nie został wykonany. Oddział Chłapowskiego, zamiast posuwać się w oznaczonym kierunku, stanął nad granicą pruską z wyraźną intencją przekroczenia granicy i złożenia broni wobec władz pruskich.

Ta myśl haniebna do tego stopnia opanowała Giełguda i Chłapowskiego, że o niczym więcej nie myśleli. I Roland, naciskany przez znaczne siły nieprzyjacielskie, również zmienił marszrute, ale po to, by

połączyć się z Chłapowskim i wspólnymi siłami stawiać czoło Rosjanom. Trzynastego lipca kolumny Rolanda dosięgły granicy i z przerażeniem ujrzały oddział Chłapowskiego, wkraczający na terytorjum Prus.

Widok ten podzielał na wojsko piorunująco. Dreszcz oburzenia przeszedł szeregi.

— Zdrada! zdrada! — zaczęli krzyzcze żołnierze.

Giełgud stał już po stronie pruskiej i, otoczony licznym sztabem, rozmawiał z oficerami pruskiemi. Młody oficer, Kazimierz Skulski, będący w szeregach Rolanda, zapłonał na ten widok strasznym, a łatwym do wytłumaczenia gniewem. Nic nie mówiąc, spiął ostrogami konia i w pełnym galopie podjechał do Giełguda.

— Bracia, tak giną zdrajcy ojczyzny! — zawołał nagle i wymierzył z pistoletu. Huknął strzał — i Giełgud runął martwy na ziemię.

Wojsko stało oszołomione, cichość zaległa szeregi. Skulski wśród powszechnego osłupienia oddalił się zwolna i w oczach całej armji uszedł, przez nikogo niezatrzymany.

Dopiero po chwili żołnierze podnieśli straszną wrzawę. Okrzyk: „zdrada!“ znów przeszył powietrze i największe zamieszanie zapanowało w armji. Żołnierze rzucali broń, to przechodzili z powrotem granicę, to znowu rozpierzchali się na wszystkie strony. Demoralizacja ogarnęła wszystkich. Roland, żołnierz waleczny, ale bez charakteru i wyższych zdolności, odstąpił od granicy i dalej walczyć postanowił, ale w postanowieniu nie wytrwał. W dwa dni później, otoczony z trzech stron przez generałów Kreutza, Sackena i Schirmana, zwołał radę wojenną i, stosownie

do uchwały, która na tej radzie zapadła, poszedł za przykładem Chłapowskiego i dnia 15 lipca przekroczył fatalną granicę...

W ten sposób 8.000 doskonałych żołnierzy, a w tej liczbie 400 oficerów zostało straconych dla sprawy powstania...

Oreż polski znów dotknęła hańba.

Na Litwie pozostał Dembiński.

Oddział jego liczył 3.500 żołnierzy i 4 działa. Oddział ten, pozbawiony żywności, amunicji, pieniędzy, a nadto zarażony demoralizacją, szerzoną przez Giełguda, smutny przedstawiał widok. Lecz Dembiński ani myślał wstępować w ślady Rolanda i Chłapowskiego. Wobec tego dwie drogi miał przed sobą: walczyć dalej na Litwie, lub wracać do Królestwa.

Pozostając na Litwie, nie mógł myśleć o prowadzeniu wojny regularnej, bo na to był za słaby. Ale podtrzymywać partyzantkę i podsycać ogień powstańczy nie było zadaniem trudnym. Przy swojej energii, zdolnościach i odwadze miał nawet Dembiński piękne do popisu pole. O wiele więcej niebezpieczeństw przedstawiał powrót do Królestwa. Wojska rosyjskie, po wyparciu Chłapowskiego i Rolanda, wszystkie swe siły mogły zwrócić przeciw Dembińskiemu. Chcąc dostać się do Królestwa, trzeba było przebić się przez te siły, należało w obliczu nieprzyjaciela przechodzić rzeki, przedzierać się przez puszcze, bory i bagna, zdobywać żywność i amunicję, słowem, dokonać rzeczy niezwykle trudnej, prawie niemożliwej.

Nie uląkł się tego wszystkiego Dembiński i słynny swój marsz niebawem rozpoczął.

Decyzja Dembińskiego, wielce dlań zaszczytna, miała,

niestety, bardzo niekorzystne następstwa. Był on ostatnią tarczą powstania na Litwie, które odtąd, pozostawione samo sobie, a wyczerpane walką i klęskami, nie mogło stawić czoła nieprzyjacielowi. Wojska rosyjskie, dokonawszy uśmierzenia Litwy, wtargnęły do Królestwa i powiększyły walczącą tam armję.

W ten sposób wyprawy na Ruś i Litwę, zakończone złożeniem broni, nic nie przyniosły powstaniu prócz klęski i to klęski haniebnej...

X.

SKRZYNECKI I DEMBIŃSKI.

I na głównym teatrze wojny wszystko szło jak najgorzej...

Skrzynecki, powróciwszy do Warszawy po fatalnej bitwie ostrołęckiej, na nic zdecydować się nie chciał. Liczył on nieustannie na pomoc Europy, to projektował układy z Dybiczem, to znowu wiele nadziei przywiązywał do działania Giełguda, spodziewając się, że główna armja rosyjska, zagrożona na tyłach przez powstanie litewskie, sama Królestwo opuści. Było to możliwe, ale pod warunkiem, że Giełgud żył i pokładane w nim nadzieje. Stało się inaczej—i Skrzynecki, myślący o tym, jakby zwyciężyć bez bitwy, na nic zdecydować się nie mógł. Powstanie skutkiem niedołęstwa naczelnego wodza chyliło się do upadku. Widział to rząd narodowy, zrozumiał to Sejm, zdawali sobie z tego sprawę wojskowi, nic jednak nie przedsięwzięto, by wodzostwo Skrzyneckiemu odebrać...

Rząd chwiejny i słaby sam był zachwiany, a Sejm... Sejm w takiej chwili bawił się mianowaniem senatorów.

Skrzynecki, zazdrosny o swoją władzę, widząc, że

nikt wydzierać mu tej władzy nie myśli, poszedł za przykładem Sejmu i jął układać listy oficerów i wyższych wojskowych, których przedstawiał do awansu. Mianował więc nowych generałów brygady i dywizji oraz nowych pułkowników. Awanse te po odniesionej klęsce i w czasie zupełnej beczynności wyglądały na drwiny, ale Rząd Narodowy nie śmiał odmówić Skrzyneckiemu i wszystkie nominacje zatwierdzał.

Tymczasem przyszła do Warszawy wieść o śmierci Dybicza, który 13 czerwca nagle życie zakończył.

Był to wypadek ważny i doniosły, gdyż armja rosyjska, pozbawiona władzy naczelnej, powstrzymana była w przedsięwziętych działaniach i przed przybyciem nowego wodza, jak to przewidywano, skazana była na beczynność.

Postanowił skorzystać z tego Prądzyński i, projektując ruch zaczepny przeciw głównej armji, natychmiast plan odpowiedni naczelnemu wodzowi przedstawił. Ale Skrzynecki plan odrzucił, gdyż walnej bitwy z główną siłą rosyjską za wszelką cenę postanowił unikać. Napisał natomiast do generała Chrzanowskiego, który z korpusem, posłanym na odsiecz Dwernickiemu, obozował pod Zamościem, by ruszył na Wołyń i tam wzniecił powstanie. Chrzanowski zgodził się polecenie wykonać, ale pod warunkiem, że korpus jego otrzyma posiłki, a generał Rüdiger, działający podówczas w Lubelskim, zostanie zniesiony. Skrzynecki postanowił spełnić to żądanie i przeciw Rüdigerowi wysłał świeżo nominowanego generała dywizji Jankowskiego. Wybór był fatalny. Jankowski okazał się najniedołężniejszym z wodzów.

Mimo szczęścia, które od początku mu sprzyjało, tak pokierował ruchami, że Rüdiger, będący w krytycznym położeniu, wymknął się szczęśliwie i klęski niechybnej uniknął.

Błędy, popełnione przez Jankowskiego, były tak widoczne, iż opinia publiczna głośno oskarżała go o zdradę. Zarzut ten robiono również generałowi Bukowskiemu, który brał udział w działaniach przeciw Rüdigerowi, a wykazał tyle nieudolności i tchórzostwa, że tylko jawną zdradą niepowodzenia jego umiano sobie tłumaczyć.

Tymczasem wódz naczelny wyprawiał uczty, biesiady, czytywał gazety francuskie i czekał wiadomości o pomyślnych wypadkach. Rząd rozsyłał noty dyplomatyczne, a Sejm trawił czas na jałowych rozprawach.

Opinia zaczęła szemrać. Naraz w Warszawie gruchnęła wieść, że pomiędzy wielu znanymi osobistościami zawiązał się spisek, mający na celu pomaganie wojskom rosyjskim. Na czele tego spisku — jak niosła wieść — miał stanąć były komendant Zamościa, generał Hurtig. Twierdzono dalej, że generał Sałacki daje znać Rosjanom o poruszeniach wojsk polskich, że Jankowski i Bukowski przez spiskowych zostali przekupieni i że tym się tłumaczy ich nieudana wyprawa. Oskarżano dalej cukiernika Lessla, szambelana Fanshave, Rosjankę Bazanową, która w Warszawie prowadziła dom otwarty i dużo osób u siebie przyjmowała...

Więści o tym spisku, wieści bardzo niejasne, przyszły z Galicji i tysiącem plotek rozbiegły się po mieście.

Lud warszawski domagał się kary i zemsty. Dnia 29 czerwca doszło nawet do groźnych rozruchów.

Skrzynecki rozkazał aresztować wszystkich podejrzanych i na czas jakiś krokiem tym odwrócił uwagę opinii od swojej bezczynności. Ale nie na długo. Dowództwo nad armją rosyjską otrzymał feldmarszałek Paskiewicz i, stanąwszy w końcu czerwca w Pułtusk, postanowił przejść Wisłę i zagrozić Warszawie, nieoślonionej rzeką. Nowy wódz rosyjski działał bardzo ostrożnie, a nawet trwożliwie, ruchy jego były niepewne, często zgola niestosowne. Lecz Skrzynecki ani myślał przeszkadzać zamiarom Paskiewicza. Nie korzystał z jego błędów, nie czynił absolutnie nic, by stolicę od najścia zabezpieczyć. Więc armja rosyjska uskuteczniła swój ruch w najzupełniejszym porządku. W początkach lipca rozłożyła się w okolicach Płocka, a 17 i 18 tegoż miesiąca przeprowadziła się przez rzucone mosty i przeszła Wisłę w okolicach Raciążka. Przeprawa odbywała się w ogromnym niepokoju, gdyż Paskiewicz był pewien, że przejście Wisły poprzedzi krwawa i uporczywa walka. Nikt jednakże Wisły nie bronił i wojska rosyjskie, skupione w jednej masie, dalszy rozpoczęły pochód...

Wtedy dopiero niczym niewytłumaczona, a równająca się zbrodni bezczynność Skrzyneckiego wywołała interwencję Sejmu. Zdawałoby się, że po tylu dowodach niedołęstwa naczelnego wodza, po tylu strasznych błędach i klęskach poniesionych, Sejm przejrzy wreszcie, odbierze dowództwo Skrzyneckiemu i wraz z uwięzionymi generałami Jankowskim i Bukowskim pod sąd wojenny go odda. Nic z tego. Sejm utworzył radę

i radzie tej polecił wybadać zamiary naczelnego wodza. Skrzynecki na posiedzeniu rady nie tał swych nadziei, pokładanych to we Francji, to znowu w Austrii, i nadziejami temi, pozbawionemi wszelkiej podstawy, tłumaczył swą bezczynność. Twierdził zresztą, że przejście armji rosyjskiej przez Wisłę nie pociągnie za sobą złych skutków, gdyż Warszawa stanie się grobem dla nieprzyjaciela. W ten sposób wyraźnie dawał do zrozumienia, że bynajmniej nie ma zamiaru oszczędzać stolicy, że przeciwnie postanowił narazić ją na wszystkie skutki szturmu i jego nieprzewidziane następstwa.

A rada nic nie przedsięwzięła. Prosiła jedynie Skrzyneckiego, by szedł naprzeciw wroga, i zadowolila się odpowiedzią wodza, który obiecywał zająć Łowicz, ważny punkt strategiczny, i nad Bzurą stoczyć walną bitwę.

Ale nie myślał dotrzymać obietnicy, co zresztą było już niemożliwe, gdyż Paskiewicz z głównemi siłami zajmował i Łowicz i okolice. Jednakże Skrzynecki opuścił Warszawę, w miasteczku Bolimowie założył główną kwaterę i znowu pogрузzył się w bezczynności. A Paskiewicz wciąż posuwał się naprzód i zbliżał się do stolicy.

Publiczność warszawska, wysoce tym wszystkim zaniepokojona, coraz głośniej zaczynała wyrażać swe niezadowolenie. Domagano się bitwy i głośnie mówiono o zdradzie. Nareszcie i Sejm, najcierpliwsza i najgnuśnieszka z władz, jaka kiedykolwiek pod słońcem istniała, ów Sejm, który od czasów Chłopickiego nie zdobył się ani na jeden krok pożyteczny, ów Sejm, który z takim lekkim sercem odrzucił re-

formę włościańską i z takim samym sercem patrzył na równającą się zdradzie beczynność wodza, ów Sejm gadatliwy, niezdarny, niezdolny do czynu, powziął narreszcie pierwszą stanowczą decyzję. Lecz, pożał się Boże, co to była za decyzja! I teraz Sejm nie zdobył się na pociągnięcie Skrzyneckiego do odpowiedzialności, lecz utworzył nową delegację i polecił pojechać jej do kwatery naczelnego wodza i postąpić z nim stosownie do uznania.

Delegacja ta, złożona z dwóch członków rządu, księcia Czartoryskiego i Wincentego Niemojowskiego, z senatorów Ostrowskiego i Wężyka oraz pięciu członków Izby poselskiej, wyruszyła do Bolimowa i rozpoczęła tam sejmikowanie. Delegaci, nie mający pojęcia o działaniach wojennych, zaczęli zasięgać rady wojskowych wszelkich stopni, wysłuchiwać oskarżeń i obrony. Skrzynecki zachowywał się dumnie, odpowiadał hardo i z całej delegacji nic sobie najwidoczniej nie robił...

Niebawem całe wojsko zaczęło się naradzać, sejmikować, potworzyły się partje, koterje, a od sprzecznych zdań, swarów i hałasów zaszumiało w Bolimowie, jak w ulu. Rozkład sejmowy przedostał się do wojska, zmroził zapał żołnierzy, zdemoralizował szeregi. Rozluźniła się dyscyplina, jak dym zaczęło się rozwiewać zaufanie armji, a nadzieja zwycięstwa, przyćmiona skandalem, zbladła i przygaśła.

Lecz delegacja nie mogła się zdecydować sama na odebranie Skrzyneckiemu dowództwa.

Do stanowienia o tym zawezwano aż 68 wojskowych różnych stopni i dopiero głosowanie tak liczного grona wyrwało z rąk Skrzyneckiego buławę.

W taki sposób zeszedł z widowni powstania człowiek, który los Polski kilkakrotnie miał w swoich rękach i nic nie uczynił, aby tym losem pokierować. Odwrót po zwycięstwie, odniesionym na polach igańskich, wypuszczenie gwardji, pokierowanie krwawą bitwą ostrołęcką, wybór nieudolnych ludzi, przeznaczonych na ważne wyprawy, ludzi takich, jak Giełgud i Jankowski, beczynność w Warszawie, beczynność w Bolimowie, beczynność o każdym czasie i w każdym miejscu, beczynność bez względu na wszelkie okoliczności, powołujące do czynu, oto ogniwa w łańcuchu wielkich błędów, otaczających pamięć Skrzyneckiego. Niepowetowaną krzywdę, jaką powstaniu zaraz w pierwszych jego tygodniach wyrządził Chłopicki, uzupełnił ten nowy wódz-dyplomata, wódz-kunktator, wierzący bardziej w siłę pisanych przez siebie świstków do mężów stanu w Europie, niż w siłę miecza.

* *

Po odebraniu Skrzyneckiemu władzy naczelnej trzeba było obejrzeć się za następcą.

Następca ten zjawił się sam, a zjawił się jak zwiastun wybawienia.

Był nim generał Henryk Dembiński...

Stosownie do uchwał rady wojennej w Kurszaczach, ruszył on najpierw ku granicom Kurlandji. Po drodze zawadził o Miskucie, rozbił stojącą tam kompanję piechoty, zabrał do niewoli stu żołnierzy, a zarazem zdobył 6.000 ładunków i 500 dukatów. Później z trzech stron zaatakował Poniewież, wypło-

szyl stamtąd rosyjską załogę, a część jej wziął do niewoli. Nadto zabrał nieprzyjacielowi obfite zapasy, a że mieszkańcy Poniewieża przyszli z pomocą, więc wojsko zostało zaopatrzone w niezbędne potrzeby.

W Poniewieżu dopiero zdecydował się Dembiński na powrót do Królestwa.

Od tej pory zwrócił na siebie uwagę nieprzyjaciela i nieustannie był osaczany. Trop w trop za nim szedł ze znacznymi siłami generał Savoini i ścigał wojska polskie. Generał ten, mylony zręcznymi obrotami, nie mógł się zorjentować, w jakim kierunku zamierza iść Dembiński, więc zamiast uprzedzić go w punktach, przez które wypadła droga, deptał mu po piętach. Korzystał z tego dowódca polski, palił za sobą mosty, osłaniał się rzeką, borem, bagnami, wiódł z przednimi strażami utarczki i posuwał się dalej. Przeszedł w ten sposób Wilję, a później Niemen. Wreszcie spostrzegli swe błędy generałowie rosyjscy i na granicy Królestwa umyślili ze wszech stron osaczyć Dembińskiego. Położenie jego stało się krytyczne, ale tym razem szczęście przyszło mu z pomocą. Generałowie rosyjscy, otrzymawszy mylną wiadomość o postępowaniu znacznych sił polskich, ciągnących naprzeciw Dembińskiego, zaprzestali na pewien czas pościgu. W ten sposób oddział wymknął się z zasadzki, lecz wkrótce nowe niebezpieczeństwa zagroziły Dembińskiemu drodze. Na jego tyłach szedł Savoini, a od frontu usiłował przeciąć odwrót generał Rosen. I z tej matni dzięki trafnie wybranemu kierunkowi zdołał wybrnąć Dembiński i ocalić swój oddział...

Gdy zbliżał się do Warszawy, wieść o jego świetnym odwrocie błyskawicznie rozniosła się po stolicy i mnóstwo ludu wysypało się na spotkanie szczęśliwego generała.

Widok był niezwykle. Dembiński prowadził ze sobą żołnierzy, wybiedzonych, wychudłych, czarnych od skwaru słonecznego, ubranych najdziwaczniej we wszelkiego rodzaju ubiory: mundury polskie i rosyjskie, siermięgi, czamary, kurtki strzeleckie, kapoty mieszczańskie; pstrokaciznę tę podnosiła jeszcze rozmaitość broni. Obok karabinów kalibrowych widać było janczarki, fuzje, karabele, kindżały. Taką samą mieszaninę przedstawiały konie ras wszelkich oraz ciągnące za wojskiem tabory.

Zastępy publiczności, poprzedzone przez członków Rządu i Sejmu, wyległy na błonia praskie.

Oddział Dembińskiego przywitano pieśnią narodową i rozgłośniami okrzykami na cześć wodza i jego dzielnych wojowników.

Od tej pory wszystkie oczy zwrócone były na tego generała...

Niestety, jakiś fatalizm zawisł nad powstaniem: Dembiński, bez wątpienia dobry generał, nie był przecież mężem, jakiego wymagała chwila. Ani charakterem, ani umysłem nie wzniósł się ponad poziom przeciętności. Mianowany w nagrodę za okazane usługi gubernatorem Warszawy, okazał się człowiekiem drażliwym, porywczym, nieorjentującym się w sytuacji i w stosunkach. Despotyzmem i nietaktem swoim naraził sobie żywioły rewolucyjne i obudził najwyższą niechęć wśród opozycji sejmowej. Uznanie, jakim go otaczano, przyszło bardzo szybko. Okazało

się, że ten dzielny generał jest umysłem ciasnym, głową bardzo przeciętną.

Wyniesiony przez delegację sejmową na następcę naczelnego wodza, Dembiński, zamiast nowym czynem wojennym wzbudzić zaufanie, postąpił sobie w najwyższym stopniu nierozważnie. Oto, obejmując dowództwo, postanowił dokonać przeglądu wojsk i przegląd ten w towarzystwie Skrzyneckiego odbywał. Żołnierz, który pamiętał byłego wodza w bitwach pod Dobrym, Grochowem, który na karb Skrzyneckiego kładł zwycięstwa pod Wielkim Dembem, Wawrem, Iganiami, a na polach Ostrołęki widział naczelnego wodza, śmiało idącego w odmet śmierci, nie zdawał sobie sprawy ze strasznych jego przewinień i błędów.

Więc wojska przywitały byłego wodza okrzykami sympatji i życzliwości.

Skrzynecki zaś wygłosił mowę i, mówiąc o nowym wodzu, okrzykiem na jego cześć zakończył.

— Niech żyje Skrzynecki! — odpowiedzieli żołnierze.

— Niech żyje Dembiński! — powtórzył Skrzynecki, ale wojsko ciągle na cześć byłego wodza powtarzało wiwaty.

Wtedy Dembiński głos zabrał i w mowie swej nazwał Skrzyneckiego „mężem bez trwogi i skazy“, ba! obiecywał nawet brać z niego przykład i iść jego śladem...

Była to rycerskość nie na miejscu, a obietnica naśladowania Skrzyneckiego wręcz straszna. Jakoż postępek nowego wodza najfatalniejsze wrażenie uczynił w stolicy.

Na domiar nieszczęścia, pierwsze kroki Dembińskiego pozwalały przypuszczać, że istotnie pójdzie drogą swego poprzednika. Zamiast iść naprzód i szukać bitwy, Dembiński nakazał ruch wsteczny ku Warszawie. Nie uważał on za rzecz możliwą stoczenia walnej bitwy pod stolicą i z innemi planami się nosił, ale ludność Warszawy i wojsko, członkowie Rządu i Sejmu, kraj cały domagał się bitwy...

Dembiński ruchem swoim do reszty zdemoralizował armję, oburzył oficerów i, przeciwstawiwszy swą wolę powszechnemu głosowi, naraził sobie wszystkich.

Wrzenie ogarnęło Warszawę, złowrogi okrzyk: „zdrada!“ znów obił się o jej mury...

Burza wisiła w powietrzu...

XI.

NOC 15 SIERPNIA I KRUKOWIECKI.

Wież o dalszym cofaniu się wojsk polskich była iskrą, która zapaliła wzburzone umysły...

Towarzystwo Patryjotyczne, zabite przez Lubeckiego, a powołane do życia po upadku dyktatury, lecz długi czas wlokące swój żywot cicho i ospale, ocknęło się naraz i podniosło głowę.

Posiedzenia Towarzystwa znowu zaczęły zgromadzać liczne zastępy publiczności, a temperatura tych posiedzeń codziennie stawała się gorętszą. Niepomyślne wypadki, wstrząsające opinią, omawiane były szeroko, a żywo, zapalczywie, namiętnie. Rej w Towarzystwie wiedli teraz ludzie, którzy w pierwotnym klubie żadnej nie odgrywali roli. Zastąpił w ostatnich czasach swojemi mowami ksiądz Puławski, człowiek namiętny, ognisty, lecz ogromnie niespokojny i niecierzący się dobrą opinią, popularnym stał się Jan Czyński, zwolennik środków gwałtownych, rewolucyjnych, a dalej Krępowiecki, Płużański i kilku innych. Wszyscy oni energicznie krytykowali istniejący stan rzeczy i w ludzie stołecznym podniecali niezadowolenie, zapalili uczucia oburzenia i gniewu.

W tym samym czasie na widowni publicznej uka-

zał się generał Krukowiecki, mianowany po bitwie grochowskiej gubernatorem Warszawy. Wskutek nieporozumień ze Skrzyneckim i rządem Krukowiecki urząd swój złożył i od tej pory stał się zagorzałym przeciwnikiem zarówno naczelnego wodza, jak i członków rządu. Był to starzec bystry i niepozbawiony zdolności, ale próżny i przewrotny. Widział on, że w istniejącym położeniu wszystkie władze są zachwiane, i przewidywał katastrofę. Ambitny, chciwy w najwyższym stopniu władzy, a przytym najlepszego mniemania o sobie, zamarzył o pochwyceniu w swe ręce steru powstania. Na stanowisku gubernatora wykazał dużo energii i postępowaniem śmiałym a przedsiębiorczym umiał zyskać zaufanie mas ludowych stolicy. Złożywszy urząd, przyłączył się do niezadowolonej rzeszy, potakiwał wszelkiej krytyce, zarzucał Skrzyneckiemu zdradę, rządowi — nieudolność, przysięgał, że niech tylko władzę w swe ręce pochwyci, a natychmiast załatwi się ze zdrajcami. Przeciwno układom, o których coraz głośniejsze w Warszawie mówiono, piorunował zawzięcie, beczynność na polu bitwy przedstawiał jako zbrodnię. Stary intrygant zaręczał naprawo i nalewo, że po dojściu do władzy wszystko z gruntu odmieni. Urzędników i generałów niezdolnych obiecywał niezwłocznie usunąć, tych zaś, co w polu lub na urzędach wykazali złą wolę, przykładnie ukarać. Nadto miał się otoczyć ludźmi młodem, śmiałymi, a zdolnymi odpowiedzieć wielkim potrzebom chwili. Gdy mu zwracano uwagę, że na takie rządy Sejm nie pozwoli, odgrażał się, że kraju zgubić nie da i Sejm potrafi rozpedzić. A że nieprzyjacieli zbliżał się do Warszawy, więc mówił

dużo o jej obronie, zapewniając, że raczej wysadzi ją w powietrze, niż odda Paskiewiczowi...

Krukowiecki umiał pozyskać Lelewela, usidłał wybitniejszych członków klubu, Czyńskiego i Krępowieckiego, potrafił natchnąć wiarą w swą wielkość Nabelaka, a nawet Mochnackiemu zdołał zawrócić głowę.

W oczach tych ludzi Krukowiecki stał się mężem opatrnościowym, jedynym człowiekiem, który może uratować sprawę. Młodzież rewolucyjna, biorąc jego zaklęcia i przysięgi za dobrą monetę, obiecała mu swoje poparcie.

Mówiono o gwałtownym wstrząśnieniu i manifestacji rewolucyjnej, która miała obalić rząd dotychczasowy i na czele powstania postawić Krukowieckiego. W dniu 18 sierpnia miały wybuchnąć rozruchy i w dziejach rewolucji listopadowej nową zapoczątkować erę.

Lecz wybuch nastąpił prędzej i niezależnie od woli zwolenników Krukowieckiego...

Struna cierpliwości publicznej była przeciągnięta, wzburzenie dochodziło szczytu. **N o w a P o l s k a**, będąca organem Towarzystwa Partijotycznego, w najostrzejszych wyrazach krytykowała działalność generałów, szarpała rząd, gradem potępień miotała w członków Sejmu, zarzucając im, że, nie przeprowadziwszy reformy włościańskiej, pozbawili powstanie najważniejszej siły: siły mas ludowych. Z trybuny Towarzystwa również padały namiętne oskarżenia pod adresem władz istniejących i złowrogi okrzyk: „zdrada!“ coraz częściej rozlegał się w salach posiedzeń i coraz częściej słyszany był na ulicy. Huczała

Warszawa, szemrał lud i coraz większym zapalał się gniewem.

W takim usposobieniu zastał stolicę dzień 15 sierpnia...

Dnia tego wieczorem tłum świąteczny zebrał się na placu Krasińskich i rozprawiał żywo o grożącym stolicy niebezpieczeństwie. Dużo osób, idących do teatru, przyłączyło się do tłumy i ciekawie nadstawiało ucha. Mnóstwo wieści i plotek podawano sobie, a z ust do ust krążyła pogłoska, że Towarzystwo Partyjotyczne zamierza przedsięwziąć jakieś kroki stanowcze. Rozdawano niewiadomo przez kogo sporządzone listy zdrajców, pokazywano sobie afisze, na których widniała szubienica, a pod nią nazwiska wielu najwybitniejszych osobistości. Ks. Czartoryski, Skrzynecki, Barzykowski i inni na liście tej figurowali...

Wszystko to spowodowało, że tłumy pociągnęły na posiedzenie Towarzystwa i, gwarne, wzburzone, czekały rozpoczęcia obrad.

Po zagajeniu zebrania przez Czyńskiego, głos zabrał Płużański i, omawiając położenie obecne, w najostrzejszych słowach godził w Skrzyneckiego. Wzywał on zebranych, aby udali się na posiedzenie rządu i zażądali postawienia Skrzyneckiego przed sądem...

— Wojsko — wołał Płużański — chce się bić i pewne jest zwycięstwa, ale wodzowie do walki żołnierza prowadzić nie chcą. Zdrada! zdrada!...

— Zdrada! — powtórzyły tłumy i okrzyk ten wyleciał z sali obrad, dostał się na ulicę i niby pierwszy grzmot, zwiastujący burzę, gruchnął po całej Warszawie.

Po Płuckim przemawiał ksiądz Puławski i namiętną, ognistą mową rozkołysał i rozpałił wzburzone namiętności. Okrzyki „zdrada!“ i „na rząd! na rząd!“ grzmiały coraz groźniej i coraz gwałtowniej. Wówczas Czyński zaproponował, aby wybrano deputację, która miała zażądać od rządu wyjaśnień, a przede wszystkim dowiedzieć się, dla czego Skrzynecki, acz pozbawiony dowództwa, pozostaje przy wojsku i dla czego armja, zamiast walczyć z nieprzyjacielem, do Warszawy wraca. Wniosek został przyjęty, wybrano deputację, a na jej czele stanęli ks. Puławski, Czyński i Płucki...

Deputacja opuściła salę obrad i skierowała się ku pałacowi namiestnikowskiemu, gdzie rząd odbywał posiedzenia. Za deputacją pociągnęły tłumy, zgromadzone na placu Krasińskich, i olbrzymia masa ludu groźna i gniewna otoczyła miejsce obrad rządu.

Tymczasem delegaci wtargnęli do pałacu i, stanawszy przed członkami rządu, wyjaśnili cel swego przybycia. Ksiązę Czartoryski zapewnił deputację, iż nie dopuści do niczego takiego, co by splamić mogło honor narodu, że położenie jest trudne, ale bynajmniej nie rozpaczliwe, że jeżeliby nie udało się wojskom polskim zwyciężyć, to nieprzyjaciół, wszedwszy do Warszawy, nic prócz popiołu i zgliszczy nie zastanie. Barzykowski starał się przekonać deputację, że postępowanie Towarzystwa jest niewłaściwe i wystąpieniem swoim zaostrzył sytuację. Deputacja jednak, nie postawiwszy żadnych żądań i nic nie zdziaławszy, poprzestała na tych ogólnikowych zapewnieniach i, opuściwszy pałac rządowy, zaniósła odpowiedź ludowi.

Ale lud uspokoić się nie dał. Odpowiedź rządu dolała oliwy do ognia i tłumy coraz głośniej hałasowały. Ktoś krzyknął:

— Na zamek!

W zamku osadzeni byli podejrzani o należenie do spisku generałowie. Wnet liczne głosy pochwyciły owo hasło i z tysiącznych piersi wydobył się potężny okrzyk:

— Na zamek! śmierć zdrajcom!...

Złorzęcąc i hałasując, na plac Zamkowy popłynęły tłumy i, huczące a groźne, jak wichrem szarpana fala, rozlały się po placu.

— Śmierć zdrajcom! Śmierć zdrajcom! — wołano nieustannie. I otoczono zamek.

Niebawem warta, stojąca na straży, pierzchła, drzwi zatarasowane pękły i tłum jak pocisk kary i zemsty wtargnął do wnętrza. Najpierw padł ofiarą sprawca swoich i naczelnego wodza błędów generał Jankowski, a później reszta uwięzionych. Dali więc gardła generałowie Bukowski i Sałacki, szambelan Fanshave, Rosjanka Bazanowa, urzędnik banku Bentkowski, wreszcie generał Hurtig, były komendant Zamościa, srogi i okrutny prześladowca więźniów, oddawanych mu pod opiekę. Trupy wywleczono z zamku i powieszono niebawem na latarniach.

Po tej egzekucji rozległy się okrzyki:

— Wieszac szpiegów!

W pobliżu rogatek wolskich znajdowało się więzienie, w którym osadzono słynnych szpiegów z czasów W. Ks. Konstantego. Wzburzony tłum ruszył ku rogatom i niebawem obficie krew popłynęła. Szyją

przypłacili swoje rzemiosło szpiegowie: Szlej, Makrot, Grünberg, Szymanowski i wielu innych, nie doczekała świtu szajka defraudantów i oszustów, oczekujących wyroku sądowego...

W chwili, kiedy tłumy rozprawiały się ze szpiegami, prezes rządu ks. Czartoryski, przebrany w mundur oficerski, śpieszył konno do obozu, bo w Warszawie nie czuł się bezpiecznym. Przy rogatek chciano go zatrzymać. Ale księżę spiął konia ostrogami i skrył się w ciemnościach. Kilka kul świsnęło mu koło uszu, lecz żadna nie dosięgła...

Tymczasem pozostali członkowie rządu, widząc, co się w mieście dzieje, potracili głowy. Lelewel zaraz po przyjeździe deputacji klubu opuścił salę obrad, księżę Czartoryski ukrył się w obozie, Barzykowski zaś twierdził, że wszyscy członkowie rządu powinni się podać do dymisji. W gruncie rzeczy rząd był już rozwiązany i żadna siła nie mogła go dłużej przy życiu utrzymać. Ponieważ jednak trzeba było coś postanowić i władzę jakąś stworzyć, zdecydowano się tedy prosić Krukowieckiego, aby objął urząd gubernatora.

Istotnie miał on popularność w mieście i w tej chwili wydawał się najodpowiedniejszym na to stanowisko.

Krukowiecki skorzystał ze sprzyjających mu okoliczności i odrazu wypłynął na widownię jako osoba najwidoczniejsza. W dwa dni później Rząd Narodowy egzystować przestał, a Sejm, straciwszy w oczach ogółu wszelką powagę, również na Krukowieckiego zwrócił swe oczy i w jego popularności szukał

i oparcia dla siebie i ratunku upadającej sprawy powstania.

Dnia 17 sierpnia Krukowiecki został ogłoszony prezesem rządu. Sejm dał mu władzę wielką, prawie dyktatorską...

W ten sposób krwawa noc 15 sierpnia ziściła marzenia przebiegłego starca. Dorwał się on do władzy przedtym jeszcze, nim zdążyli władzę tę przygotować jego zwolennicy.

Wybór był okropny: w rękach Krukowieckiego miało skonać dzieło listopadowe...

I skonać musiało. Krukowiecki należał do ludzi, dla których wyniesienie się osobiste jest jedyną ambicją. Aby otrzymać władzę, robił on wszystko, a we wszystkim nie sprawę, lecz siebie miał na widoku. Deklamował o swym przywiązaniu do ojczyzny, piorunował przeciw układom, zaklinał się na siwe włosy i przysięgał, że ukarze zdrajców, co swym niedołęstwem cały naród postawili nad przepaścią zginienia. Ale w duszy swej knuł zdradziecko plan inny. Podobnie jak i Skrzynecki, nie wierzył i on w skuteczność dalszej walki, lecz myślał o zagajeniu układów. Siły powstania były jeszcze poważne, walka prowadzona z postanowieniem: „zginąć lub zwyciężyć“ musiała zmienić postać rzeczy i rząd rosyjski uczynić skłonniejszym do ustępstw. Na te ustępstwa liczył nowy prezes rządu i powstanie spodziewał się układami zakończyć. Był pewien, że te układy i jemu zabezpieczą przyszłość, wyniosą go może na stanowisko wielkorządcy w Królestwie, oczywiście w Królestwie pod władzą Mikołaja. Ale z zamiarami takimi nie mógł się zdradzać przed czasem. Noc 15

sierpnia była krwawą przestrogą, a przecież tej nocy zawdzięczał Krukowiecki władzę. Więc w pierwszych dniach swoich rządów nie przestał grać roli, której zawdzięczał swe wyniesienie.

Wprawdzie obietnic nie dotrzymał, na stanowisko wiceprezesa rządu powołał Bonawenturę Niemojowskiego, co przypominało rząd dawny, bo Niemojowski należał do stronnictwa, które w rządzie pięcioletnim, reprezentowane przez jego brata Wincetego i Teofila Morawskiego, straciło zaufanie i popularność, a wszelkiej łączności z dawnym rządem stanowczo należało unikać. Ale obok tego przejawiał Krukowiecki sporo energii i czynności. Skrzynekciemu rozkazał armję opuścić; Dembińskiego pozbawił naczelnego dowództwa i oddał je gien. Małachowskiemu. Wybór był nieszczególny, bo Małachowski, człowiek stary i niedołężny, bez wyższych zdolności, nie miał odpowiednich kwalifikacji, by armją dowodzić, ale że nikt z innych generałów, nie wyłączając Prądyńskiego, nie czuł się na siłach objąć w obecnym położeniu dowództwo naczelne, więc wyboru nie było. Co do młodych i śmiałych ludzi, którymi miał się Krukowiecki otoczyć, to uczynił on to, ale z wielką ostrożnością, gdyż rozumiał dobrze, iż zamiary jego nie dogadzają widokom rewolucjonistów. Bał się ich przebiegły starzec i w miarę tego, jak zamiary swoje ujawniał, oddalał od siebie niedawnych sprzymierzeńców, a później nawet kazał ich szpiegować. Jednakże mimo to wszystko czynność, jaką Krukowiecki w pierwszych dniach po objęciu władzy rozwijał, dobre uczyniła wrażenie. Umysł

się uspokoiły, stronnictwa przycichły, powracał ład i porządek, ufność na nowo wstępowała w serca.

Taki stan rzeczy wyraźnie wskazywał Krukowieckiemu drogę, którą należało kroczyć...

Mógł on podobnie, jak w swoim czasie Chłopicki, natchnąć stolicę i wojsko niezłomną chęcią walki, mógł zażądać największych ofiar, a wszystko świadczyło, że głos jego będzie usłyszany.

Ale prezes rządu nie wierzył w skuteczność walki i z innemi zamiarami obejmował władzę. Wszakże rozumiał, iż położenie jest trudne i zamiary te łatwo urzeczywistnić się nie dadzą. Mniej lub więcej znaczne powodzenie, osiągnięte na polu bitwy, ułatwiałoby ogromnie układy i wymaganiom ze strony polskiej nadawało powagi.

Więc Krukowiecki zaraz w kilka dni po objęciu władzy zwołał radę wojenną i w myśl uchwały, która na tej radzie zapadła, zdecydował się na ruch zaczepny przeciw generałowi Rosenowi. Ten ostatni stał ze swoim korpusem na prawym brzegu Wisły pomiędzy Siedlcami a Brześciem Litewskim, a znaczna odległość od głównych sił rosyjskich stanowisko tego korpusu czyniła wysoce niebezpiecznym.

Wyprawa przeciw Rosenowi miała wszelkie szanse powodzenia, ale Warszawa była zagrożona przez Paskiewicza, a w takich okolicznościach osłabianie załogi stołecznej było krokiem wysoce ryzykownym. Nie bacząc na to, zdecydowano jeszcze wyprawić całą dywizję w województwo płockie, by z tego województwa, niewyniszczonego dotąd przez wojnę, czerpać zapasy żywności, a zarazem znieść drobne oddziały ro-

syjskie, śpieszące przeprowić się na drugi brzeg Wisły w celu połączenia się z Paskiewiczem.

W Płockie wysłano gien. Łubieńskiego, a przeciwko Rosenowi — generała Ramorino.

Ten ostatni miał pod sobą 20.000 najlepszego wojska. Był to cudzoziemiec, z pochodzenia Włoch, dobry żołnierz, ale nie znający kraju i na los jego najzupełniej obojętny. Do Polski przybył, wiedziony żądzą przygód i sławy, na nieszczęście powstania jedynie karjera popchnęła go w szeregi wojsk polskich.

Ramorino zdradził pokładane w nim zaufanie i zaraz na początku wyprawy wykazał tyle nieudolności, że ksiązę Czartoryski, który w tej wyprawie brał udział w charakterze świadka, napisał do Krukowieckiego list ostrzegawczy. Na skutek tego listu Krukowiecki polecił Prądyńskiemu połączyć się z Ramoriną i wesprzeć go swoją radą. A Prądyński, zamiast zażądać naczelnego dowództwa nad całym korpusem, przyjął narzuconą mu rolę doradcy i natychmiast wyjechał do obozu. Byстрыm swoim umysłem ocenił on zaraz sytuację i, korzystając ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, które, mimo popełnione dotychczas błędy, pozwalały jeszcze na pobicie Rosena, ułożył plan odpowiedni. W myśl tego planu podzielono korpus na dwie kolumny, które jednocześnie miały się zejść pod Międzyrzeczem i otoczyć obozujące tam wojska Rosena. Nad jedną z tych kolumn objął dowództwo Ramorino, nad drugą — Prądyński. Prądyński postąpił stosownie do umowy, ale Ramorino, podobnie jak Skrzynecki, mający w swoim czasie stanąć pod Iganiami, ani myślał

o wykonaniu planu. Skutkiem tego wyprawa nie osiągnęła celu i Rosen uszedł cało. Prądyński po żywej sprzeczce z generałem Ramorino opuścił armję i powrócił do Warszawy. Zrozpaczony wynikiem wyprawy, zniechęcony, zgorzkniały, stracił całą energję, podupadł na duchu i zwątpił o wszystkim.

Tymczasem Paskiewicz pierwszy nawiązał rokowania.

Krukowiecki ze strony polskiej Prądyńskiego przeznaczył na negocjatora. Niestety Prądyński podjął się tej misji i dnia 4 września traktował z generałem rosyjskim Dannenbergiem, który nie szczędził obietnic i wszelkich gwarancji, byle tylko rząd polski uznał cesarza Mikołaja.

Krukowiecki nie przeciw temu warunkowi nie miał i usilnie obstawiał za dalszym prowadzeniem układów, ale większość ministrów stanowczo myśl tę odrzuciła.

Wobec tego najenergiczniej należało przygotować się do obrony.

Dnia 5 września armja rosyjska otoczyła stolicę, a główne siły stanęły naprzeciw Woli. 86 000 ludzi i 438 armat przywiódł ze sobą Paskiewicz. Ale wojsko rosyjskie w posępnym milczeniu spoglądało na wznoszące się przed nim szançe, a w mieście osaczonym widziało ponurą otchłań wielkiego grobu. Wyobrażano sobie, że stolica jest podminowana, na każdy dom patrzano, jak na fortecę. Na polach Grochowa, Igań i Ostrołęki Polacy wykazali tyle męstwa i odwagi, że w obozie rosyjskim nie spodziewano się łatwego zdobycia stolicy.

Istotnie Warszawa pod rządem silnym i energicz-

nym mogła stać się grobem dla nieprzyjaciela. 50.000 piechoty przed odkomenderowaniem Ramoriny miała stolica do obrony, 10.000 jazdy było na usługi oblężenia, a ziemie po prawym brzegu Wisły mogły dostarczać potrzebnej żywności. Nadto był w mieście lud, głodny walki i zemsty. Wszystko, co żywiej czuło, cierpiało, pragnęło, gotowe było stanąć na okopach i walczyć do ostatniego tchnienia. Ale Krukowiecki osłabił garnizon Warszawy, nie natomiast dla jej wzmocnienia nie czynił. Wojsku rozkazów nie wydawał, ludu nie uzbrajał, barykad nie budował, pragnących walczyć nie prowadził na szanice.

A Małachowski, starzec niedołężny, nie wiedział, jak kierować obroną.

— „Na łożu śmierci utrzymywać będę — mówił w parę lat potem generał Bem — że Warszawa była nie do wzięcia“.

Ale by szturmie zwycięsko wytrzymać — a kilka nieudanych szturmów było stanowczą klęską dla armji rosyjskiej — aby odeprzeć zamach na tę piędź ziemi, która teraz stawała się całą Polską, trzeba było, zdaniem Bema, komendy...

Niestety, nie miał kto już i obroną kierować...

Byli poszczególni dowódcy, lecz ogólny kierunek wszelkich działań wziął w swe ręce Krukowiecki — nie było przeto naczelnego wodza...

Bo Krukowiecki o obronie nie myślał...

XII.

OBLĘŻENIE WARSZAWY.

Dowództwo nad prawą stroną linii fortyfikacyjnej, idącej od Wisły przez Marymont, Powązki i Wolę, objął gien. Dembiński; lewą stroną, ciągnącą się od Woli przez Rakowiec, Królikarnię i Czerniaków, dowodził gien. Umiński.

Na tej szesnastowiorstowej przestrzeni rozlokowano 30.000 wojska i 92 działa artylerji konnej, które podczas szturmów miały śpieszyć z pomocą na punkty najbardziej zagrożone.

Linja obronna Warszawy, tworząca półkole, dotykająca swemi kończynami Wisły, opasana była dwoma rzędami baterji. W środku tego półkola, na gruncie Woli, wznosiła się fortyfikacja No 56. Fortyfikacja ta, wysunięta naprzód, jak strażnica, a otoczona głębokim rowem i okopami wysokości 12 stóp, miała w swym obrębie kościół i cmentarz, okolony wysokim murem. W murze porobiono strzelnice, a całą fortyfikację ze względu na jej ważną pozycję wzmocniono staranniej, niż inne...

Dostęp do tej placówki osłaniał wysoki szaniec No 57 i reduta No 54.

Woli bronił generał Sowiński.

Był to stary weteran, nieczynny dotąd w szeregach, bo kalectwo nie pozwalało mu na to: w roku 1812, w bitwie pod Możajskiem kula armatnia urwała mu nogę. Sowiński pracował w ministerjum wojny, gdy jednak nieprzyjaciół osaczył Warszawę, stary wojak sam udał się do Małachowskiego i prosił o dowództwo w punkcie najniebezpieczniejszym.

Małachowski powierzył mu Wolę.

Obrona tej pozycji wymagała co najmniej czterotysięcznej załogi, ponieważ jednak wojsk było mało, a nikt w obozie polskim nie przypuszczał, by szturm rozpoczął się od Woli, przeto Sowińskiemu dano wszystkiego trzy bataljony, liczące razem 1.300 żołnierzy. Jednym z tych bataljonów dowodził Piotr Wysocki, niedawno podporucznik grenadierów gwardji, obecnie podpułkownik w X pułku piechoty.

Sowiński, acz doskonale zdawał sobie sprawę, że siły jego są słabe, by szturm odeprzeć, zapewnił wodza, że, póki żyw, fortyfikacji nie odda.

Na słowie starca można było polegać.

W pamiętnym a krwawym dniu 6 września wojska rosyjskie już o godz. 4 zrana posunęły się naprzód. Generał Umiński, zwiedziony fałszywemi obrotami, był pewien, że przeciwko niemu główne uderzenie szykuje nieprzyjaciół. Stał więc na zajętych stanowiskach nieporuszony i choć wkrótce wyjaśniło się, że punktem najbardziej zagrożonym jest Wola, — Umiński ucierał się z niewielkimi siłami Rosjan i na Wolę z pomocą nie śpieszył...

Małachowski nie zorientował się w sytuacji, nikt więc nad całością obrony nie czuwał.

Tymczasem 100 dział rosyjskich zbliżyło się do

fortyfikacji, osłaniających Wolę, i w ciągu dwu godzin sypało na nie ulewnym deszczem ognia i żelaza. A gdy fortyfikacje zostały uszkodzone, korpusy generałów Kreutza i Pahlana ruszyły do szturm...

Rosjanie opanowali najpierw szaniec No 55, który dla braku wojsk pozostawiony był bez załogi. Z szanca tego gien. Geismar poprowadził kolumny ku reducie No 54. Jednocześnie zaś ku temusamemu punktowi od frontu posuwał się ze znacznymi siłami generał Sulima.

Tylko pół bataljonu broni zagrożonej placówki, ale broni jej dzielnie.

Reduta grzmi, błyska, sypie kartaczami i jak dygniąca skała opiera się szturmującym falom. Zbliżają się Rosjanie i z dwu stron otaczają redutę. Ale kto zdoła wdrzeć się na wały, ten ginie od kuli, lub, rażony bagnetem, pada z rozkrzyżowanymi rękoma na ciała swych towarzyszy. Stosy trupów tworzą się wokoło szanca. Ale po trupach postępują Rosjanie — i niby mrowie zalegają zbryzgane krwią okopy. Sroży się nierówna walka, lecz garstka walecznych ulega wkońcu przemocy i piechota rosyjska z okrzykiem: „hurra!“ wpada do wnętrza.

Witają ją skrwawione bagnety i bój morderczy wszczyna się na nowo.

Nagle kłęby białego dymu wznoszą się nad zdobytą placówką, błyskawica ognia otacza okopy, ogłuszający huk rozdziera powietrze. Drży reduta, chwieje się, kołysze, rozpada, — poczym ze strasznym gruchotem, w tumanach dymu i blaskach pożarnych, jak słup ognisty ulatuje w niebo...

To lont zapalony rzucono do magazynu amunicyjnego.

Prochy eksplodowały — i zarówno zdobywcy, jak obrońcy, żywi i umarli, działa, broń, wszystko, co znajdowało się w reducie, zginęło pod gruzami lub, wyrzucone w powietrze, jako gruz powróciło na ziemię.

Tego czynu bohaterskiego, jak utrzymywano później, dokonał porucznik artylerji Ordon, uwieczniony w znanym powszechnie wierszu Mickiewicza. Przywiedziony do rozpacz strataj reduty, wysadził ją w powietrze i uczynił z niej cmentarz dla siebie, swoich i nieprzyjaciół...

Z kolei zaatakowali Rosjanie szaniec No. 57.

Stu trzydziestu żołnierzy broniło tego szanecz z rozpaczą i wściekłością. Ale tysiączne masy jak nieprzenikniona chmura przywarły do szanecz i formalnie załaly obrońców. Wszczęła się straszna rzeź, bo do ostatniego tchu walczyli oblężeni i prawie co do nogi legli na posterunku...

Wówczas artylerja rosyjska zbliżyła się do głównej fortyfikacji.

Rozpoczęła się okropna kanonada i trwała całą godzinę. Grzmoty za grzmotami nieprzerwanym ciągiem huczały w przestworzach. Noc uczyniła się od dymów, powietrze rozgorzało od ognia, ziemia rozedrgała od lecących po niej z sykiem i świstem granatów. Naraz działa rosyjskie przycichły. Dymy opadły, a wtedy żołnierze, stojący na szanecach, ujrzeli idące do szturm kolumny. Zrobiła się cisza. Ku obrońcom Woli szła śmierć i szybkim zbliżała się krokiem...

Z trzech stron zagrożano fortyfikacji.

Generał Lüderson z pułkami morskimi posuwał się ku prawej stronie okopów; generał Martynow z połową korpusu Pahlena szedł ku środkowi, a na lewą stronę fortyfikacji wiódł trzy pułki generał Berg...

Świsnęły kartacze Woli, ale za mało armat posiada Sowiński, aby powstrzymać szturmujących. Więc Rosjanie posuwają się naprzód, dosięgają wałów, rzucają w rowy faszyny, wory i kosze, wypchane słomą, przystawiają drabiny, podsadzają się na bagnietach i, choć wielu z nich ginie, drą się nieustannie na wały. Szturm po szturmie odpierają Polacy — i wysiłki generałów Lüdersona i Martynowa idą na marne. Ale część X pułku piechoty, broniąca lewej strony fortyfikacji, ujrawszy dwanaście bataljonów, prowadzonych przez generała Berga, opuściła szance i cofnęła się poza drugą linię obronną. Ten ruch, podyktowany tchórzostwem czy też zdradą komendującego oficera, rozstrzygnął o losie walki. Berg wtargnął do środka fortyfikacji i zajął tyły broniącym się wojskom. Trzeba było się cofać. Skorzystały z tego kolumny Martynowa i przekroczyły wały, tak uporczywie dotąd bronione. Niebawem dwadzieścia kilka bataljonów otoczyło ze wszystkich stron trzy bataljony polskie...

Sowiński gromadzi wkoło siebie żołnierzy i broni się do upadłego. W walce tej ranę odnosi Piotr Wysocki i dostaje się do niewoli.

Stary weteran dotrzymał słowa: do ostatniego tchu bronił powierzonej mu placówki i śmiercią bohaterką obronę tę przypieczętował.

Zdobycie Woli przynębiający wpływ wywarło

na umysły. Starsi wojskowi wąpili o skuteczności dalszej obrony — i z chwilą tą los Warszawy został rozstrzygnięty. Wprawdzie Małachowski próbował odebrać utracone stanowisko, ale bezskutecznie. Czwarty pułk piechoty, przeznaczony do wydarcia Woli Rosjanom, z furją ruszył do szturm i, kilkakroć odparty, po kilkakroć ponawiał ataki, pozostawiony jednak sam sobie, nie mógł przełamać dziesięciokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela. Posiłki przybyły za późno — i Wola pozostała w rękach Paskiewicza.

Krukowiecki zupełnie podupadł na duchu. Położenie istotnie było krytyczne, groźne — i tylko wielki hart mógł jeszcze uratować stolicę. Należało, nie tracąc jednej chwili, odwołać się do ludności miasta, przedstawić jej istotne położenie, dostarczyć broni i całą Warszawę sfanatyzować myślą o dalszej walce. Trzeba było uderzyć w uczucia, które szukały dla siebie ujścia w czynie i wezwania do tego czynu czekały nadaremnie. Lecz Krukowiecki ani myślał o tym. Nawet w tej strasznej chwili nie znalazł w sobie jednej isierki energii i zapału. Zamiast myśleć o ostatecznych środkach ratunku, Krukowiecki zwołał ministrów i oświadczył im, że po stracie Woli dalsza obrona jest niemożliwa, wobec czego układy należy wznowić. Ministrowie również nie wzniesli się na wysokość położenia, lecz zawierzili Krukowieckiemu na słowo i upoważnili go do zapytania Paskiewicza, na jakich warunkach może traktować z narodem polskim...

Misję tę powierzono Prądyńskiemu. I ten dzielny generał, którego miejsce było na wałach, podjął się

owej misji i nazajutrz o godz. 5 zrana udał się do obozu rosyjskiego. Paskiewicz przyjął go gniewnie i szorstko. Zamiast jakiegokolwiek odpowiedzi chciał wiedzieć, czy cesarz Mikołaj jest królem polskim w oczach Krukowieckiego. Rozmowa skończyła się tym, iż nieszczęsny Prądyński napisał deklarację, w której oświadczał, że prezes rządu polskiego wraz z całym narodem zamierza dokonać aktu posłuszeństwa. Otrzymawszy taką deklarację, Paskiewicz zażądał widzenia się z Krukowieckim.

Tegoż dnia o godz. 9 zrana odbyło się spotkanie w karczmie pod Wolą.

Podczas rozmowy doszło do żywej sprzeczki, bo zarówno Paskiewicz jak Krukowiecki nie hamowali swojego gniewu. Krukowiecki twierdził, że nie ma upoważnienia od Sejmu, by układy prowadzić, więc skończono na tym, iż wódz rosyjski zobowiązał się wstrzymać działania wojenne do godz. 1 w południe, Krukowiecki zaś miał przed tą godziną wyjednać potrzebne upoważnienie i rozpocząć układy.

Rada ministrów z wyjątkiem Bonawentury Niemojowskiego i Morawskiego, którzy się podali do dymisji, zaakceptowała czynności Krukowieckiego. O g. 10 rano zebrał się Sejm i rozpoczął gadatliwe obrady. Dyskutowano, jak za najlepszych czasów, i dopiero grom trzystu dział rosyjskich, które odezwały się o godz. 1½, wymógł na Sejmie decyzję. Krukowiecki otrzymał upoważnienie — i natychmiast znowu za pośrednictwem Prądyńskiego zagał układy. Ostateczne warunki, jakie uzyska od Paskiewicza, miał przedstawić do zatwierdzenia Sejmowi...

Tymczasem działa rosyjskie grzmiały nieprzerwa-

nie. Na całej linii wzniesionych fortyfikacji toczył się bój zawzięty. Żołnierze i oficerowie rang niższych wszędzie wypełniali swoją powinność, walczyli z męstwem, umierali z determinacją. Ale nie było naczelnego wodza, nie było zwierzchniczej komendy. Rozkazy Małachowskiego krzyżował rozkazami swemi Krukowiecki, a dość powiedzieć, że jeszcze przed otrzymaniem odpowiedzi Paskiewicza polecił korpusowi Umińskiego cofnąć się na Pragę.

Anarchja wkradła się w szeregi, żołnierz, walczący bez nadziei, stawał się męczennikiem, z rozpaczą szedł w ogień i z rozpaczą szance opuszczał. W takich warunkach Rosjanie w przeciągu kilku godzin zdobyli drugą linię fortyfikacyjną i bezpośrednio zaczęli zagrażać stolicy. Już przedmieścia ogarnął pożar...

Wtedy Krukowiecki, niepomny na swoje zakłęcia i przysięgi, napisał list do Mikołaja i, kołatając do jego „ojcowskiego serca“, oddawał bez żadnych zastrzeżeń cały naród na łaskę cesarza.

List ten, jako dowód swoich intencji i usposobienia, odesłał Paskiewiczowi. Podjął się zawiezienia tego listu Prądyński, który jako wojskowy doskonale zdawał sobie sprawę, że Warszawy obronić już nie można.

Zaszła jednak rzecz niespodziana.

Oto generał Małachowski, widząc cofające się wojska przed ukończeniem walki, wpadł do izby poselskiej i, zastawszy tam marszałka Ostrowskiego, który w przerwie pomiędzy jednym a drugim posiedzeniem naradzał się z kilkoma posłami, zawołał:

— Panowie, ratujcie ojczyznę, bo Krukowiecki ją zdradza.

Ostrowski pośpieszył do Krukowieckiego i zażądał pokazania sobie warunków, przesłanych Paskiewiczowi. Krukowiecki przyjął Ostrowskiego z najwyższym gniewem.

— Słuchaj tej kanonady, — wołał prezes rządu, — patrz na przedmieście gorejące, tak Paskiewicz na moje propozycje odpowiada.

Ale ostatecznie Ostrowski dowiedział się prawdy. Wówczas oburzony marszałek zażądał od Krukowieckiego, by zgłosił swoją dymisję, i, nie czekając na odpowiedź, pobiegł do pałacu rządowego, zgromadził w jednej z sal tylu członków Sejmu, ilu ich było w pobliżu, i podzielił się z nimi otrzymaną od Krukowieckiego wiadomością. Mowa Ostrowskiego podzielała piorunująco. Wzruszeni członkowie Sejmu udzielili dymisji Krukowieckiemu i na stanowisko prezesa Rządu Narodowego wynieśli Bonawenturę Niemojowskiego.

Gdy Prądyński wraz z generałem rosyjskim Bergiem powrócił do Warszawy, by skończyć ostatecznie układy, nie zastał już dawnego rządu ani Krukowieckiego u steru władzy. Niemojowski nie chciał traktować z pełnomocnikiem Paskiewicza. Doszło do gorszących scen wobec generała Berga. Przywołano Krukowieckiego, by dokończył dzieła, które rozpoczął, i ów akt poddania podpisał. Krukowiecki przybył rozniewany, krzyczał, groził, pieniał się, jak wściekły, wreszcie oświadczył, że ponieważ prezesem rządu już nie jest, przeto nic podpisywać nie będzie. Skończyło się na tym, że kapitulację podpisał generał Małachowski. Kapitulacja ta oddawała Warszawę Paskiewiczowi, z tym jedynie zastrzeżeniem, że wojsko pol-

skie, wszelkie władze i wszyscy mieszkańcy, co chcieliby opuścić stolicę, otrzymają 48 godzin czasu.

Tymczasem Krukowiecki dosiadł konia i chciał dostać się na Pragę, gdzie gromadziły się wojska polskie, ale strażę, strzegącą mostu, nie przepuściły go.

Więc wrócił do Warszawy i zamknął się we własnym mieszkaniu...

A nieszczęsny Prądyński, który osobą swą ręczył, że Krukowiecki ma pełne prawo do zawarcia układów, wraz z generałem Bergiem powrócił do obozu rosyjskiego i dobrowolnie oddał się w ręce Paskiewicza.

Nastąpiła noc, ponura noc z dnia 7 na 8 września...

Łuny płonących przedmieść oświeślały stolicę, czarne dymy zwisały nad miastem. W blasku pożarnym jak cienie krzatali się mieszkańcy. Kto czuł żywiej i głębiej, a zwycięzcom oddać się nie chciał, w czyich piersiach tłała iskra nieokreślonej nadziei, ten pakował trochę drobiazgów i z węzełkiem podróżnym na plecach uchodził na Pragę, by połączyć się z wojskiem. Rozdzierające sceny rozgrywały się wszędzie, na każdym kroku słyszeć było jęki, szlochania, przekleństwa. Rozpacz chodziła po ulicach, z każdego domu wiało zniszczeniem i żałobą. Miasto, nawiedzone klęską, wiło się od bólu, łkało rozdzierającym głosem, wybuchało złorzeczeniem. Okrzyk: „Zdrada!“ leciał z ulicy w ulicę i krew mroził w żyłach. Lecz czas naglił. Więc ludzie żegnali się, jak przed skonem, wyrywali się z objęć rodzin — i ze łzą w oku opuszczali Warszawę.

Wszystko w największym nieporządku tłoczyło się na Pragę...

Jazda, piechota, artylerja, członkowie Rządu i Sejmu,



IGNACY PRĄDZYŃSKI

mninistrowie, urzędnicy, mnóstwo ranionych, a ledwo
wvlokących się o własnej sile żołnierzy, starcy, dzieci,
kcobiety, wszystko to, niesione żalem lub wściekłością,
boezładnie posuwało się przez most na Wiśle i w bez-
ładnych masach skupiało się na Pradze...

Na drugi dzień, o godz. 7 rano zwycięska armja
Paskiewicza wkroczyła w mury Warszawy...

Powstanie otrzymało cios w samo serce...

ZAKOŃCZENIE.

Poddanie Warszawy było stratą ogromną, w Warszawie bowiem skoncentrowane były magazyny, fabryki i warsztaty, opatrujące wojsko we wszelkie potrzeby, w Warszawie unosił się duch powstania, w Warszawie biło serce rewolucji.

Ta strata, bardzo trudna do powetowania, nie była mimo wszystko klęską, której przy energii i męstwie nie dałoby się naprawić. Tryumf Paskiewicza łatwo mógł się zakończyć porażką. Po stratach, poniesionych podczas szturmów stolicy, armja rosyjska liczyła 80.000 żołnierzy. Z tej liczby 12.000 zmuszony był unieruchomić wódz rosyjski na strzeżenie Warszawy i Pragi, kilkanaście tysięcy musiało osłaniać szosę brzeską i transporty, ciągnące z Brześcia ku Warszawie, inne punkty również wymagały załony, a w ten sposób Paskiewicz nie mógł wyprowadzić w pole więcej, niż 50.000 ludzi.

Wprawdzie główna armja polska zmniejszyła się podczas szturmów Warszawy o 10.000 ludzi, ale po połączeniu się z dywizją generała Łubieńskiego urosła do 30.000. Korpus generała Ramoriny liczył 20.000 najlepszego wojska, korpus Samuela Różyckiego 8.000, załogi Modlina i Zamościa — 10.000. Było tedy jeszcze 70.000 ludzi, dźwigających broń, a z siłą taką wiele

można było dokonać. Obok tego powstanie miało kraj cały na swoje usługi. Litwa i Ruś, ogołocone z wojsk rosyjskich, również mogły przyjść z pomocą i stać się terenem walki. Paskiewicz, zamknięty w Warszawie i zmuszony stać nieustannie na straży swej zdobyczy, był mimo wszystko w położeniu trudnym i kłopotliwym.

Jedno poważniejsze zwycięstwo Polaków mogło zmienić stan rzeczy i wynagrodzić upadek Warszawy. Ale wyżsi wojskowi opuścili bezwładnie ramiona i duch rycerski zamarł w szeregach. Po obozie polskim tłukła się blada rozpacz i zazierała w oczy przerażonym żołnierzom. Gwiazda powodzenia zgasła — i zwątpienie stało się powszechnym. Gdy główna armja skoncentrowała się na Pradze, wszyscy, co bystrzej na rzeczy patrzyli, domagali się pochodu ku korpusowi gien. Ramoriny, bo wtedy połączone siły urastały do 50.000, a więc do liczby, równającej się sile, jaką w najlepszym razie mógł na jednym punkcie zgromadzić feldmarszałek Paskiewicz.

Ale Małachowski, chwiejny i niezdecydowany, pociągnął z wojskiem do Modlina, a Ramorinie posłał rozkaz, by śpieszył połączyć swe siły z główną armją. W obozie polskim znajdowali się członkowie Rządu i Sejmu, ministrowie, urzędnicy, wielu działaczy z Towarzystwa Patryjotycznego, wreszcie mnóstwo osób cywilnych, które opuściły stolicę, by nie dostać się w ręce Paskiewicza. Rozbitkowie ci przewidywali smutny koniec i wrzawą nieustanną powiększali istniejące w szeregach rozpręczenie. W dodatku wódz rosyjski za pośrednictwem gien. Berga prowadził w dalszym ciągu układy i nadzieją zaszczytnej kapi-

tulacji paraliżował powstające w kwaterze polskiej zamiary. Gienerał Berg wykazał wiele przebiegłości dyplomatycznej i sprytu, umiał on łudzić i zwodzić, aby wkońcu przerwać wszelkie pertraktacje i zażądać poddania się bez zastrzeżeń. Bonawentura Niemojowski nie był człowiekiem, zdolnym zapanować nad sytuacją. Władze cywilne zamierały, wojsko szemrało coraz głośniej. Nieudolny Małachowski podał się do dymisji, ale nowy wódz naczelny, gienerał Rybiński, ani chciał, ani umiał zdecydować się na jakiś krok stanowczy. Niezadowolenie, panujące w armji, rosło z dniem każdym, szeregi zaczęły przerezczać dezercja. Gdy wodzem naczelnym ogłoszony został gienerał Umiński, część wojska podniosła taką wrzawę, iż Umiński musiał władzę swą złożyć i znów ustąpić miejsca Rybińskiemu.

Armja polska z Modlina pociągnęła do Zakroczymia, a stamtąd do Płocka. Bliskość granicy pruskiej zaszczepiła zdradliwą myśl w umysłach władz naczelnych i myśl ta jak zaraza jęła toczyć szeregi.

Tymczasem gien. Ramorino ani myślał usłuchać odebranego rozkazu i, zamiast śpieszyć ze swym pięknym korpusem ku głównej sile wojsk polskich, postanowił udać się do Zamościa. Oficerowi, który przywiózł rozkaz naczelnego wodza, tłumaczył, że rozkaz ten jest niemożliwy do wykonania, co było oczywistą i rzucającą się w oczy nieprawdą.

Nadaremnie posyłano mu nowe rozkazy. Ramorino nic sobie z nich nie robił. Przeczuwał on upadek władz wszelkich, wiedział, że nikt go nie pociągnie do odpowiedzialności, więc ani myślał stosować się do rozkazów. Na własną rękę prowadził pertrak-

tacje z generałami rosyjskimi i posuwał się ku Zamściowowi, lecz granicę austriacką miał na widoku.

Ramorino zdradzał — i dnia 17 września przekroczył granicę i piękny swój korpus wydał Austriakom.

Ta haniebną zdrada pociągnęła za sobą nowy a okropny skutek. Wślad za Ramoriną poszedł gen. Różycki i w dziesięć dni później po nieszczęśliwej bitwie pod Michałowem również przeszedł granicę.

Wieści te zdemoralizowały główną kwaterę i zażyły w niej resztki energii. Rosjanie żądali teraz poddania Modlina, wykonania przez całe wojsko przysięgi na wierność Mikołajowi i natychmiastowego przejścia wszystkich wojsk polskich pod rozkazy feldmarszałka. Rząd, Sejm, redaktorowie gazet i wybitniejsi działacze w dniu 25 września wyjechali z Płocka i na własną rękę przedzierali się ku granicy pruskiej. Wślad za nimi wyruszyła armja i już 30 września obozowała w Lipnie, a 2 października stanęła obozem w Rachowie. Tegoż dnia generałowie na radzie wojennej, złożonej w Świedziebnie, zdecydowali schronić się do Prus.

Posuwało się więc wojsko ku granicy pruskiej, opuszczało kraj, opuszczało sprawę i honor narodu i wstępowało na pole hańby.

Wojska rosyjskie postępowały tuż za armją polską i coraz silniej ją naciskały.

Do ostatniej chwili generałowie nieprzyjacielscy kusili Polaków obietnicami, byle tylko zechcieli się poddać, ale myśl przekroczenia granicy była już pochwzięta i rokowania z władzami pruskimi już rozpoczęte.

Dnia 5 października armja polska, wiedzona przez gienerała pruskiego Schmidta, przeszła granicę...

Na czele armji jechał gienerał Rybiński w otoczeniu swego sztabu, za sztabem posuwała się kawalerja, następnie ciągnęły armaty, a za artylerją maszerowała piechota. Krakusy, idący w arjergardzie pod gienerałem Dembińskim, do ostatniej chwili ostrzeliwali się następującym na tylne straże kozakom.

— Do widzenia — wołali do kozaków żołnierze polscy, stanąwszy nad granicą, i ostatniemi strzałami do nieprzyjaciół żegnali ziemię ojczystą. Byli przekonani, że niebawem z bronią w ręku wtargną z powrotem do kraju i nowy bój rozpoczną.

Niejasna myśl o legionach przyświecała w tej chwili wychodźcom i z myślą tą wojsko polskie ruszyło w dalszy pochód. Szeregi zaległa posępna cisza. W głuchym milczeniu posuwano się naprzód. O ćwierć mili za linją graniczną oczekiwał powstańców gienerał pruski von Zöppelin z pułkiem huzarów, silnym oddziałem piechoty i baterją armat, zwróconych paszczami ku zbliżającej się armji. Trębacze polscy po raz ostatni zagrali pieśń narodową, ale muzyka pruska milczeniem odpowiedziała na to powitanie...

Rozpoczęło się składanie broni.

W największym porządku posuwali się żołnierze ku wskazanemu miejscu.

— Stój! składaj broń! — rozległa się komenda.

I żołnierz, posłuszny wezwaniu, rzucał karabin lub lancę, a potem zasłaniał twarz rękoma, by ukryć łzy, spływające po twarzy. Teraz dopiero przed

oczyma wychodźców stanęło widmo hańby i prze-
rażeniem napełniło serca. Wspomniano wysiłki bo-
haterskie i krwawe boje, stoczone na polach Gro-
chowa, Igań, Ostrołęki, wspomniano tysiączne ofiary
i kraj zalany wojskiem nieprzyjacielskim; wszystkie
błędy jak żywe ocknęły się naraz w pamięci i prze-
czucie klęsk nowych, przeczucie jako śmierć smutne
owionęło dusze...

Ale pogrzeb sprzętów wojennych i oręża odbywał
się dalej. Rosły stosy lanc, karabinów, przechodziły
w ręce Prusaków armaty, furgony, aż armja polska
przestała egzystować...

Głuchy bunt wezbrał w piersi rozbitków, ale było
już za późno...

*

*

*

Sprawa powstania była właściwie już przesądzona po upadku Warszawy. Wieść o poddaniu stolicy wszędzie wstrząsające uczyniła wrażenie. We wszystkich zakątkach kraju, dokąd tylko złowróżbne echo klęski dotarło, zasępiaty się czoła i zimne przerażenie przeszywało serca. Polska zstępowała do grobu. Czuli to wszyscy, ale niemoc, zaszczepiona przez naczelne władze powstańcze, kraj cały trzymała w odrętwieniu. Czekano jakichś nadzwyczajnych wypadków, czekano zmiłowania i cudu. Ale co działyły mało-duszność, egoizm, niedołęstwo i zdrada, tego nic już naprawić nie mogło.

Było jeszcze wojsko dzielne i do wszelkich poświęceń gotowe, była jeszcze możność dalszego prowadzenia wojny. Ale nie było już wiary w zwycięstwo, nie było widomej woli, ani nadziei, ucieleśnionej w człowieku. Zawiodły wszystkie rządy i wszyscy wodzowie. Śród ludzi, których powstanie wyniosło z nicości lub zapomnienia, wszyscy w owej chwili do zapomnienia lub nicości wracali. Sztandar powstańczy, chwiejący się nieustannie, zgorzał doszczętnie w płomieniach, pustoszących Warszawę, rewolucja pozostała bez swego znaku i steru, zawisła niejako w powietrzu, straciła moc życia i czynu.

Dzieło listopadowe, dźwignięte zbrojnym ramieniem podchorążych na widownię świata, znikало z tej widowni nie na mocy poniesionej klęski, lecz skutkiem własnego bezwładu.

Powstania nie zgubiła przemoc. Po zwycięstwach,

odniesionych na polach Wawru, Dembego, Igań, armja polska zrównała się liczebnie z armją rosyjską, a sprawnością bojową i męstwem znacznie ją przewyższała. Krwawa topiel ostrołęcka pochłonęła najdzielniejszy element bojowy, ale nowozacieżny żołnierz od początku powstania składał dowody wielkich przymiotów wojennych i na okopach Warszawy zaświadczył o swojej dzielności. A przecież nawet po opanowaniu Warszawy wódz rosyjski nie mógł z przemagającą siłą wystąpić przeciw Polakom, pod warunkiem, że się wojska polskie połączą, czemu żadną miarą Rosjanie przeszkodzić nie mogli...

Powstania nie zgubił brak środków materjalnych. Raport Paskiewicza po zdobyciu Warszawy świadczy o wielkim bogactwie wszelkiego rodzaju sprzętów wojennych, odzieży i amunicji, które tam były zgromadzone. Skarb opłacał dotąd wielkie koszty wojny, a pożyczki za granicą częściowo były już zrealizowane.

Powstania nie zgubił brak męstwa i poświęcenia, ani brak ofiarności publicznej.

Przyczyn upadku przedewszystkim w organizacji wewnętrznej, w psychice powstania szukać należy.

Chcąc jakiegokolwiek rozpoczęte dzieło zakończyć tryumfem, trzeba ten tryumf w samym sobie przeżyć, trzeba się z tym tryumfem sprząc w jedną nierozrwalną całość, trzeba w zwycięstwo wierzyć, jak wierzy się w niczym niecofnioną konieczność.

Tragedją powstania listopadowego nie był brak tej wiary.

Pałała się ona w sercach podchorążych, gdy na hasło Wysockiego w poważnym i groźnym milcze-

niu nabijali karabiny, tasama wiara prowadziła na Belweder śmiałków Nabelaka, tasama wiara ognistemi słowy wybuchała z piersi Mochackiego, kiedy z trybuny rewolucyjnej grzmiał przeciw ówczesnym dzierżycielom władzy.

Tragedją powstania jest przede wszystkim ta okoliczność, że ludzie, co je stworzyli, natychmiast zniknęli z widowni i wraz z sobą unieśli bezpowrotnie wielką wiarę, wielki zapał i wielkie poświęcenie dla sprawy. Wraz z twórcami pamiętnej nocy zniknęła szybka i śmiała decyzja, powstanie osadzone zostało na miejscu, spętane przedtym jeszcze, nim zdołało się rozwinąć...

Dzieło listopadowe zgubił przede wszystkim brak charakterów. Nie było ich w Radzie Administracyjnej i późniejszych rządach, nie było ich w Towarzystwie Patryjotycznym, nie było wśród władz wojskowych. W walce, która w pierwszych dniach powstania rozegrała się pomiędzy twórcami rewolucji a jej przeciwnikami, zrodziły się wszystkie błędy, które czas dalszy ciągle wyolbrzymiał. Walka ta, prowadzona przez ludzi z charakterem, musiała się zakończyć zwycięstwem jednej strony i stanowczą a bezwzględną porażką drugiej. Tymczasem nie skończyła się niczym. Bo coż się okazało? Oto mężowie, widzący w powstaniu zgubę Polski, usiłujący nawet powstanie to stłumić bagnietami rosyjskimi, mężowie ci po poskromieniu klubu grudniowego, mimo przeświadczenia, że prowadzą kraj do zguby, sami zaczęli robić powstanie. Stała się rzecz nieprawdopodobna: na czele dzieła listopadowego stanęli jego najzgorzalsi przeciwnicy. Wprawdzie w ten sposób zatry-

umfowała myśl rewolucyjna, ale był to tryumf pozorny, chwilowy, przemijający, jak mgła, a złudny, jak miraż. Ludzie, co brali w swe ręce ster powstania, ulegali wypadkom, i to jest niezaprzeczoną prawdą, ale historia mówi nam dzisiaj, że uległością swoją nie ratowali sprawy, lecz ratowali jedynie swą znikomą władzę, swoją popularność i egzystencję. Walka o charakter powstania nie rozegrała się w samym społeczeństwie i to jest jedną z głównych, jeżeli nie główną przyczyną klęski.

Powstanie listopadowe nie miało charakteru.

Noc 29 listopada była aktem owej wielkiej wiary, co czyni cuda, była jednocześnie krokiem odwagi, zapału i entuzjazmu, i tylko działania, natchnione tąsamą wiarą, odwagą i zapałem, mogły zbawić sprawę. Musi być jakaś ciągłość i konsekwencja w rozwijaniu wypadków. Ta ciągłość znikła, gdy zniknęli z widowni twórcy pamiętnej nocy. Powstanie przemieniło się w kompromis, w zlepek czynników sprzecznych, a wzajemnie się wyłączających. Ciężka odpowiedzialność za to spada na sprawców wybuchu, cięższa jeszcze na tych, co wbrew swemu przeświadczeniu stanęli na czele dzieła, w które nie wierzyli, któremu byli przeciwni...

Połowiczność i chwiejność zarówno w wyborze środków, jak w sposobie działania, oto co przez cały czas cechowało powstanie. Tylko na takim tle mogli egzystować i sprawować władzę członkowie pierwszych rządów, dyktator, rząd pięciogłowy, wodzowie tacy, jak Skrzynecki i Dembiński, wreszcie członkowie obu izb poselskich. Na całej przestrzeni powstania, jeśli rzucimy okiem na ludzi, którym wy-

padki dały większe wpływy, nie dostrzeżemy ani jednego charakteru. Sejm, z którego łona wychodziły nominacje na członków rządu i wodzów, jest najlepszym zwierciadłem zabijającej powstanie chwiejności i niedołęstwa. Dziełu rewolucyjnemu tylko głowy rewolucyjne przewodniczyć mogą. Takich głów nie było wśród ówczesnych kierowników powstania. Nie zwyciężała myśl jasna, śmiała i rewolucyjna — tryumf odnosiły jedynie półśrodki. Gadaniną w Sejmie, pisanie not dyplomatycznych, kunktatorstwem i mędrkowaniem na terenie wojny chciano zbawić Polskę. Egoizm izb poselskich odepchnął od udziału w walce masy ludowe. Nie zadano sobie pracy, by z łona ludu wydobyć utajoną siłę i rzucić tę siłę na szalę wypadków. A przecież lud sam garnął się do szeregów, nie szczędził krwi i życia, a na Litwie pierwszy porwał się do broni. Lud miał zdrowy instynkt, miał już świadomość celu, lecz rozproszony na olbrzymich przestrzeniach, nie mógł stworzyć organu, któryby pożądaną masę szerokich spajał i łączył, tworzył z nich siłę groźną i potężną. Jedynie Warszawa mogła wytworzyć poważny ośrodek rewolucyjny. Ale nie należy zapominać, że to, co stanowiło rdzeń, duszę i serce masy stołecznej, myślało przedewszystkim o zaciągnięciu się w szeregi i na polu bitwy szukało rozwiązania sprawy. To zaś, co pozostało w mieście, najmniej było zdolne do narzucenia powstaniu swej woli.

Historycy, tłumaczący klęskę jedynie nieuświadomieniem ludu, zapominają najczęściej o ówczesnym rozkładzie i wzajemnym stosunku sił społecznych w Polsce, zapominają również, iż całkiem niezależnie

od stanu tego uświadomienia wodzowie polscy niejednokrotnie mieli w swych rękach szanse wielkich zwycięstw i z widocznej przewagi swojej nie chcieli lub nie umieli korzystać.

System walki odpornej, tak niezgodny z duchem powstania, więcej złego wyrządził sprawie, niż wojska nieprzyjacielskie. Nie było wodza z charakterem, choć były w armji polskiej niepospolite zdolności i talenty...

Upadło powstanie, bo, pozbawione woli, energii i wszelkiego wyrazu, nie wytworzyło atmosfery, w której działałoby mogli ludzie odważni i zdecydowani. Głosy śmiałe przebrzmiewały bez echa, wielkie zamiary tonęły w otchłani połowiczności, pożądane reformy rozbijały się o skałę egoizmu obu izb poselskich...

Powstanie listopadowe skończyło samobójstwem...

K O N I E C.



SPIS PORTRETÓW.

	Przed stronicą:
1. Joachim Lelewel	1
2. Wielki książę Konstanty	17
3. Adam Mickiewicz	25
4. Piotr Wysocki	41
5. Walerjan Łukasiński	49
9. Maurycy Mochnacki	57
7. Książę Adam Czartoryski	73
8. Gienerał Józef Chłopicki	89
9. Gienerał Jan Skrzynecki	129
10. Gienerał Józef Dwernicki	130
11. Gienerał Ignacy Prądzyński	185

TREŚĆ:

	Str.
Wstęp	1
I. Królestwo Kongresowe	6
II. Noc 29 Listopada	35
III. Pierwsze dni powstania	49
IV. Dyktatura. Sejm. Rząd narodowy	62
V. Bitwa pod Grochowem	78
VI. Wawer. Wielkie Dembe. Iganie	96
VII. Działalność Rządu i Sejmu	111
VIII. Bitwa pod Ostrołęką	120
IX. Wyprawy na Ruś i Litwę	134
X. Skrzynecki i Dembiński	151
XI. Noc 15 sierpnia i Krukowiecki	162
XII. Oblężenie Warszawy	175
Zakończenie	186
Spis portretów	198

Do nabycia we wszystkich księgarniach
i w Administracji (Kraków, Rynek gł. 1. 44.).

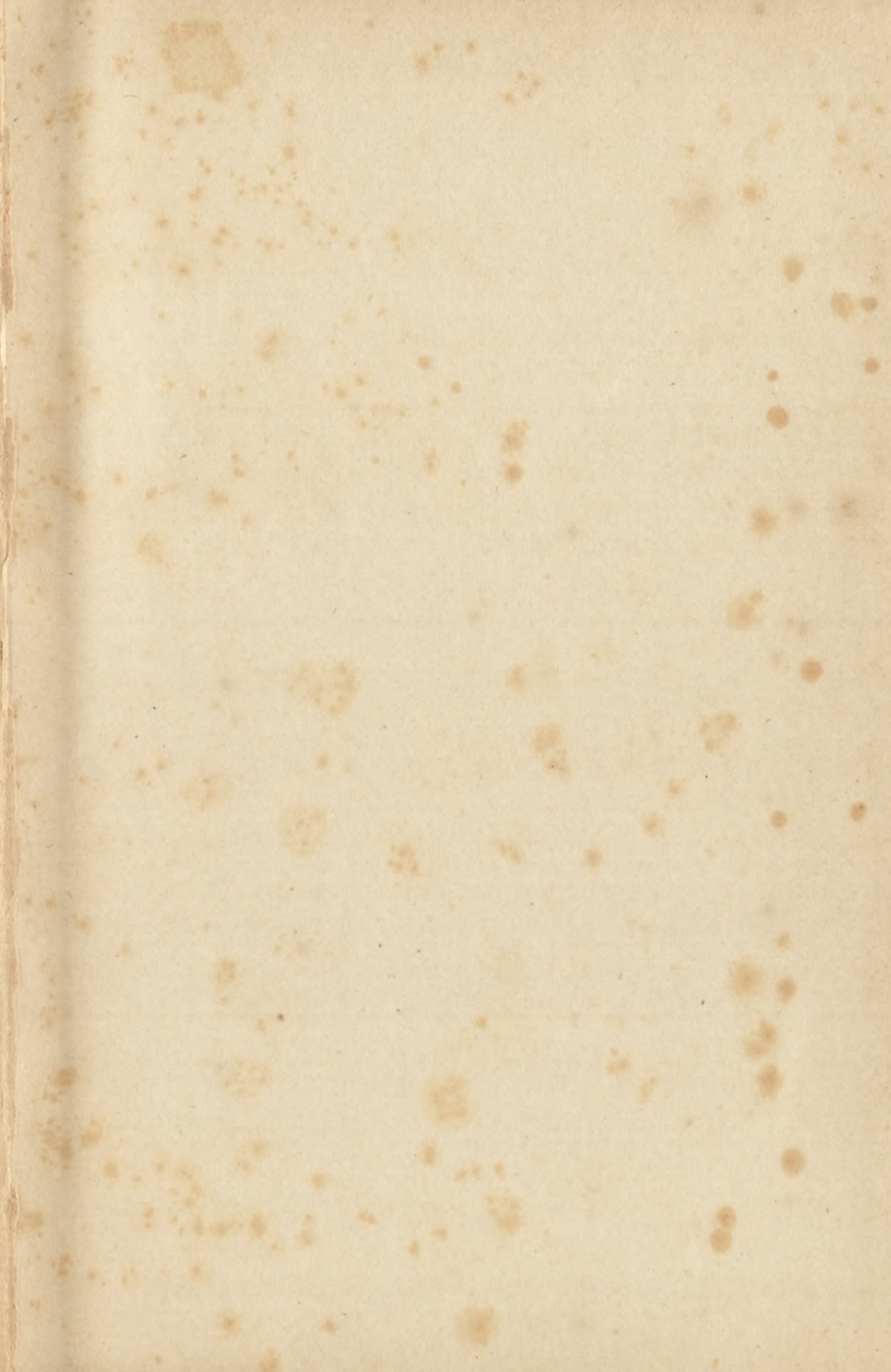
WYDAWNICTWA

Spółki Nakładowej „KSIĄŻKA“.

- Angiolini Alfred.** Dzieje socjalizmu we Włoszech do 1910 roku włącznie. Cena 6 koron.
- Blos W.** Rewolucja francuska. Wyd. 2-gie. Kor. 4.
- Choynowski Piotr.** Zdarzenie. Nowele. Kor. 3-60.
- Daniłowski Gustaw.** Jaskółka. Powieść w 2 tomach. Wydanie drugie. Cena 5 kor. 50 hal.
- Daniłowski Gustaw.** W miłości i boju. Nowele. Wydanie drugie. Cena 3 kor. 20 hal.
- Feldman Wilhelm.** O Rosji. Cena 1 kor.
- Feldman Wilhelm.** Stronnictwa i programy polityczne w Galicji 1846 do 1906 r. 2 tomy. Cena 10 kor.
- Filipowicz Tytus.** Zagadnienia postępu. Cena 3 kor. 20 hal.
- Grabiec J.** Dzieje narodu polskiego. Cena 5 kor.
- Grądzelski K.** Dzieje literatury polskiej. Cena 5 kor.
- Grubiński Wacław.** Moc kamienna. Nowele. Cena 3 kor.
- Grubiński W.** Pocałunek, Uczta Baltazara i inne nowele. Wyd. 2-gie. 4 kor. 20 h.
- Gumplowicz Wł. dr.** Dzieje założenia Stanów Zjednoczonych. Z 3 mapkami. Cena 2 kor. 60 hal.
- Hillquit Maurycy.** Dzieje socjalizmu w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki. Cena 4 kor.
- Iłakowicz I. K.** Ikarowe loty. Poezje. 4 korony.
- Jarosz Mieczysław.** Śląsk cieszyński. Cena 3 kor.
- Jaworski Roman.** Historje manjaków. Cena 4 kor. 20 hal.
- Kaden J.** Zawody. Nowele. 3 kor. 20.
- Kasprowicz Jan.** Chrystus. Poemat społeczno-religijny. Cena w oprawie 3 kor.
- Katerla Józef.** Róża. Dramat niesceniczny. Wyd. 2-gie. K. 4.
- Krauz K. dr.** Materjalizm ekonomiczny. 5 kor. 50 hal.
- Kulikowska Marcelina.** Barwy duszy. Poezje. Cena 5 kor.
- Kulikowska Marcelina.** Frania. Nowele. Cena K. 2.60.

Kulikowska Marcelina. Z dziejów duszy. Cena 4 kor.
 Kulikowska Marcelina. Z wędrówek po kraju. K. 2'60.
 Landau Helena dr. Zarysekonomji społecznej. Cena 3 kor.
 Lange Antoni. Elfryda. Fantazje i nowele. 4 kor. 20 h.
 Lange Antoni. W czwartym wymiarze. Nowele. K. 4'20.
 Limanowski Bolesław dr. Rozwój przekonań demokratycznych w narodzie polskim. Cena 60 hal.
 Limanowski Bolesław dr. Stanisław Worcell. Cena 10 kor.
 Limanowski B. dr. Stermierze wolności. Cena 8 kor.
 Louis Paweł. Dzieje socjalizmu we Francji. K. 4.
 Markowska Marja. Poezje. Cena 3 kor.
 Markowska Marja. Melodje śmierci (odbitka z „Poezji“).
 Cena 1 rb.
 Nalepiński Tadeusz. Chrzest. Poemat. Cena 4 kor.
 Na nową szkołę. Wyd. 2-gie. 2 kor. 60 hal.
 Orkan Wł. Drzewiej. Powieść. 6 kor. 80 hal.
 Orkan Władysław. Herkules nowożytny i inne wesołe rzeczy. (Zbiór nowel). Cena 2 kor.
 Orkan Władysław. Nad Urwiskiem. Wydanie drugie z dodatkiem „Listów ze wsi“, Cena 3 kor.
 Orkan Władysław. Ofiara. Fragment w 3 akt. z r. 1846.
 Cena 1 kor. 50 hal.
 Orkan Władysław. Wina i kara. Tragiedja w 3 akt.
 Cena 2 kor.
 Orkan Wł. Z martwej roztoki. Poezje. K. 5'—
 Płochocki Leon. Rosyjskie partje polityczne i ich stosunek do sprawy polskiej. Cena 3 kor.
 Przybyszewski Stanisław. Szopen a Naród. Cena 3 K.
 Radziwiłłowicz R. dr. Zagadnienia psychologii. K. 3.
 Rogoszówna Z. Dziecinny Dwór. Powieść dla dzieci.
 3 kor. 60 hal.
 Rogoszówna Zofja. Pisklęta. Nowele. Cena 2 kor. 60 hal.
 Rygier-Nałkowska Z. Kobiety. Powieść. Wyd. 2-gie.
 4 kor. 20 hal.
 Rygier-Nałkowska Z. Książę. Powieść. Wyd. 2-gie. 4 kor.
 20 hal.
 Rygier-Nałkowska Zofja. Narcyza. Powieść. Cena 5 K.
 Sieroszewski Wacław. Bajka o żelaznym wilku. Cena 10 K.
 Sieroszewski Wacław. Bajki. Z 50 rycinami. W ozdobnej oprawie. Cena 6 koron.
 Sieroszewski Wacław. Dno nędzy. Wyd. 4-te. K. 3'20

- Sieroszewski Wacław.** Małżeństwo. (Być albo nie być. — Tułacze.) Wydanie 2-gie. Cena 4 kor. 60 hal.
- Sieroszewski W.** Na daleki wschód. Kartki z podróży. Wyd. 2-gie. Z dodatkiem 2 rozdziałów. Cena K. 4-20.
- Sieroszewski Wacław.** Risztau. Pustelnia w górach. Czukcze. — Wydanie drugie. Cena 3 kor. 60 hal.
- Sieroszewski Wacław.** Zamorski Djabeł. Powieść z 54 ilustracjami H. Minkiewicza. Wyd. 2-gie. Cena w ozdobnej oprawie 5 kor. 20 hal.
- Sieroszewski Wacław.** Ze świata. Opowiadania. Z 53 rycinami. W ozdobnej oprawie. Cena 5 kor.
- Sieroszewski Wacław.** Z fali na falę. Wydanie III. Cena 5 koron.
- Słiwiński Artur.** Powstanie listopadowe. Z 11 portretami. W oprawie 4 kor. 60 hal.
- Stepniak S.** Losy nihilisty. Romans. Z przedmową Jerzego Brandesa. Cena 6 kor.
- Strug Andrzej.** Dzieje jednego pocisku. Wydanie drugie. Cena 4 kor. 80 hal.
- Strug Andrzej.** Jutro... Wyd. 2-gie. Cena 3 kor. 20 hal.
- Strug Andrzej.** W twardej służbie. Cena 2 kor. 60 hal.
- Strug Andrzej.** Ze wspomnień starego sympatyka. K. 3-20.
- Studnicki Władysław.** Finlandja i sprawa finlandzka. Cena 4 kor.
- Verhaeren E.** Jutrznie. Dramat społeczny. Przekład Marji Markowskiej. Cena 2 kor.
- Walewska Marja-Jehanne.** (hr. Wielopolska). Pani El. Cykl nowoczesny. Cena 4 kor. 60 hal.
- Wasilewski Leon.** Litwa i Białoruś. Cena 6 kor.
- Wasilewski Leon.** Ukraina i sprawa ukraińska. Cena 4 kor. 60 hal.
- Wasilewski Leon.** Współczesne państwo konstytucyjne. Cena 2 kor. 40 hal.
- Wyrostek M. dr.** Urządzenia polityczne Szwajcarji. Cena 5 koron.
- Zabojczka M.** Powieść o duszy polskiej. 4 kor. 50 hal.
- Żeromski Stefan.** Sułkowski. Tragiedja. Wydanie drugie. Cena 6 kor.
- Żeromski Stefan.** Uroda życia. Powieść 2 tomy. 9 kor.





DK

1200-

